



Mołdawianie

W KOSMOS NIE LIETAJUT

BIEZ **wina**

Judyta Sierakowska



Bezdroża

Autorka tekstu i fotografii: Judyta Sierakowska

Redaktor prowadzący: Maciej Żemojtel

Redakcja i korekta: Firma AB Agnieszka Bąk

Redakcja techniczna: Katarzyna Leja

Projekt okładki: ULABUKA

Zdjęcia na okładce: Shutterstock.com

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autorka oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autorka oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

http://bezdroza.pl/user/opinie/?bemold_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I

ISBN: 978-83-246-9531-7

Copyright © Judyta Sierakowska, 2014

Copyright © Helion, 2014

- [Poleć książkę na Facebook.com](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

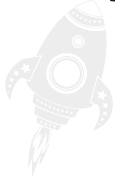
- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)



Mołdawianie

W KOSMOS NIE LIETAJUT


BIEZ **wina**



Judyta Sierakowska



Bezdroża



Wracaliśmy z Olegiem ze szkoły, nierównym chodnikiem, właściwie po omacku.

– Pani Judyto, ja mam takie pytanie do pani?

– Tak?

– Tylko niech pani nie pomyśli, że ja coś złego myślę, ale po co tu pani przyjechała?

O mało nie potknęłam się na ciemnej drodze.

– Przecież tu nic nie ma – dodał Oleg.





POCIĄG DO WINA



Jest taki kraj, nieduży lądem – niecałe 34 tysiące kilometrów kwadratowych (mniej niż nasze mazowieckie), jakieś 3,5 miliona mieszkańców. To Mołdawia. Około miliona z jej obywateli żyje za granicą – w Rosji, we Włoszech, w Turcji czy Grecji; zarabiają tam na swoją rodzinę, bo tu średnia płaca to 100 euro. Więzy rodzinne podupadają, gdy brakuje pieniędzy na podstawowe produkty. Nawet i je spaja forsa. W sumie ktoś musi wypracowywać PKB.

Mołdawia to taki kraj, gdzie najdłużej w Europie próbowano wybrać prezydenta – bo albo nie było wystarczającej liczby głosów, albo nie było wystarczającej liczby kandydatów. To taki kraj, gdzie większość ludzi zna rosyjski, a nie zna języka kraju, w którym żyje.

I ten mały kraj, położony na obszarze historycznej krainy Besarabii, zaledwie 22-letni, tak się rozrósł wewnątrz, że mieści w sobie trzy „państwa”: ją samą, podzieloną na 32 rajony, czyli powiaty, w niej Naddniestrze ze swoim nieustalonym statusem, nieuznawane przez rząd Polski, taką Nibylandię, no i Terytorium Autonomiczne Gagauzja (Gagauz Yeri), gdzie mówi się po gagausku, rosyjsku i mołdawsku.

Mołdawia to ostatni bastion ZSRR, gdzie wychwalany jest kraj Łukaszenki, bo tam jest „tak czysto”, a ludziom się powodzi. W Mołdawii nie żyje się dostаточно, a już najmniej w Gagauzji. W Mołdawii, a najbardziej na jej południu, w Gagauzji tylko jedno się udało. Wino.

Mołdawianie tak kochają winogrona,
że umieszczają je nawet na bramach



Wagon był pusty. Między przedziałami na całej długości ciągnął się wyliniały dywan. Nie taki bardzo stary, ale już zdeptyany, zniszczony beż w niebieskie, bordowe i szare pasy. Każdy przedział był identyczny, dwa metry na półtora i dwa rozkładane łóżka po każdej ze stron. Jak w ciupie, tyle że klozet nie w niej, ale na końcu sali. Na górnych łóżkach leżały zwinięte w rulon materace, koce, poduszki, z których wystawało pierze. Składany stolik przykryty był bordowym obrusem, ze wzorem szytym grubą złotą nicią.

Przy wejściu do wagonu stała w garsonce i kapciach masywnie zbudowana pani przewodnica. Zainkasowała za bilet, a po kwadransie jej pomocnica rzuciła na pryczę worek z pościelą. Dwie płachty. Jedna jako prześcieradło, druga jako poszwa na koc. Do tego poszewkę na poduszkę i małą ścierkę frotté. Wszystko to wyprane w śmierzącym, szarym mydle. Czyste, ale lekko zachodzące myszką.

Tym razem nie dali, ale w pociągach na trasach wschodnich czasami dorzucają też paczkę chusteczek higienicznych. Nie są ani miękkie, ani delikatne, tylko szorstkie i grube, ale białe.

Wygląd przedziałów bliźniaków zmienia tylko podróżnik, swoją obecnością, zachowaniem i... wyglądem. Zasunięte drzwi przedziału ukazują duże lustro, w którym można oglądać wymęczoną podróżną twarz. Toaleta – tu bez większych ekstrawagancji. Z charakterystycznym dla rejonów byłych republik radzieckich papierem toaletowym bez dziurki. Mocno ściśnięty, zwarty, niekończący się, szary, szorstki.

Na trasach wschodnich znajdziesz różne wyglądy i zapachy. Jeden rozniesie w swoim małym wagonowym pokoju woń kiełbasy z targu, wyjmie piwo, wino,

napije się, zagryzie i legnie na pryczę. Drugi rozpyli zapach tanich perfum albo dezodorantu, którym potraktuje spocone pachy. Jeszcze inni konsumują tylko owoce: brzoskwinie, mandarynki, banany. Ta ostatnia, owocowa grupa pasażerów jest najprzyjemniejsza. Zapachowo.

Na końcu korytarza, przy kanciapie wagonowych jest piec na węgiel i jak wagonowi dobrze podkładają, to woda w samowarze bulgocze. Można zalać herbatę czy zupę z torebki.

Do Przemysła w wagonie byłam tylko ja, dwie przewodnice i samowar (bulgotał prawie cały czas, więc był najbardziej żywotny w całym wagonie). Pięć godzin postoju, rozstawianie szyn, dopasowywanie do kolei ukraińskich. Panie wagonowe zdjęły ciepłe bambosze i wsunęły na stopy całkiem przyzwoite pantofelki, wdziały żakiety, wzięły torebki do ręki i mówią, że wychodzą na miasto, że mogą zostać w wagonie albo się przejść, byleby wróciła o 17.00. Wzięłam podręczny plecak i ruszyłam popatrzeć na San.

Posłusznie wróciłam o umówionej godzinie, a pociągu nie ma! Pań wagonowych nie ma! Wpadłam w lekką panikę, bo bagaż z laptopem i kilkumiesięcznym dobytkiem zostawiłam w przesiedlanym wagonie. Nagle dzwoni telefon, kolega dowiaduje się o sytuacji i tylko rozsierdza polskim knuciem: „pewnie ci coś tam podrzuca!” Co rusz ktoś podgrzewał atmosferę swoimi domysłami. Moja wyobraźnia zaczęła pulsować podejrzeniami. Nagle wbiegłam do służby celnej i pytam: kiedy będę mogła wsiąść do mojego wagonu?

Pani z okienka ze spokojem odpowiada: – Jak podjedzie! – I zamknęła okienko.

Pukam raz jeszcze, wkurzona otwiera ponownie i pyta: – Co?!

Ja: – Ale kiedy podjedzie?!

Ona: – Jak podjedzie!

Ja: – Ale tam jest mój bagaż...

Ona wzruszając ramionami. – No i co z tego?! – i trzask okienka.

No właśnie, co z tego? Co z tej paniki? Ona tu tylko siedzi.

Okazało się, że pociąg będzie, ale po 19.00. Inne tory, wagony innej spółki. Zła informacja. Głupia panika.

Ciemno już. Na tory pada blade światło od tłących się lamp, niemrawo siąpi deszcz. Pan w mundurze i z psem prowadzi mnie do wagonu. Całkiem opuszczają

mnie domyśli, że ktoś chce mi coś podłożyć. Byłam wkurzona, że dałam się wkręcić w ten wir podejrzeń. Nikt nic nie podłożył, sama się podłożyłam!

Gdy wgramoliłam się po schodkach do nagrzanego pociągu, pani wagonowa była już w kapciach. Rzuciła węgiel do kotła.

– Powkuszała ty w gorodzie? – zapytała.

– Tak, placek po węgiersku – odpowiedziałam, sama czując absurd tej odpowiedzi.

Spojrzałam na samowar, osiągał ledwie 40 stopni.

– Pozdajcie jeszcze 20 minut, budziet i goriaczij czaj – poinformowała mnie wagonowa, widząc mój pytający wyraz twarzy.

Druga, pulchniejsza już leżała rozwalona na pryczy. Zmęczona cotygodniowym zwiedzaniem Przemysła, a i pewnie nie jednym plackiem, niekoniecznie węgierskim.

Panie wagonowe tak właśnie jeżdżą. Półtora dnia w pociągu z Kiszyniowa do Warszawy. Noc w Warszawie. I powrót, kolejne 36 godzin.

Poszłam do swej kanciapy, przedział nr 6. Spojrzałam na plecak – wyglądał dość dziewiczo, nabity jak wołek zbożowy, chyba dureń mógłby czegoś w nim szukać.

Pojawili się pierwsi towarzysze podróży, dwaj mężczyźni w średnim wieku, z twarzami styranymi życiem. Stałam przy oknie i spoglądałam to za nie, to na nich. Ten z lewej miał na prawym policzku szramę. Wyglądała jak kolejny krzyżyk w jego życiu, przemijanie.

To moje, w jakimś stopniu dość bezczelne podglądactwo wzięli za dobrą monetę i zawołali, by posiedzieć z nimi. Odmówiłam. Wyglądam nieszkodliwie, więc skinęli tylko z uśmiechem, dając przyzwolenie na podpatrywanie.

Gdy wsiadali, byli w czarnych spodniach w kant, koszulach, swetrach. Już po kwadransie czuli się zadowoleni, w dresach, koszulkach, z otwartym piwem, z zatroskanymi minami. Pewnie w Przemysłu pracowali, a teraz wracają do domów i będą rozliczani przez żony, teściowe, córki i synów. Wypytywani przez sąsiadów i znajomych: „ile zarobili?”, będą musieli kłamać w żywe oczy.

Siedzieli kilka przedziałów dalej i non stop grali w karty. Większy wziął radio do ręki, postawił je sobie na ramieniu, przysunął do ucha i jednym palcem przesunął pokrętkę. Odbiornik brzęczał, charczał i wypluwał z siebie ledwie fragmenty z nieznanymi list przebojów.

W sąsiedztwie mojego przedziału usadowiła się para lekarzy. Ona z włosami pofarbowanymi na czerwono, prostymi, do pół szyi, a może do zgrabnej brody, on trochę od niej starszy, już lekko siwy, w dżinsach. Oboje w tiszertach. Inteligentne, ciekawe twarze, z zarumienionymi policzkami. Staliśmy gapiąc się na wsie i miasteczka szybko przelatujące za oknem pociągu. Po krótkim wzrokowym obeznaniu się z moim wyglądem, zapytał:

– Pewnie abstynentka?

Siedzieliśmy w ich małej kanciapie przedziałowej, piliśmy metaksę i rozmawialiśmy. O życiu. Byli ujmujący, ciekawi siebie, świata. Jedno było anestezjologiem. Chyba ona. Drugie nie pamiętam, urolog zdaje się. Jechali do Kiszyniowa na święto wina. Ona z przeszłością, on też. Razem nie za długo, ale na tyle, by wiedzieć, że są sobie pewni i żeby każdą wolną chwilę przeznaczać na wspólne wyprawy. Ogrzani 60-procentowym trunkiem pożegnaliśmy się w pijackiej, może nie jakoś szeroko zakrojonej, ale już komitywie.

Przespałam ukraińskie miejscowości: Tarnopol, Chmielnicki i chyba też Kotjużany. Rano błogi, poalkoholowy sen przerwali najpierw celnicy ukraińscy, a potem mołdawscy. W wagonie było ledwie pięcioro pasażerów. Nie przeszkodziło to jednak tamożnikom przechodzić po nim kilka razy w tę i z powrotem. Ich dwa



W drodze do Mołdawii

razy więcej niż nas, plus dwa psy do wykrywania narkotyków. Takie śmieszne, małe, filigranowe, białe, puchate pudle. Zwinne i szybkie. Wyglądały jak nakręcone, biegały od przedziału do przedziału i skakały jak odbite z trampoliny to na walizkę, to na plecak, obwąchując co się dało i powarkując. Za nimi szli dumni ze swojej zabawki celnicy.

Prowadnica przepchała się łokciami między celnikami i wpadła przerażona do mojej kanciapy. Dopiero sobie przypomniała, że nie dała mi kartki migracyjnej. Położyła mi książkę na kolanie, a na niej papierek i kazała szybko wypełniać. Właściwie to stanęła nade mną i palcem wskazywała kolejne linijki. Głośno czytała, jakby to miało cokolwiek przyspieszyć. Chyba w ten sposób chciała zademonstrować opiekę (nieco spóźnioną), a celnicy stali nad nami i przyglądali się temu przedstawieniu, choć przecież wiadome było, że będzie przejście graniczne, że wejdą do pociągu, że będą sprawdzać kartki migracyjne...

Ale nie... Nie! Nie można było wcześniej zrobić. Te zaspane prowadnice!

Pies w moim przedziale nic nie wywachał. Tamożnicy wyszli, załadowali pudła do samochodu, wsiedli i odjechali. Nie wiem, ile można przemyścić. I wiedzieć nie chcę. Przewożę tyle, ile trzeba. A że nie wyglądam na przemytnika? Tym lepiej.

Celnik zapytał o sprzęt, który wiozę ze sobą. Zaczęłam wyliczać: laptop, dwa telefony, aparat... Chciałam mu to wszystko pokazać, a tym samym dać dowód swej uczciwości, ale nawet nie dokończyłam mówić, bo wybałuszył oczy.

– Co ty, z Polski uciekasz? – zapytał i nie czekając na odpowiedź zamachał rękami i poszedł sobie.

Za oknem pojawiły się pierwsze monotonne obrazy mołdawskiej prowincji. Thumy na postojach: dresiarze (ten gatunek człowieka spotkać można pod każdą szerokością geograficzną), tutaj w takich połyskujących dresach z paskami po bokach – te kultowe szelesty, pamiętane ze szkoły podstawowej, z lekcji kultury fizycznej, przełom lat 80. i 90. Obok dresów, ramię w ramię, baby w chustach z pielmienami, kartoszkami, kotletami w garnuszkach. I one, i pierwsi drobni handlarze bez pytania ładują się do wagonu i oferują karty prepaid, wymianę pieniędzy, krzyżówki. Takie ruchome kantorki wystrojone na sportowo.

Babuszki, jak to babuszki, do zakupu zachęcały „na babcie”. Akurat przysypiałam przytulając książkę, oparta głową o okno, gdy jedna z nich walnęła w nie pięścią i dobroduszenie wrzasnęła:



– Krasiwaja dziewczuszka, no mołodaja, bieri pielmieny wkusnyje, no oczeń – zaczęła namawiać.

Gdyby nie reklamówka cukierków, która mi została, a podróży ledwie pół dnia – i jeszcze siedem kanapek, kabanosy i krakersy, i gdyby nie czarne, pozdzierane paznokcie babuszek tulących garnek do swoich opasłych brzuchów, to pewnie bym się skusiła.

Zamiast kupić od niej pierogi, po mocowaniu się z porządnie zamkniętym mołdawskim oknem, wystawiłam przez nie rękę i wręczyłam jej garść cukierków. Stojący obok dzieciak, pewnie wnuczek, z szerokim nosem i wybałuszonymi oczami rzucił się na cukierki i już po kilku sekundach jego pulchne policzki poruszały się miarowo, a język mlaskał.

Nagle z mojego zamkniętego przedziału zniknęło lustro i ukazał się korytarz.

– A wy gdzie jedzicie, do przyjaciół, do Kiszyniowa? – zapytała młodsza przewodnica, otwierając drzwi do mojej kajuty, najwidoczniej przygnana ludzką albo, co gorsze, kobiecą ciekawością.

– Najpierw do Kiszyniowa, ale tylko na kilka dni. Potem jadę pomieszkać w Komracie – odpowiedziałam.

– Jakim Komracie?! – zakrzyknęła zdziwiona.

– No, w Waszym Komracie, na południu Mołdawii, w Gagauzji – wytłumaczyłam, choć było to zbyt techniczne, bo nie o lokalizację tu chodziło.

– Gagauzja, o gospodi! – zajęczała wagonowa. – Przecież tam nic nie ma. Do Paryża by lepiej dziewczuszka pojechała. Tam ciekawiej.

– A była tam pani?

– Nie – odpowiedziała ze spokojem.

– To skąd pani wie, że ciekawiej?

– Bo w telewizji pokazują, a Komratu to nigdzie nie pokazują. Jego to właściwie nie ma.

– Jest! – na potwierdzenie słów machnęłam jej przed oczami mapą, tak jakby ona, Mołdawianka, miała tego nie wiedzieć.

– Oj dziewczuszka, dziewczuszka. Pomysły u was jak z kosmosu – skomentowała i z matczyną troską poprawiła koc, którym byłam okryta, a ledwie się trzymała na mnie i na przychy. – Komratu jej się zachciało. Dzieci by lepiej robiła w tej waszej Warszawie!

– A w Komracie to się ich nie robi? – westchnęłam.

– Śpijcie filozofka, śpijcie – powiedziała i poklepała mnie po ramieniu.

Około 11.00 przystanek w Oknizach. Dłuższy postój, pół godziny. Zaraz przy stacji był targ, trochę stoisk z warzywami, kantor. Całe watahy ludzi na stacji. Odjeżdżających, żegnających się, czy ot tak stojących. Ruszyłam poza stację po wymianę pieniędzy. Zaraz za czymś, co przypominało dworzec, był targ i kilka małych budek, gdzie można było wymienić pieniądze. Pierwsze 50 euro poszło za 16,20. Razem 808 lei.

Bezpośrednio od budy dworcowej odchodziły budynki mieszkalne, o ile tak można je nazwać, bo wyglądały jak sklecone na chybcika baraki. Obok ciągnęły się równoległe dwa pasma ładnie przyciętego żywopłotu, rabatki z kwiatkami i stały drewniane ławki pomalowane na słoneczną żółć. Na końcu ogródka siedziała kobieta w chuście, w długiej kiecce, która spływała jej po szarych, znoszonych, męskich spodniach, aż do samych gumiaków. Siedziała tam na starym wózku inwalidzkim, którego koła wyglądały jak wyrwane z wraku parowozu i patrzyła przez bramę na znajdujących się na peronie.

Przedsmak Mołdawii to zdobione studnie, które już na terenie kraju widać na każdym kroku. I tuż za dworcem, ledwie rusza pociąg stoi taka, z daszkiem. Obok studni przechodzi stado bydła i starszy gospodarz, który na wózku pcha beczkę. Musi być ciężka, bo nogi grzęzną mu na polnej drodze, a babina w serdaku, która mu ją przytrzymuje, wygięta jest w siłacznej pozie. I tak idą razem za kozami.

Potem są pola usłane dyniami, hektary z wysuszoną kukurydzą. Pierwsze dni października. Jeszcze rześkie jak na tę porę roku słońce wpada do pociągu i ogrzewa twarz i drzewa za oknem. Te mają wielobarwne liście, świeżo zielone i w mętnej zieleni, i brązowe, i wrzosowe, i cytrynowe, i bordowe, i brzoskwiniowe, i... Wśród tych barw leży szary chłop, ma szary waciak, szare gumowce. I tak leży między tymi kolorami.

Dalej pola winogron. Soczyste, gęste, granatowe kiście.

Podobno w żadnym innym miejscu na świecie nie mają tylu barw, co tu. I dlatego najlepiej przyjeżdżać tu wczesną jesienią. Tak mówi przewodnik o Rumunii z wkładką o Mołdawii: „Im bliżej jesieni, tym bardziej kolorowo i... apetycznie! Na bazarze pojawiają się czerwone pomidory i papryki, zielone pękate arbuzy, ogórki i cukinie, pomarańczowe melony oraz fioletowe bakłażany i słodkie, soczyste

winogrona, nie wspominając już o włoskich orzechach, którymi obsadzone są pobożna mołdawskich dróg. W październiku, kiedy ubarwienie zmieniają lasy i zagajniki, zielono-żółta Mołdawia nabiera jeszcze innych akcentów kolorystycznych. Letnie upały powoli dają za wygraną, a powietrze staje się bardziej przejrzyste (...)”*

Miętosząc w rękach przewodnik i co chwila czytając o tym zalewie świeżości, który miał za parę godzin lec u moich stóp, jak naiwne dziecko cieszyłam się, że jadę do raju. Raj o zapachu soczystego, świeżo roztrzaskanego na targowym blacie arbuza. Ten mój wyimaginowany obraz edenu nie wziął się znikąd, tylko z legendy, którą od najmłodszych lat karmieni są Mołdawianie.

Otóż dawno, dawno temu, kiedy Pan Bóg rozdawał ludziom ziemię (a to było piekielnie dawno temu), dał Polakowi, dał Francuzowi, dał Niemcowi i dał Arabowi, ale zapomniał dać Mołdavianinowi (według drugiej wersji Mołdavianin po prostu zaspał, gdy rozdawano poletka). Gdy zatroskany, bezziemny chłop pojawił się przed Stwórcą i zapytał: „Panie Boże, co teraz ze mną będzie?”, Pan Bóg bardzo się zasmucił, bo pojawił się nie lada problem. Ziemię przecież rozdawał sprawiedliwie i powtórne jej dzielenie oznaczałoby odebranie komuś tego, co sam dał, i tym samym zakwestionowanie jego własnych, boskich decyzji, a to niedopuszczalne! Zamyślił się, podrapał się po głowie i powiedział do Mołdavianina: „chodź Wasilik, zamieszkaż ze mną w raju!”

Tako rzecze legenda.

Ta była z Bogiem, ale jest jeszcze jedna opowieść, a właściwie powiastka historyczna o pierwszym, legendarnym władcy Mołdawii, Dragoszu (Dragoșu) z Maramureszu (rum. Maramureș).

Zanim Dragosz przybył na teren pomiędzy Karpatami Mołdawskimi a Prutem, którego lud uważano za potomków starożytnych Daków i kolonistów rzymskich, kraina ta była od połowy XIII wieku pustoszona przez Tatarów. Bezlitośni, nie oszczędzali nikogo, szabrowali, gwałcili, niszczyli. Spłoszona ludność chroniła się przed nimi w górach. Na lepsze zmieniło się za czasów Ludwika Węgierskiego, kiedy to skutecznie udało się wyprzeć niesfornych Tatarów na wschód. I wtedy to, w dość komfortowych warunkach, bo już pokojowych, przybył w rejon Mołdawii

* Łukasz Galusek, Michał Jurecki, Alexandru Dumitru, *Rumunia. Mozaika w żywych kolorach... oraz Mołdowa*, Kraków 2007, s. 496.

Dragosz – rumuński witeź. Historię odkrycia przez niego Mołdawii, a potem powstania herbu tego wówczas księstwa, zgrabnie opisuje w dziele *Historyja polskimi rytмами o mołdawskiej ziemi i multańskiej*, i to po polsku, XVII-wieczny wielki bojar, poeta i kronikarz Miron Costin.

Kiedy to Turcy zostali rozgromieni w bitwie pod Wiedniem, w 1683 roku, Costin wraz z innymi mołdawskimi bojarami uciekł, a według innych źródeł został odprowadzony do Polski. Tam przyjął go na swój dwór król Jan III Sobieski, a ten z wdzięczności jemu właśnie zadedykował swoje dzieło.

Wracając do Dragosza i jego przygód, to trzeba jasno powiedzieć: chłopak od szczenięcych lat pragnął wygnać Tatarów i odzyskać ziemie, które przywłaszczyli sobie po licznych napaściach. Nie było mu to dane, ze względu na młody wiek. Troskliwa matka mówiła stanowcze: Nie! krwawym jatkom. Dopiero gdy podrósł, mógł spełnić swoje marzenia. A i tak zupełnym przypadkiem, bo w czasach kiedy kierowano się przeczuciami, cudownymi znakami, tylko cudem można było wyrwać się z opiekuńczych ramion rodzicielki.

I taki cud farciarzowi Dragoszowi przypadł w udziale. Dziwnym trafem na rodzinnych ziemiach młodego witezia pojawił się żubr. Dragosz wziął to za dobrą wróżbę, zebrał trzystu najsilniejszych, najodważniejszych mężczyzn i ruszyli za zwierzem. Gdy żubr szedł w góry, to oni za nim, jak ruszył wzdłuż rzeki, to oni za nim, a drogę węszyła im suka Molda. Kiedy tylko żubr chytrze chronił się w skalnych rozpadlinach, suka ujadła tak długo, aż drużyna Dragosza ujrzała zwierzę. Jednak kiedy tylko do niego dochodzili, ten uciekał coraz dalej i dalej...

Po przejściu Karpat ujrzeni widok, który spowodował, że trzystu najsilniejszych, najodważniejszych mężczyzn oniemiało. W ziemię wryło i samego Dragosza i sukę, która zawyla z zachwytu. Ich oczom ukazał się bowiem raj: jak wzrokiem sięgnął, falowały złociste łany zbóż, łąki kwiatów, lasy pełne łownej zwierzyny, grzybów, smacznych jagód i poziomek, winnice ze słodkimi winogronami, pasieki z wybranym miodem. Zachłyśnięci rajskim widokiem zbiegli z gór prosto na pole. Suka Molda nie pozwoliła im beczynninie stać. Ujadając wbiegła w las, a myśliwi za nią. Na wielkiej polanie leżał żubr. O dziwo, dotychczas na ich widok żywo gnał przed siebie. Tym razem ani drgnął. Trzystu i Dragosz odczytując jego zachowanie jako dopełnienie zgody na koniec podróży, rzucili się na niego z rohatynami i toporami.

Żubr nie miał szans. Łeb ubitego zwierza powiesili na słupie, żeby im szczęście przynosił, a dumny Dragoş orzekł: „To będzie nasza ojczyzna!”

Tymczasem spragniona i wycieńczona wielodniową pogonią za żubrem suka pobiegła do rzeki. Tak długo piła wodę, tak długo chłęptała i napełniała pusty żołądek... aż pękła. Na cześć suki rzekę nazwano Moldovą, a od niej nazwę wzięła cała kraina. Zaś w herbie Moldowy umieszczono głowę żubra.

Tyle legendy, bo Bóg nie przewidział ZSRR, i że nikt mimo żyznych gleb nie wykorzysta bogactwa natury. Później już nie będzie ani silnych, ani odważnych, ani mądrze zarządzających.



Tuż przed 15.00 na stacji Bălţi-Oraş na pagórku siedzi baba otoczona wianuszkiem kóz. One się pasą. Ona z rozłożonymi, starymi nogami i rękami złożonymi na podołku. Tak sobie siedzi. Kozy zajęte trawą. Bieda piszczy w każdym kącie stacji. A na niej stoją mężczyźni w koszulkach na ramiączkach i drapią się po grubych brzuchach. Oprócz nich i starych opatulonych bab, nie ma nikogo.

Bălţi czyli Belz, Bielce to największe miasto północnej Mołdawii – 160 tysięcy ludzi, a z pociągu wygląda jak grajdoł. Choć bez przesady, w końcu setki polskich stacji nie mają się lepiej. Przynajmniej z okna przedziału.

Potem pociąg jak żółw przemierza: Făleşti, Ungheni, Pirliza, Corneşti, Bahmut, Sîpoteni, Călăraşi, Străşeni, aż do Chişinău, czyli Kiszyniowa.

Krajobrazy pustki i biedy są powtarzalne.

Pociąg z Warszawy Centralnej do Kiszyniowa ze stacji rusza co drugi dzień, w dni parzyste o 7.15. Jedzie 36 godzin i 15 minut. Na miejsce dojeżdża na 20.30 czasu mołdawskiego.





PAN ROMANOW I MIASTO PRZEKŁĘTE



Dworzec był przygaszony, lampy ledwie się tliły. Lekarze lekko wyskoczyli ze swoim kilkudniowym wyposażeniem. U mnie tak łatwo nie idzie. Po uniesieniu plecaka z bagażem na 80 dni mam nogi jak z waty, a przecież mam jeszcze drugi, mniejszy, z książkami i żubrówką, i reklamówkę z cukierkami „dla gagauskich dzieci”. Wyginam się w pałąk i kuśtykam do wyjścia. Gdy noga odnajduje pierwszy schodek, czuję, że ktoś chwytą moją rękę. To David. Nie miałam pojęcia jak wygląda. Ledwie wymieniliśmy kilka maili. Odnalazłam go na jednym z forów o Mołdawii. Napisał, żebym przyjeżdżała.

Mówi, że schudł tego lata 8 kilo, bo były tygodnie, gdzie każdego dnia temperatura sięgała 40 stopni i nawet nie próbował wychodzić z domu. Czasami tylko do sklepu po wodę. Jeszcze teraz, w październiku, w Kiszyniowie było jakieś 10 stopni cieplej niż w Polsce i wiatr przyjemnie smyrał twarz. Wydawało mi się, że to ciepło to tylko taka iluzja. Jednak krótki rękaw Davida wskazywał jednoznacznie, że nie.

Chłopak był piękny. Miał regularne rysy twarzy, krótkie, ciemne, pofalowane włosy i wielkie, orzechowe oczy. Delikatne, miękkie ruchy i lekki, ale niedbały krok. David wziął mój duży plecak, ja mniejszy i reklamówkę z cukierkami „dla gagauskich dzieci” i tak doszliśmy na krzyżówkę z marszrutkami. Prawie nie rozmawialiśmy. Uśmiechaliśmy się do siebie jak starzy przyjaciele, którzy nie muszą do siebie mówić, bo i tak się rozumieją.

David wynajmował duże, trzypokojowe mieszkanie na samym początku Șose Hincești, zaraz przy centrum. A właściwie dwupokojowe, bo jeden z pokoi był

zawalony rzeczami gospodarzy i ze względu na tę przeszkodę mieszkanie wynajmowali jako dwupokojowe, po niższej cenie, 200 euro za miesiąc.

Dostałam przydział: pokój z „widokiem” na rondo, bodajże 40-lecia, ale podgląd na nie skutecznie tarasowały inne bloki. Brzydkie, szare, gołe.

Ledwie rozpakowałam się i wykąpałam, do drzwi zapukali goście. Stanęli w progu i od razu było widać, że są tacy jak David. Młodzi, fajni, dobrzy, zabawni, wygadani, otwarci. Tak, bo to była tutejsza inteligencja. Tolik, Silvia, Adrian, Żenia.

A co się robi z inteligencją? A się chla. Żubrówkę, bo przywiozłam ją z Polski, mołdawskie wino, bo byliśmy w Mołdawii, rosyjską wódkę na cześć Davida, whisky ku chwale wszystkich.

David tworzy strony internetowe, jest programistą. Do pracy potrzebny jest mu komputer i internet. Mieszkał już w Delhi, Stambule. Chyba najdłużej w Warszawie, dwa lata. Mówi po polsku prawie bez akcentu.

David Alexei Romanow – tak się nazywa. Brzmi to jak jakaś wymyślona, sceniczna mieszanka, ale nie, to jego prawdziwe dane. Jednak rodzice, jak na liberałów przystało, dali mu wolną rękę we wszystkim, i jak tylko młody Romanow podrośł, zamarzył sobie amerykańskie imię i przechrzcił się na Davida.

– Z rodzicami miałem tylko jeden problem jako nastolatek, byłem zły na nich, że na wszystko mi pozwalali, że nie było kar, zasad – mówi wypuszczając z ust dym z papierosa, i subtelными, niemal chłopięcymi palcami przytrzymuje go. – No to takie właśnie miałem problemy... – skończył lekkim uśmiechem.

Gdy wstałam, Romanow jeszcze spał. Nawet śpiący wyglądał źle. Obserwowałam jego powolne ruchy, gdy już wreszcie przewyciężył słabość i zdołał wstać. Wyglądał jakby światło miało go zabić. Widać, że oprócz bólu głowy, mdłości, braku sił, ma jeszcze w sobie sporą dawkę strachu, niepewności kroku i stanu duszy. Taką często powoduje dzień następny. Dzień po chlaniu. Tak właśnie wyglądał, a ja wiedziałam, że wyglądam tak samo, i co gorsze, tak się czuję. Przypomniało mi się powiedzenie, które mniej więcej idzie tak: „Żeby sprawiedliwości stało się zadość, kacem kończy się radość”.

Długo czekałam aż zbierze się do wyjścia, wyglądał i snuł się po domu jak zjawa. Zaczął grzebać w lodówce, ale znalazł tylko wino. Spotkanie oko w oko z trunkiem dodatkowo go osłabiło. Wyszedł na werandę, zaciągnął się kilka razy i już mogliśmy iść.

Zapraǳnęłam chłodnego, pomidorowego soku. W sześciu alimentariach (*alimentaria* to sklep spożywczy) na sok pomidorowy reagowali rozkładaniem rąk lub pytającą miną, jakbym zapytała co najmniej o świeżo wyciśnięty sok z młodych, rumuńskich dziewcz. Znalazłam go dopiero w dużym spożywczym molochu.

– Kiedyś był tu kolega z Hiszpanii i też długo szukał soku z pomidorów. Tutaj go nie piją – powiedział David.

Ruszyliśmy na podbój Kiszyniowa. My, dwie zjawy i sok. Najpierw do zagajnika zieleni, parku Stefana cel Mare, czyli Stefana III Wielkiego, wielkiego wodza, wojewody mołdawskiego. W całym kraju, w każdym mieście są ulice jego imienia, parki, pomniki, obrazy, makaty.

Co chwilę któreś z nas opadało z sił i przysiadaliśmy na ławkach. Tutaj, w parku Stefana cel Mare kawałek Kiszyniowa tonie w zieleni i cywilizacji. Monumentalna fontanna z kolumnami, Wi-Fi i kontakty przy ławkach, żeby móc śmiało korzystać z laptopów albo doładować komórkę! Październikowe, jeszcze żywe słońce prześwituje przez drzewa, krzewy, kwiaty i mile otula. Kiszyniów wygląda jak powrót do przeszłości, wczesne lata 90., a ten jego kawałek, park – jakby przeniesiony z innego świata.

– One tak wszystkie się ubierają. Dobre wyjście za mąż to jedyna ich szansa na wyrwanie się, więc robią co mogą, by sobą zainteresować, a inwestują tylko

Park Stefana cel Mare w Kiszyniowie



w wygląd – komentuje David, gdy przechodzi obok nas kolejna młoda dziewczyna, wyglądająca jak dziwka, która naturalną urodę przykryła grubą warstwą pudru, jaskrawymi cieniami do powiek, a usta powlekła siemiężną, tłustą szminką. Obcisłe koszulki z dekoltem w wyrazistym kolorze, kuse spódniczki, połyskujące, lakierowane buty na niebotycznie wysokim obcasie.

Takie dziewczyny są nie tylko tu. Są i w Kijowie, Mińsku, Moskwie... Śladowe ilości tego rodzaju laseczek są niemal wszędzie.

Zaraz przy parku strojne ulice z ekskluzywnymi sklepami, McDonald, drogie restauracje. Wszystko dla bogatych, których jest tu tyle samo, co biednych. Jeden świat przenika się z drugim.

W Kiszyniowie odbywał się tego dnia *summit* i całe centrum było zakorkowane, bo młodzi policjanci bardziej wstrzymywali ruch niż nim kierowali. Mówili, że tędy nie można przechodzić, ale już nie wiedzieli, gdzie przejść można.

W muzeum wojska na wolnym powietrzu stał jeden samolot, czołgi i działa. Militarne go dobytku pilnowało dwóch mężczyzn. Niby nic nie robili, stali, ale nagle ruszyli w naszym kierunku, zapytać, co my tu robimy, czemu się tu kręcimy. Najpierw chcieli nas wygonić, potem chcieli od nas bilety z kasy, której nie potrafili wskazać. Wyjęłam polską legitymację prasową, która na odwrocie miała informację po angielsku i z pełną powagą powiedziałam, że przyjechałam pisać o tutejszych muzeach. Davida, który stał obojętnie obok czołgu, przedstawiłam jako tłumacza. Panowie zmienili zdanie i zapraszającym ruchem ręki wskazali najatrakcyjniejsze według nich eksponaty.

Chciałam pójść do kina, ale to, do którego zajrzeliśmy, było w wakacje zamknięte, drugie przechodziło remont, i tam też nic nie pokazywano. Trzeciego nie szukaliśmy.

Po drodze mijaliśmy wystawę, na której był tylko jeden eksponat: biała suknia ślubna z połyskującą górą i dołem jak beza. Tłem dla niej była podrapana, blada ściana, bure kafelki i stary licznik, od którego odchodziła szara, cienka rura.

Do dziś nie zapomniałam też widoku weselnego auta, które stało przed wejściem do bloku. Niby nic nowego, ale to auto stało na kawałku chodnika, wielkości jakby wyciętej na ten samochód. Wokół żadnego wjazdu, tylko długie, kręte schody prowadzące na ten kawałek pod auto. Wnieśli je, czy co?

Gołym okiem widać podziały na równych i równiejszych, bogatych i uboższych, krezusów i biedaków. Po ledwie skleconych ulicach mkną najprzedniejsze marki

albo stare motoryzacyjne łachy. Podczas jednego spaceru bez trudu można zauważyć kierowców w ładach, czy nawet zaporozcach, i tych drugich, w czarnych kurtkach ze skóry, garniturach, w smolistych, lakierowanych chryslerach, mercedesach, a nawet porsche.

Nawet mołdawska politia porusza się po krajowych drogach ładami. W sumie to nawet szkoda byłoby, żeby samochód innej marki tłuł się po tych dziurach. Powinien być wprowadzony zakaz poruszania się po Mołdawii samochodami innymi niż łady. Wyjątek dla busów. Bo bez marszrutek, „soli” tej poradzieckiej ziemi, Mołdawia nie byłaby Mołdawią.

Po republice podróżował i Eric Weiner, amerykański dziennikarz. W książce *Geografia szczęścia* opisał dziewięć krajów zaliczanych do najszczęśliwszych

miejsc świata – ranking według poziomu szczęścia deklarowanego przez samych obywateli: Holandię, Katar, Tajlandię, Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone, Indie, Bhutan, Szwajcarię i Islandię. W którymś momencie neurotyczny autor jest już zmęczony otaczającym go zewsząd szczęściem, więc jedzie od kraju, który leży na przeciwnym biegunie radości, kraju uchodzącego za pań-



stwo o najniższym w światowej skali stopniu poczucia szczęścia mieszkańców. Ten kraj to Mołdawia. Po dwóch tygodniach w Mołdawii nabrał odpowiedniego dystansu do szczęścia – złapał doła i mógł jechać dalej. Weiner ukuł nawet termin: „mołdawiowo”, znaczący mniej więcej: sennie, byle jak, kiepsko. Po prostu źle.

Mołdawia przypomina też kraj opisany w pastiszu przewodnika turystycznego z cyklu *Lonely Planet**. Trzech Australijczyków: Tom Gleisner, Santo Cilauro i Rob Sitch napisali książkę *Molvania: a Land Untouched by Modern Dentistry* (*Molvania. Kraina nietknięta przez nowoczesną stomatologię*) o zacofanym, post-sowieckim kraju, gdzieś na wschodzie Europy. Według nich patronem Molwanii

* zob. <http://en.wikipedia.org/wiki/Molvan%C3%AEa> (j. ang.)

jest św. Fiodor (prawosławny patron bombowców), sam kraj to historyczne królestwo, którym rządili despotyczni władcy, później najechane przez hitlerowskie Niemcy, okupowane przez ZSRR, a po upadku komunizmu rządzone przez dyktatora powiązanego z mafią. Molvania ma problem z bieżącą wodą, kanalizacją, z infrastrukturą oraz indolencją aparatu biurowego. Sami Molwańcy są brudni, nieuprzejmi i posługują się językiem, który jest tak skomplikowany, że praktycznie nie do nauczenia. Bywają też psychotyczni, z licznymi dziwnymi, nielogicznymi wierzeniami i obrzędami. W molwańskich restauracjach za kelnera z wąsami trzeba zapłacić ekstra, a tani nocleg najlepiej znaleźć w akademiku, gdzie za niewielką opłatą można dostać i studentkę (na własne ryzyko). Molvania to „kolebka koklusu” i „właściciel najstarszego reaktora atomowego w Europie”, ale – co ważne – radioaktywność spadła do akceptowalnego poziomu! Sama Molvania tak upodobała sobie symbole robotniczej walki, że na swojej fladze ma nie tylko sierp i młot, ale też i... łopate!

Inspiracją do napisania „przewodnika” nie był żaden kraj z byłego bloku wschodniego, a Portugalia. Otóż autorzy wybrali się tam w celu przeżycia przygody życia i podziwiania tamtejszej sztuki. Na miejscu czekało ich wielkie rozczarowanie: zapuszczone hotele, zamknięte muzea, zabytki do renowacji. Aby nikogo nie obrazić, dołożyli do tego sporo innych podróżniczych rewelacji i wymyślili Molvanię.

Przypadkiem czy nie, w rzeczywistości najbardziej przypomina ona Mołdawię. Choćby stolica – Kiszyniów, największe miasto w Mołdawii. Ona sama ma jakieś 3,5 miliona mieszkańców, on 670 tysięcy. A jakoś się tego nie czuje. I nie pamięta dróg, bo nie ma oznaczeń, drogowskazów, a ulice są dziurawe jak ser, i chodniki też, o ile w ogóle są. Kiszyniów oddał je w prywatną własność, bo sam nie miał funduszy na ich utrzymanie, a teraz właściwie nikt się nimi nie zajmuje.

Jest bezbarwnie. Gorący, parny październik, a to miasto gnije od szarzyzny: domy, samochody, ulice, klatki schodowe, sklepy, ludzie, psy, koty, brud, śmiecie i kwiaty, budynki ministerstw, knajpy, budy sklepiarzy.

Kraj jest biedny, to i na wszystkim się oszczędza, zwłaszcza na energii. W nocy szuka się wejścia do bloku po omacku. Na chybił trafił stawia się nogę na nierównych schodach i na czuja wkłada klucz do zamka, żeby otworzyć drzwi. Wody z kranu lepiej nie pić. Ciepło i zaduch jest w lecie, zimą kiepsko z ogrzewaniem.

Kiszyniów to miasto, które wielbi Aleksandra Puszkina – chrzcząc jego imieniem ulice, stawiając mu pomniki i popiersia, tworząc miejsca kultu. Poeta spędził w Kiszyniowie aż trzy lata ze swego krótkiego, niespełna 38-letniego życia. Jednak nie z własnej woli – na południe Rosji został zesłany w 1820 roku z powodu krytyki tyrańskich i absolutystycznych rządów carskich. Kiszyniów należał wtedy do carskiej Rosji, która traktowała to miasto jako dziurę, w sam raz nadającą się na obóz karny dla krnąbrnych.

„Dostawał się tu znowu w sferę, która fatalnie nań oddziałała. Kiszyniow był wówczas miastem bardzo różnolitem. Ludność miasta składała się przeważnie z Mołdawian, ale było też wielu Żydów, Bułgarów, Greków, Turków, Rusinów, Niemców, Francuzów, nawet Włochów. Inteligencyę stanowili tylko oficerowie sztabu.

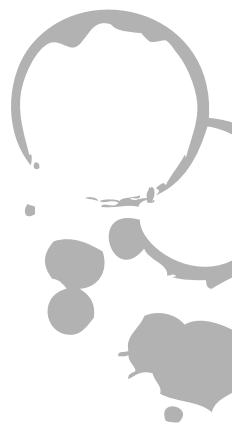
Była tu dziwna mieszanina obyczajów; po wierzchu zdawało się, że to europejskie miasto z balami, rautami, publicznymi ogrodami, ale pod tym pokostem żyły turecko-mołdawskie tradycje, a rozwiąłość była tak powszechną, że się uważała za rzecz zupełnie naturalną. Puszkina podglądał z pogardą na Kiszyniow, porównywał go nawet z Sodomą, wyśmiewał damy kiszyniowskie, ale jednocześnie nurzał się w łatwych rozkoszach, których mu stosunki miejscowe dostarczały”*.

Mimo pogardy, jaką Puszkina darzył stolicę Mołdawii (ale niekoniecznie tamtejsze „dziewczynki”), miasto pokochało go bardzo! Tak bardzo, że uczciło wielkiego poetę i ulicą, i pomnikami, i muzeum w samym centrum. I kto tam wie, czym jeszcze. Niestety, ta miłość była ślepa i bez wzajemności, bo Puszkina siedząc na zesłaniu pisał o nim:

*Przekłete miasto Kiszyniów!
Język umęczony od łajania ciebie
Kiedyś w grzesznej krwi
Twoje domy zabrudzone
Grom z nieba, z pewnością, walnie
I – nie znajdę twoich śladów!***

* Józef Tretiak, *Mickiewicz i Puszkina. Studya i szkice (z 2-ma portretami)*, Warszawa 1906, s. 91.

** Aleksander Puszkina, *Listy do Wigila. Z Odessy Do Kiszyniowa*, 22 października – 2 listopada 1823 r.



Podobno po przybyciu do Kiszyniowa Puszkina zatrzymał się w jednej z kiszyniowskich glinianych lepiarek. Jeśli wziąć ten fakt pod uwagę, nietrudno zrozumieć jego brak sympatii dla tego miasta. Jednak sam Kiszyniów zanadto nie przejął się złą opinią i z czasem kult Puszkina stawał się coraz większy.

Kiszyniów musiał być ciemny i wiek później. Kiedy w latach 20. ubiegłego wieku aktorka Anna Tańska występowała w Rosyjskim Teatrze Dramaturgii w Kiszyniowie, po jednym ze spektakli przyniesiono jej kosz z kwiatami. Dołączona była karteczka: „Promykowi słońca w ciemnym Kiszyniowie”.

Teraz nad rodzinnym miastem znęca się i mołdawska artystka Nicoleta Esinencu, która napisała nawet esej *Kiszyniów – miasto migreny!*, a w nim smutną prawdę: „Kiszyniowianie chętnie kupują bilet do Muzeum Narodowego, tylko dlatego, że wstęp do muzeum jest tańszy niż do publicznej toalety”.

Zresztą Kiszyniów nigdy nie przywykł do sfor turystów. Rocznie Mołdawię odwiedza około 25 tysięcy obcokrajowców. Baza noclegów uboga, ceny europejskie, a standard średni. Zwykle za kilka euro można wynająć pokój u ludzi.

W kraju, gdzie średnia pensja to 1500–2000 mołdawskich lei, taki gość to jak manna z nieba.

Davidowi też udzieliła się smętność stolicy Mołdawii. Jest tu trzy miesiące, ale zbytnio mu się tu nie podoba. Mówi, że zwykle wyjeżdżając gdzieś, zwiedzał cały kraj, wychodził na spotkania, do klubów, do teatru, a tutaj prawie cały czas siedzi w domu. Nie wie, dlaczego.



Błękity kościół w Kiszyniowie





MILEȘTII MICI – FONTANNY Z WINEM



Mołdawia to kraj o kształcie kiści winogron. Ten kształt zobowiązuje. Oprócz północnej, nieco chłodniejszej części, na terenie Mołdawii ścielą się winnice, które zajmują aż 10 procent republiki! Wytwarza się tu kilkadziesiąt różnych rodzajów win i szampana. W drugą niedzielę października wszyscy zjeżdżają się do większych miast na Narodowy Dzień Wina. Odbywają się tam huczne imprezy ku czci Bachusa.

Kiszyniów pięknie raz w roku, wtedy to ulicami stolicy Mołdawii idą wielkie kiście winogron, ogromne butle wina, szampana, tysiące ludzi paradyje za flaszkami i z flaszkami. Dziesiątki, setki wystawców z całego kraju rozstawiają się na poboczach ulic. Stragany, butelki, kielichy, wino, rwetes, pijatyka! Są przedstawiciele i przysmaki największych gorzelni Mołdawii, są i gospodarze, którzy w swoich domach robią wino. Bo tutaj każdy dobry gospodarz ma obowiązek robić wino i nie marnować zbiorów, a im lepsze wino zrobi, tym większy podziw całej wsi i uznanie.

W tym roku zapowiadało się, że z powodu kryzysu parady winne nie będą tak spektakularne, właściwie stały pod znakiem zapytania.

Nie czekając na bieg wydarzeń, wzięłam plecak, aparat i ruszyłam do najpiękniejszej mołdawskiej winiarni, do Mileștii Mici – dosłownie „małego Mileștii”. Miałam wprawdzie do wyboru jeszcze Cricovię czy Brănești, ale to Mileștii Mici skusiło mnie. Nie tylko widokami po drodze i słynnymi fontannami, z których leje się czerwone i białe wino. Winnica Mileștii Mici nazywana jest „podziemnym królestwem wina”. To tylko wioska, a w swoich podziemiach mieści największy kompleks winny na świecie – 250 km piwnic wydrążonych w miękkim wapieniu!

W 2007 roku Mileștii Mici z dwumilionową kolekcją win zostały wpisane do *Księgi rekordów Guinnessa*.

Poza tym sama nazwa – Mileștii Mici! Czyż ona nie brzmi pięknie? Przypominała mi też inną, mołdawską nazwę, kiełbasek z mielonego mięsa z czosnkiem – *mititei* (lub *mici* – wym. miczi). Słyszycie to? Kanapka z mititei-miczi, popita winem z Mileștii Mici. *Poftă bună!* Mniam!

Słońce prażyło od rana, już jesienne, a jeszcze mocne. Tak że wystarczyło chwilę zawadzić w ciemnych okularach o nie wzrokiem, by potem przez dobrych kilka sekund przed oczyma sterczała wściekle czerwona plama. Powietrze lekko drżało od temperatury i bezwietrznej pogody.

Marszrutką wyjechałam poza miasto na wylotową na Hincești, bo to przez nie jechało się na Mileștii. Kierowca wysadził mnie, pokazał palcem stary, rozwalający się autobus i zapewnił, że dojadę nim tam, gdzie chcę.

Komunikacja jest tania. Jazda marszrutką po mieście to 2–3 leje za przejazd; 1 lej to około 25 groszy. Dodatkowo 5 czy 6 dałam za przejazd z Kiszyniowa do Mileștii Mici. Autobus był stary, biało-niebieski i zipał jak stara lokomotywa. Środek dnia, ludzie wracali z targów, zakupów, nocnych zmian, zmęczeni, spaleni słońcem.

Nikt nie wiedział, o której ruszy autobus, ale wcale mnie to nie zdziwiło, tu nikt nie wie, o której cokolwiek odchodzi, zaczyna się czy kończy i czy w ogóle będzie otwarte.

Pojazd miał rzadko porozstawiane siedzenia. Sporo było ich z tyłu, ale sam środek z pojedynczymi. Jedno z krzeseł miało lewą nogę drewnianą, a wyglądała na trwalszą od tych metalowych.

Siadłam wygodnie i wystawiłam twarz do słońca. Mały Mołdawianin z czarnymi lokami smyrał mnie po kolanie miśkiem. Widocznie chciał zadzierzgnąć kontakt. Po 10 minutach od chwili gdy zajęłam miejsce, autobus zatrząsł się, zacharczał, potrząsnął wszystkimi pasażerami i siedzeniami i, o dziwo, całkiem żwawo ruszył.

Krajobraz był wczesnojesienny, tutaj nawet późnoletni. Przy drodze stali handlarze arbuźów, sprzedawcy dyń i stare kobiety z wnukami. Ot tak, żeby pomachać przejeżdżającym. Pola, pola, pola, już wysuszone. Na niektórych zachowały się jeszcze słodkie, sprażone słońcem kiście winogron. Pola tabaki miały się jeszcze całkiem dobrze, a trawa kawałkami zielona, pasmami wpadająca w kanarkową żółć, jak gdyby jeszcze nie zdecydowała, do jakiej pory roku należy.

Kierowca krzyknął: „Mileştii Mici!”

Wyskoczyłam z autobusu. Krajobraz nie jawił się tak bogato, jak się spodziewałam po tak słynnych winnicach. Zobaczyłam tylko parę chat, studnię, jedną zarośniętą dróżkę, drugą wysuszoną, piaszczystą, prowadzącą nie wiadomo dokąd, i kozę! Zameczała i tyle było rozmowy.

Przy domach nie było nikogo, by zapytać jak iść. Ruszyłam przed siebie. Gdzieś na horyzoncie rosły dachy domów. Przeszłam kilka kilometrów polami i sadami. Pojawiły się pierwsze domki, potem kolejne i kolejne. Na środku wioski było coś na kształt ronda, a właściwie zakole, gdzie była duża, zdobiona studnia. Napiłam się z niej wody, zamoczyłam twarz. Obok mnie siedziało dwóch, na oko ośmiolatków. Postawili obok studni kolorowe, szkolne plecaki i chlustali na siebie wodą. Pomyślałam: „mój ratunek”, zaraz wskażą mi drogę do winiarni. Zagaiłam. Przerwali zabawę i patrzyli na mnie zdziwieni. Rzuciłam jeszcze kilka zdań po rosyjsku, ale im ich oczy robiły się większe, tym i ja bardziej byłam zdziwiona, o co chodzi.

Nagle na plecach poczułam czyjś wzrok. Przy studni stał dobrze zbudowany, porządnie opalony gospodarz z wąsem. Podeszłam do niego. Przywitałam się i zapytałam o fabrykę win. Pokręcił głową, pomachał łapami wielkimi jak bochny chleba, zaświergotał coś po rumuńsku, a ja dalej nie wiedziałam, gdzie mam iść. Zapytałam raz jeszcze o to samo, tyle że teraz to już był tylko wywód po rumuńsku. Przerwałam mu monolog, podsuwając zdjęcia fontann z winzawoda. Sądziłam, że to załatwi sprawę. W końcu zdjęcia słynnych fontann obieżyły dobre pół świata, a skoro mieszka się tam, gdzie one są, to trudno uchować się bez słyszenia o nich. A jednak się da. Krępy, ciemnowłosy Mołdawianin bezradnie rozłożył ręce. Wtedy zupełnie od czapy zapytałam tego wiejskiego chłopinę po angielsku: „Gdzie jest fabryka wina?” I co się stało? Odwrócił się, wyciągnął rękę, wysunął wskazujący palec i ładnym rosyjskim powiedział, że to za wioską, i trzeba daleko iść. Nagle odzyskał mowę. Odzyskał rosyjski. Odzyskał tylko dlatego, że przestałam mówić do niego w tym języku!

Musiałam wrócić do punktu wyjścia, czyli tam, gdzie wysiadłam, a nawet dalej. Ruszyłam z powrotem. Chciałam zatrzymać jakieś auto, ale nic nie jechało. Szłam na czuja, na ukos, przez pola. Przede mną ścieliły się hektary z wysuszonymi krzawkami winogron. Taaak!!!! Przecież to oczywiste! Do fabryki win trzeba iść przez pola z owocami, z których się je robi!

Słońce nadal bezlitośnie piekło w twarz. Podwinęłam nogawki i rękawy. Suche krzewy winogronowe z wypłowiałymi liśćmi nieśmiało pięły się na drutach naciągniętych na betonowe pale. Było już po zbiorach, ale na pojedynczych krzakach wisały jeszcze słodkie, nasłonecznione, podsuszone kiście. Twarde grona, z chrupką skórką nadgryzione tryskały słodkim, orzeźwiającym sokiem.

Położyłam się na dróżce i przytuliłam twarz do nagrzonej trawy. Pachniała ziemią, która od wielu dni nie zaznała wilgoci. Mimo trwającej od wielu dni suszy trawa była miękka i delikatna. Słońce w kolorze miodu gryczanego ciągle ciemniało. W końcu słoneczna, już ciemnoherbaciasta kula ruszyła na zachód.

Po jakichś trzech kilometrach pojawiła się ulica, a przy niej ogromne, murowane bramy. Tak, to były kolejne bramy do wjazdu do podziemi Mileştii Mici.

Mężczyzna pilnujący głównego wejścia do królestwa wina z rosyjskim nie miał żadnego problemu. Niepytany podbiegł do mnie i objaśnił, co gdzie jest, i podkreślił, że najważniejszy to ten sklep z winami, bo mogę kupić wszystko, czego dusza zapagnie. Zapomniał dodać, że pod warunkiem, że będzie to wino, ale kto by się tam czepiał miłego faceta, która obdarza uśmiechem białych zębów i jednego złotego. Zająłam się oglądaniem fontann, a ten jeszcze z daleka krzyczał za mną: „dziewuszka, ten sklep, to tam daaaaalej!”

Fontanny były dwie, jedna z winem czerwonym, druga z winem białym. Na samej górze każdej z nich była wielka, piękna beczka, z której „wino” (farbowana



Fontanna z winem

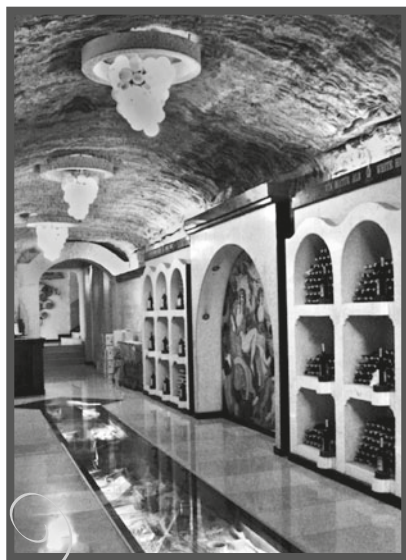
woda) spływało do wielkich flaszek, a z nich do jeszcze większych szklanych kielichów. Z nich i rozłożonych glinianych dzbanów „wino” spływało po skałach do czerwonego lub białego źródła.

Przy fontannach stała biała, długa limuzyna z balonami, a fotograf robił sesję nowożeńcom i ich świadkom. Ci biegali od fontanny do fontanny. Pan młody podtrzymywał welon ukochanej, a ona falbany swojej sukni.

Cały budynek fabryki jest w kamieniach i marmurach. Wnętrze sklepu zajmują urodziwe flaszki, które stoją na imitujących krzewy winogronowe stojakach, na marmurowych półkach w ścianach, na wyłobionych specjalnie dla nich miejscach. Drogę do kolejnych i kolejnych butelek oświetlają żyrandole o kształcie kiści winogron. Na ścianach freski, żłobienia, pod szklaną podłogą widnieją stare naczynia do produkcji wina. Tu na półkach leżą obok siebie nowoczesność i tradycja. Wina słodkie, wytrawne, czerwone, białe, różowe, musujące, stare butelki seniorzy, którym należy się szacunek i młode, znacznie tańsze wino, którego zadaniem jest dać się posmakować i szybko wprowadzić w stan nieważkości. Są butelki z tradycyjnymi pieczęciami dodającymi im szlachetności i nalepkami z nazwą, w skrzynkach, w drewnianych podstawkach, w foliowych szlafrokach. Chłodne podziemne alkoholowe jaskinie o zapachu dębowych beczek, kurzu i napitków. Chłodne muśnięcie Bachusa.

Wizytę w podziemiach dobrze zamówić wcześniej. I dobrze mieć samochód. Na szczęście udaje mi się wcisnąć do auta bogatych „nowych Ruskich”, którzy przyjechali swoimi pojazdami i mieli wolne miejsce. Byli tak nawaleni, że właściwie nie wiem, po co im była jeszcze wizyta w podziemiach, ale przecież byli moimi wybawicielami. Na pytanie, „czy zabiorą mnie ze sobą?”, kiedy jeszcze nie dokończyłam pytania, wielki jak dąb Rosjanin wziął mnie na ręce i powiadomił resztę: „Dziewuszka jedzie z nami!”. Reszta ucieszyła się, że im więcej, tym lepsza zabawa, i ruszyliśmy!

„Monopolowy” w Mileştii Mici



Mileștii Mici to podziemne miasto, z własnymi ulicami, tyle że te nie noszą nazw znanych pisarzy, polityków, artystów, działaczy, ale szczepów winogron! I tak spokojnie wjeżdżamy w ulicę „Cabernet”, zbieramy zakręt i jest „Savignon”, chwilę dalej „Merlot”, „Pinot”... Są i młode flaszeczki i stare, dumne butle pokryte kurzem i pajęczynami. Mijamy podziemny wodospad spływający z kamiennej ściany – podobno woda z niego służy do obmywania beczek. Na koniec podziemnej wycieczki czeka degustacja w specjalnych salach z wielkimi żyrandolami, stołami i krzesłami. Po królewsku. Dosłownie. Choćby wino „Negru de Purcari”, które Mołdawianie nazywają „Królową angielskich win”. Dlaczego? Elżbieta II tak upodobała sobie rocznik 1990, że pałac Buckingham regularnie zaopatruje się w ten trunek.

I co? I było kulturalnie. Zaprawieni w boju Rosjanie sprawowali się jak grzeczni gimnazjaliści. Fakt, byli głośni i śpiewali, ale nikt nie wołał o łazienkę, nikt nie miał niestrawności, nikogo nie mdliło, nikt nie wymiotował. A przecież to nie takie oczywiste – piwnice Mileștii Mici i Cricovii zwabiły już mnóstwo zagranicznych gości: nasz Aleksander Kwaśniewski choćby, który w 2003 roku był bardzo kontent z wizyty i ba! Wyszła mu ona na zdrowie. W odróżnieniu od Julia Iglesiasa, który trochę się przeliczył. Na tyle, że rozczarowana mołdawska publika żądała zwrotu pieniędzy za koncert! Jak widać, Włosi są tylko głośni, a mocne głowy mają ci ze Wschodu.

Ciężki od ciężaru butelek plecak wyznaczył koniec wycieczki i czas na powrót. Najpierw pół kilometra krętą zadrzewioną drogą, z którą sąsiadowały bramy prowadzące do podziemi z beczkami. Potem kilometr z hakiem ulicą, z którą jeszcze niedawno sąsiadowały łąny zbóż, a potem droga spotykała się z kolejną, i na tym skrzyżowaniu stało kilka osób. Jak tak parę osób w jednym miejscu stoi bez wyraźnego celu, to ni mniej ni więcej oznacza to, że to jest przystanek, a oni czekają na marszrutkę. Kiedy owa dojedzie, trudno dociec. Ludzie stąd stają pi razy oko. Wiedzą, że gdzieś z daleka i mniej więcej o tej i o tej przejeżdża i przez ich miejscowość. Zwykle nie mają przy sobie nawet zegarka. Tu czekanie na marszrutkę wpisane jest w życie i nikt się temu czekaniu nie dziwi.

– Na Kiszyniów? – zapytałam tylko dla pewności. No i już staliśmy po stronie drogi wiodącej do stolicy Mołdawii, o jednego człowieka więcej. Bus się nie spieszył, więc siadłam na trawie i zaczęłam badać mapę. Jakaś babcia mołdawska



zlustrowała mnie wzrokiem, zaszczebotała po rumuńsku i wygrzebała z kieszeni cukierka i wepchnęła mi go do ręki.

– Mulțumesc! – dziękuję – odpowiedziałam po rumuńsku, bo to jedno z niewielu słów, które w tym języku znałam.

Coś mi zaczęła pokazywać na mapie, wyrzucając z siebie słowa z szybkością kałasznikowa. Była tak zaangażowana w objaśnianie mi topografii Mołdawii, że nawet nie próbowałam jej tłumaczyć, że jej nie rozumiem. Bębniła palcem w Orhei i zrozumiałam, że jak coś ciekawego mam zobaczyć, to tam. Z nerwem puknęła też palcem w Naddniestrze i zrobiła minę mówiącą jedno: „chodzące zło!”

Smoktałam babciną landrynę i patrzyłam na starą kobietę, jak wodzi palcem po mapie, i choć przyglądała się jej do góry nogami, to w tym momencie nie miało większego znaczenia. Znała atuty kraju, znała też jego słabe punkty i żadna mapa nie mogła tego zmienić.

Po około dwudziestu minutach dało się słyszeć rżenie nadjeżdżającego, zrytego na mołdawskich drogach mikrobusa. Jakiś facet w średnim wieku chwycił mój plecak. Babcia pokazując na niego, znowu zaczęła coś tłumaczyć. Wynikało z tego, że to jej krewny, może i syn. Jego wygląd na to by wskazywał i skoro ona już się ze mną zaprzyjaźniła, to dlaczego on nie miałby ponosić mój plecak.

Mimo że miejsc było mniej niż chętnych na nie, gdy wgramoliłam się do marszrutki, mój plecak dumnie sterczał na pierwszym siedzeniu. Krewniak babci szybko zdjął go z siedzenia i wskazującym ruchem ręki zachęcił do siadania. Sięgnęłam po plecak, ale pokazał, że będzie go trzymać, bo mi będzie za ciężko. Chciałam ustąpić miejsca babci, ale widocznie popełniłam tutejsze *faux pas*, chcąc oddać coś, co było zarezerwowane dla mnie. Rozległy się krzyki, babcia zaczęła protestować, machali nade mną rękami, więc choć czułam się niezręcznie, że staruszka stoi, gdy ja siedzę, podziękowałam tylko, a oni odwzajemnili się uśmiechami.

Mieli duże, spracowane dłonie i dobre, szczerze, brązowawe od słońca twarze, i dużą dozę gościnności dla obcych, graniczącą z szacunkiem.

Butelki z Mileștii Mici przydały się na wieczór. Dwa dni po chłopakach odwiedziły nas same dziewczyny. Wieczór urozmaiciliśmy sobie zabawą, która polegała na

tym, że każda z osób po kolei mówi: „nigdy w życiu...”, a ci, co robili, spróbowali tego, czego ta osoba nigdy w życiu nie robiła, wypijali kolejkę.

Tak! Tak! To znowu spotkała się inteligencja...

Zaczęło się od bzdur, że ktoś nigdy nie płynął statkiem, ktoś nigdy nie skakał ze spadochronu, czy nigdy nie jadł krewetek (ten moment, o dziwo, wywołał burzliwą dyskusję i uświadamianie Marijce, że na pewno jadła krewetki, tylko nie miała pojęcia, że się tak nazywają; w końcu w Mołdawii są na każdym kroku). Potem sprawnie przeszliśmy do tematu „morze”..., czyli życia seksualnego. I było „nigdy w życiu...” i już wszyscy wiedzieli, kto uprawiał seks oralny z kobietą, a kto z mężczyzną, jak było z seksem grupowym, kto zdradził, a kto nie, kto lubi, gdy się go bije, a kto komu płaci za drobne, fizyczne przyjemności.

David zakrzuszył się wódką wychylając swoją kolejkę po słowach lesbijki, że nigdy nie uprawiała seksu analnego. Jedna z dziewczyn spojrzała groźnie na koleżankę o tej samej orientacji, która piła kolejkę po zdaniu o seksie z mężczyzną.

– Nigdy w życiu nie uprawiałam seksu grupowego – powiedziała Masza.

Trzy osoby wychyliły swoje kieliszki, w tym ja. Reszta przerwała milczenie: „Aaaa możecie zdradzić jakieś szczegóły, jak, z kim???” – dopytywali.

– Tak, mogę, dwa człowieka i krewetka! – odparowałam z poważną miną.

Z werandy przenieśliśmy się do kuchni i potem już było tylko gorzej, bo rzecz tyczyła o tego, kto próbował popełnić samobójstwo, i kto kiedy ostatnio się masturbował. W oparach dymu z papierosów, którego tylko ja nie produkowałam, atmosfera była jeszcze bardziej gęsta i trudna do wycucia.

Niektórzy byli obruszeni, bo się nagle dowiedzieli na forum publicznym o czymś, czego lata całe nie wiedzieli przyjażniąc się z tą osobą. Bliskim znajomym, a już z pewnością parom tej gry nie polecam. Jak już czegoś nie wiedzą o sobie, to niech tak zostanie. Zabawa staje się zbyt poważna, a brudy są publicznie wyciągane.

Geje i lesbijki nie mają w Mołdawii zbyt różowo. Nie mają własnych klubów. O ile nie napotkają gdzieś przy okazji wspólnych działań międzynarodowych organizacji zajmujących się mniejszościami seksualnymi, to raczej żyją w ukryciu. Nawet w stolicy.





DZIEWUSZKA CIN CIN – MARSZRUTKI

– W marszrutce każdy pomaga drugiemu. Ostatnio trzymałem na kolanach czyjeś dziecko – mówi David.

Tak, tak, jazda marszrutką to rodzaj chrztu bojowego. I trzeba go przeżyć, bo każda najmniejsza wyprawa kończy się korzystaniem z jej usług. Wsiadając do marszrutki na chybił trafił, można całkiem dobrze poznać miasto, i lepiej się na tym wyjdzie, niż planując podróż. Jeśli jest przystanek, to nie ma nazwy, a gdy mały, zwinny busik rwie przed siebie, jedni wsiadają, drudzy wysiadają, około dwudziestu spoconych osób prowadzi ciągłą migrację, to zorientowanie się, gdzie się obecnie przebywa, graniczy z cudem.

W tym momencie należy co nieco napisać o marszrutkach i zasadach jazdy, bo bez tego w Mołdawii ani rusz. Marszrutka bowiem to w krajach byłego ZSRR główny środek lokomocji zarówno miejskiej, jak i międzymiastowej. Właściwa nazwa to *marszrutnoje такси*, co dosłownie oznacza „taksówkę poruszającą się po ustalonej trasie (marszrucie)”*. Marszrutka to taki nasz mikrobus z kilkunastoma miejscami siedzącymi. Pierwsze pojawiły się w 1930 roku w Moskwie, a prawdziwy *boom* marszrutkowy nastąpił w latach 90. (kiedy u nas kwitło disco polo). Za rozkwitem transportu marszrutkami stanęła gospodarka rynkowa – państwowy transport miejski okazał się niewydolny, więc z nadarzającej się okazji skorzystali prywatni przedsiębiorcy, oferując usługi przewozowe obywatelom. Po ulicach krajów byłego ZSRR zaczęło jeździć coraz więcej busów typu Ikarus, LAZ, PAZ, RAF czy KAwZ.

* za: http://ru.wikipedia.org/wiki/Маршрутное_такси (j. ros.)

Jednak hitem okazały się wprowadzone pod koniec lat 90. Gazele – tanie w eksploatacji, do tego bez trudu można było je tak przerobić, by jeździły na gaz, i były łatwe w naprawie.

Od tego czasu minęło kilkanaście lat i biznes przejęły głównie duże firmy, bo władze miejskie wyczuły interes i zaostrzyły przepisy bezpieczeństwa, a nawet zaczęły przyznawać pozwolenia na dane trasy – im bardziej uczęszczana, tym samym bardziej lukratywna, to i opłata dla przewoźnika większa. W ten sposób wyeliminowano wielu kierowców działających na własną rękę.

Co istotne, marszrutka będąca w trasie zatrzymuje się na każde żądanie pasażerów! Gdy chce się wsiąść, wystarczy zamachać. Gdy chce się wysiąść, wystarczy krzyknąć do kierowcy. Żadnej zabawy w zbędne przystanki i trzymania się rozkładu jazdy.

Bywają zabawne przypadki, gdy wsiada się na stacji początkowej, wtedy czeka się aż wszyscy zajmą miejsca, a na pytanie „kiedy odjeżdżamy?“, kierowca nawet nie odpowiada! Dlaczego? Bo panuje zasada, że musi się zebrać odpowiednia liczba osób i wtedy bus rusza. Proste. Czas odjazdu obowiązuje właściwie tylko w przypadku, gdy marszrutki startują z dworców autobusowych. Ale tu i tak kwadrans obsuwy to norma, albo wcześniejszy odjazd, kiedy jest wypełniona pasażerami. Zresztą pytanie o odjazd zadają tylko obcokrajowcy. Czekanie i niespieszenie się jest wpisane w naturę mieszkańców byłego ZSRR. To tylko Zachód ciągle gdzieś gna.

W przeciwieństwie do osobowych taksówek, w których o cenie decyduje taksometr, w marszrutce koszt biletu jest stały, i znacznie niższy niż w taksówce, zbliżony do tego w zwykłym miejskim autobusie.

Nie trzeba się też martwić, czy w nadjeżdżającej marszrutce znajdzie się miejsce. Jeszcze nie spotkałam kierowcy, który by powiedział, że nie ma miejsca. „Upychanie” na stojąco to norma. U nas podniesiono by alarm o kwestie bezpieczeństwa, tutaj uznano by to za zwykłą głupotę.

Podróż po mieście jest szybka. Lokalni *wodzitiele* nie kierują się zasadami ograniczenia prędkości.

Prawdziwa zabawa zaczyna się na dłuższych trasach, kiedy to marszrutki odjeżdżają z dworców. W tym przypadku, gdy już bus jest pełen pasażerów, kierowca robi rundkę między nimi i konfiskuje zapłatę za przejazd. Gdy po drodze ktoś dosiada się, działa zasada płacenia jak po mieście – podajesz pieniądze sąsiadowi

z przodu, a ten następnym i tak trafiają do kierowcy. Reszta wraca tą samą drogą. Jazda po Kiszyniowie to koszt 3–4 lei. Bez względu na to, czy jedzie się przystanek, dwa, czy na drugi koniec miasta, każdy płaci tyle samo.

Dobrze zorientować się wcześniej, o której odchodzi marszrutka, by być wcześniej co najmniej 15 minut i zająć miejsce. Ten, kto przychodzi o czasie, co najwyżej może liczyć na miejsce stojące, bo bus jest już wypchany pasażerami. Jeśli nie wysiadamy na głównym przystanku, to na wstępie informujemy, że chcemy wysiąść w jakiejś wiosce.

Ostatnie marszrutki z dworców odjeżdżają około 16.00. Późniejsze godziny są zarezerwowane na trasy bardziej oblegane. Kto nie zdąży, wychodzi na wylotówki prowadzące do największych miast i łapie stopa. Płaci się za niego, więc zawsze znajdzie się ktoś, kto podrzuci, a przy tym sam zarobi.

Z przedmieść chcę dojechać do domu. Znajduję tzw. zajezdnię marszrutkową – stoi kilka marszrutek, a obok nich kierowcy. Mężczyźni przypalają sobie przed odjazdem. Pytam jednego z nich, którym numerem dojadę na rondo 40-lecia, wskazuje mi marszrutkę nr 100. Wsiadam do jeszcze pustej setki, przybywa pasażerów. Mikrobus rusza. Kierowca rwie jak oszalały, zjeżdża z głównej i mknie bocznymi, maleńkimi uliczkami, co chwila hamuje tak, że połowa jadących przygniata tych, którzy stoją i tak przytuleni do przedniej szyby. Ktoś krzyczy, ktoś komuś ustępuje miejsca! Wsiadający próbują przepchać się na tył, potem wręczają siedzącym lub stojącym pieniądze, ci z kolei podają je kolejnej i kolejnej osobie, a ta kierowcy. Reszta wraca tą samą drogą. Rwetes jak w kurniku przy wizycie lisa. Kierowca nie zatrzymuje się, zmienia biegi, naciska gaz, segreguje leje w szufladce. Nie

ma przystanków, ludzie doskonale znają trasę przejazdu busa i machają kierowcy po drodze. Wszyscy sprawnie zajmują miejsca. Nawet staruszki chyżo wsiadają. Trwa to dosłownie ułamki sekund. Kto opóźnia jazdę o kilka dodatkowych, jest popędzany i przez kierowcę, i przez pasażerów: „bystrzej, bystrzej”.



Tak, tu funkcjonuje „umiejętność wsiadania i wysiadania pod presją czasu”, w innej dziedzinie życia Mołdawian, zwłaszcza w pracy, trudno się dopatrzeć jakichkolwiek działań, które muszą być wykonane sprawnie. A tu proszę, wsiadanie do marszrutki i wysiadanie z niej jest wyćwiczone.

Przez przyciemnione szyby, o które opierane są ciągle kolejne ręce, migają uliczki, zaułki, takie same bloki, podobne domki. Żaden z mijanych rejonów nie przypomina mojego. I nagle znowu znajduję się w punkcie wyjścia. Ładna mi przesiadka!

Podchodzę do kierowcy z mapą i pokazuję paluchem, gdzie chcę wysiąść, czyli przy krzyżówce Șose Hincești, przy pomniku Sorok Liet. Twierdzi, że tą trasą właśnie jechał. Hm. Niby proste, niby blisko centrum, ale coś poszło nie tak.

Marszrutka znowu napełniła się ludźmi i znowu zaczyna gnać z szybkością rosyjskiej rakiety. Jakies *déjà vu*.

Na wszelki wypadek pokazuję mapę mojej sąsiadce, dla pewności, że jak nie kierowca, od którego jestem odgradzona kordonem pasażerów i który już pewnie dawno o mnie zapomniał, to ona, dobra kobieta powie mi, kiedy poderwać się do wysiadki. Paru pasażerów stojących niedaleko ze zdziwieniem popatrzyło na mnie i na mapę. Pewnie żaden z nich nigdy by nie wpadł na taki głupi pomysł, jak zakup mapy w mieście, gdzie nie ma żadnych oznaczeń. Tu trzeba się urodzić, żeby wiedzieć, jakie są reguły, a nie bawić się w turystę!

Uciekam wzrokiem do kawałka zaciemnionej szyby i nagle krzyk kierowcy: „Cin Cin!!! Dziewuszka Cin Cin!!!”. Ostro hamuje i nagle pół busa wtóruje głośno: „Dziewuszka Cin Cin!!! Dziewuszka Cin Cin!!!”. Wszyscy gapią się na mnie i przyciskając się do szyb i tuląc do siedzeń, torują mi drogę do drzwi. Nie wiem, o co chodzi, ale nie pozostaje mi nic innego, jak wysiąść. Mówię kierowcy: „dziękuję”, choć jeszcze nie wiem, za co, i „do widzenia”, tu akurat wiem dlaczego, bo sekundę po tym jak zamknę za sobą drzwi marszrutka będzie gnać dalej. Wychodzę, wreszcie coś widzę i nie dowierzam... Znajomy sklep, pomnik, bloki. Chcę podziękować, zapytać co z tym „Cin Cin”, ale po marszrutce ani śladu.

Wieczorem opowiadałam historię jazdy. Adrian zaśmiewa się do łez. Spokojnie, w pełnej powadze czekam, aż przestanie ryczeć ze śmiechu i wytłumaczy mi, o co chodzi z tym „Cin Cin”. Co próbuje to zrobić, to znowu pęka ze śmiechu. Ha, ha, haaa!

Okazuje się, że tuż za miejscem, gdzie wysiadłam, za spożywczym, jest mała speluna żulerska i wołają na nią „Cin Cin”. Dla tutejszych to legenda. Dla obcych – wino

musujące. Dla kierowcy i pasażerów – nazwa przystanku. Adrian i reszta byli dumni ze swoich krajan, że tak finezyjnie ponazywali przystanki.

Ni stąd, ni zowąd zaczynamy rozmowę o mołdawskiej nauce, która ni mniej, ni więcej: leży i kwiczy.

– Czy Gagauzi dorobili się jakichś naukowców? – pytam, żeby już przestali się cieszyć z „Cin Cin”.

Pogorszyłam sytuację. Towarzystwo dusi się ze śmiechu. Ich twarze mówią jedno: też sobie wymyśliłam temat rozmowy! Ja jednak idę w zaparte.

– No bo na przykład... – zaczynam opowiadać – Rosjanie mają naukowców.

– ...hm... zaskakujące – stwierdził Adrian, i dalej trzyma się za brzuch.

– No więc, rosyjscy naukowcy po wielu latach badań ustalili, że gdyby całą wodę ze wszystkich oceanów, mórz, jezior, rzek, stawów, strumyków i wodę zawartą w atmosferze wpuścić do rurki o średnicy 1 cm, to rurka musiałaby mieć taką długość, że... że – rzekłam. – Wiecie jak długa by była?

– No bardzo – ktoś mówi.

– Ale jak bardzo?

– Neeee wieeeem!

– Byłaby tak długa, że ja pierdołę!

Najpierw wszyscy wytrzeszczyli na mnie oczy, a potem gruchnęli śmiechem.

– Rosyjscy naukowcy eksperymentowali też na muchach – mówię.

– Ha, ha, haaa – rozchodzi się.

– A mianowicie: jeden pionier wziął muchę, oderwał skrzydełka, położył na stole i rzekł doń: „much, idzi”. Mucha poszła. Oderwał jej jedną nóżkę, powiedział: „much, idzi”. Mucha poszła. Oderwał drugą, powtórzył: „much, idzi”. Mucha poszła. Oderwał trzecią – much, idzi, czwartą – much, idzi, piątą – much, idzi, ale skik, skik, ruszyła. W końcu naukowiec oderwał ostatnią nóżkę, powiedział: „much, idzi”, ale much, idzi się nie rusza, powtórzył: „much, idzi”. Much, idzi się nie rusza. Naukowiec patrzy na nią, wyciąga kajet i notuje: „po oderwaniu ostatniej nogi much, idzi”.





LIMBA NOASTRĂ



Mołdawski nacjonalizm poprzez swoją etniczność, znacznie odbiega od innych. Zamiast separacji, tamtejsi unioniści – wyjątkowo prorumuńscy, marzą o połączeniu się z sąsiadem zza zachodniej granicy. Rumunia to oni.

– How are you darling? – mówi do mnie Dana, która dzień wcześniej siedziała z nami przy stole i widziała, że wszystkie rozmowy odbywają się po rosyjsku.

– Dana po rosyjsku zna tylko podstawowe słowa. Mówi po rumuńsku i angielsku – tłumaczy Silvia, w której domu, tak jak i w domach jej znajomych, mówi się po rosyjsku. Właściwie trzeba być bardzo upartym, żeby nie nauczyć się tu tego języka. Używanie rosyjskiego jest na porządku dziennym: na ulicy, w sklepie, szkole, telewizji, na konferencjach i bibach.

Unioniści są tu wszędzie, od polityka, urzędnika, po chłopca w Mileștii Mici. Może mniej świadomego unionistę, ale kto go tam wie, pozory mylą.

No bo jak to tłumaczyć, skoro obowiązek nauki mołdawskiego nastąpił dopiero jak państwo pojawiło się na mapie, a nauka rosyjskiego taką koniecznością była od zawsze. Idąc tym tropem, powinnam nie móc porozumieć się tylko z dziećmi, ale okazuje się, że nagle „zapominają” go i dorośli.

W ciągu roku od wejścia Rumunii w struktury Unii Europejskiej (w 2004 roku) 600 tysięcy Mołdawian złożyło wnioski o rumuńskie paszporty (nie licząc dzieci), co daje całkiem sporą liczbę prorumuńskich.

Milion pracuje za granicą, w Turcji, Grecji, we Włoszech, w Rosji, na Ukrainie, a jak się udało to i w USA czy Kanadzie. Ilu prawdziwych obywateli, ilu prawdziwych pracowników, nie wiadomo. Wiadomo, że za mało. Ich. Pracy. Pensji.

Sam język mołdawski jako taki właściwie nie istnieje. W 2003 roku niejaki Vasile Stati opublikował słownik mołdawsko-rumuński. Ale ani rodacy, ani Rumuni nie przyjęli go owacyjnie. Co tu ukrywać, daleko mu było do opasłego tomu. To była taka mała książeczka, właściwie broszurka! Tak, to był cały ten mołdawski. Skończyło się na tym, że Ion Barbuta, szef Instytutu Lingwistyki Mołdawskiej Akademii Nauk, określił ją jako służące politycznym celom dzieło, a do tego absurdalne.

Kiedy rozmowy przy stole schodzą na ich przecież już ojczysty język, nie mówią „rozmawiamy po mołdawsku”, mówią „rozmawiamy po rumuńsku”. Rodzice Silvii, gdy siedzieliśmy przy kolacji, zapytali mnie, czy mówię po rumuńsku. Tak, nawet sami Mołdawianie nie zapytali, czy mówię po mołdawsku. Zaś wychodzące w Mołdawii pismo „Limba Română”, które pojawiło się wraz z krajem, uważane jest za pismo zagraniczne!

Absurd urósł do tego stopnia, że językowi mołdawskiemu poświęcono cały, 12-zwrotkowy hymn państwowy: *Limba noastră* (*Nasz język*):

*Język nasz jest skarbem,
co z głębin się wylania
Sznurem kamieni drogocennych,
Rozproszonym po naszych
starodawnych ziemiach.*

*Nasz język jest płomieniem buszującym
Między ludźmi budzącymi się
ze snu, bez ostrzeżenia,
Tak, jak rycerze z legend.*

*Nasz język tworzą pieśni
z najgłębszych zakątków duszy,
Błyskawicą, uderzającą nagle
Z ciemnych chmur nad błękitnym
horyzontem*

*Język nasz jest językiem chleba,
Gdy wiatr wieje letnią porą
Nasi ojcowie go stworzyli,
Błogosławiąc kraj swój pracą.*

*Nasz język jest liściem najzieleńszym
Lasów wiecznie zielonych,
Dniestr spokojnie faluje
Odbijając w sobie gwiazdy.*

*Nie krzycz teraz gorzkich żali,
Że twój język zbyt ubogi,
A zobaczysz, jak obfita
Mowa jest twojego kraju.*

*Język nasz jest pełen legend,
Opowieści z dawnych czasów,
Kiedy z nimi się zapoznasz,
wtedy zadrżysz ze wzruszenia!*

*Nasz język został wybrany,
By modły wznosić do nieba.
Wypowiadane z żarliwością,
Która nigdy nie ustanie.*

*Nasz język – to język święty,
językiem jest dawnych kazań,
co na wieki przechowane,
przetważył w pamięci ludu.*

*Język nasz zmartwychwstały,
Rdzewiał przez długie wieki,
Lecz pozbył się błota i ziemi,
Pokrywających go w czas zapomnienia.*

*Zbierz teraz błyszczące kamienie,
Odbijające światło słońca –
Zobaczysz niepokromioną powódź
Słów nowych, które płyną.*

*Skarb gwałtownie wykielkuje,
Z głębin przeszłości –
Sznur kamieni drogocennych
Rozsypany po naszym drogim kraju!*

Dwanaście zwrotek o czymś, czego nie ma? To wszystko nie jest jednoznaczne. Przecież Mołdawia (z wyjątkiem separatystycznego teraz Naddniestrza) była przed II wojną światową częścią Rumunii. Są też przesłanki, że tak naprawdę rumuński... jest mołdawskim. Bo Rumunia powstała w XIX wieku na ziemiach mołdawskich, w wyniku zjednoczenia Gospodarstwa Wołoskiego i Mołdawskiego po wojnie rosyjsko-tureckiej 1877–78. Królestwem została ogłoszona w 1881 roku. A że teraz Rumunia jest duża, przynajmniej w stosunku do Mołdawii, i starsza jako państwo, to się mówi, że to rumuński, a nie mołdawski.

Tak czy inaczej hymnu Mołdawii pewnie nie znał nawet jej prezydent, Vladimir Voronin! Trudno znać hymn, jak się nie zna mołdawskiego! Tak, tak, Voronin, Rosjanin z pochodzenia, nigdy nie wykazał dobrej woli (tak jak i spora część społeczeństwa – szacuje się, że około połowa Mołdawian nie zna języka kraju, w którym żyje).

Vladimir Voronin (po naszymu Włodzimierz), wyglądający jak prosty batuszka: szare, zwichrzone włosy, dwa podbródki i nos jak kartofel, był prezydentem ludzi wsi patrzących z nostalgią za sowieckimi czasami. Urodził się w 1941 roku we wsi Corjova w Rejonie Dubosary, na lewym brzegu Dniestrze. Ta wieś z paroma innymi: Cocieri, Roghi i Molovata Nouă były strefą rozcinającą terytorium prorosyjskiego Naddniestrza na dwie części. Sam Voronin nigdy nie zdobył sympatii liberałów i socjaldemokratów ani mołdawskiej inteligencji. Z lubością wytykano mu braki w wiedzy, pazerność i nieumiejętne kierowanie państwem. Oskarżany o utrwalanie

korupcyjnych i mafijnych układów w biznesie i polityce, nazywany „mołdawskim Łukaszenką”, Voronin sprawował funkcję prezydenta Mołdawii ponad osiem lat! Facet, który w młodości był piekarzem (premier w jego rządzie to były cukiernik). Jednak słodko nie było...

Wracając do ważkiej kwestii używania języka ojczystego w Mołdawii – tu nawet większość programów telewizyjnych czy radiowych jest nadawanych po rosyjsku. Prasa też dominuje w tym języku, choćby dziennik „Niezawisimaja Moldova”.

Już po moim wyjeździe podniesiono dyskusję na temat napisów pod rumuńskojęzycznymi filmami. Ruszył protest. To było zaraz po ustąpieniu ze stanowiska prorosyjskiego Voronina, gdy do sterów doszli prozachodni politycy. Na początku zabrali się za kulturę. W styczniu 2010 roku premier Vlad Filat wprowadził przepisy o dubbingu filmów zagranicznych w języku mołdawskim. Jak tłumaczył wówczas minister kultury Boris Focsa: „Dzięki temu rosyjskojęzyczni mieszkańcy Mołdawii lepiej nauczą się języka kraju, w którym mieszkają”.

Zwykle, gdy się jedzie do obcego kraju, choćby za chlebem i nie zna się języka, mówi się: „będzie ci trudno”. Mołdawianom we własnym kraju jest trudno, są w nim, a jakby za granicą.

Co ciekawe, resort ma zobowiązać właścicieli kin do dubbingowania na język mołdawski wszystkich filmów zagranicznych. Dubbingowane będą też filmy rosyjskie, czyli z języka, który znają, na język, którego się uczą.

Nowe władze zapaliły się do promołdawskiego pomysłu, tyle że zapomniały, że brakuje tłumaczy, a właścicielom mołdawskich kin, w których filmy są wyświetlane w większości wyłącznie w języku rosyjskim, ani się śni dostosowywać do nowych przepisów.

Wygląda na to, że Filat skorzystał z ukraińskiego pomysłu, bowiem trzy lata wcześniej taki sam zapis wprowadziła Ukraina. Mimo protestów w rosyjskojęzycznych obwodach, kina podporządkowały się i teraz wszystkie filmy są z napisami lub dubbingiem ukraińskim. Kina miały splajtować. Mają się dobrze.





KRAJOBRAZ PO BITWIE, CZYLI DROGA DO GAGAUZJI



Tolik i Silvia wręcz martwili się, co ja ze sobą pocznę w tej Gagauzji. Ale ktoś przypomniał sobie, że miał w Komracie znajomego i ten znajomy przeżył tam cały rok, to może i mnie się uda. Tak się martwili, że postanowili pokazać mi najlepsze kiszyniowskie kluby. Picie zaczęliśmy niestandardowo: od butelki szampana.

Wróciliśmy nad ranem. Była 7.00 i raczylimy się przygotowanymi pielmieniami ze śmietaną, które wcześniej zakupiliśmy w całodobowym markecie. I znowu zaczęły się obrady. Wszyscy zastanawiali się, czym ja się mogę zająć w tym Komracie, w którym nic nie ma.

Ale co tam Gagauzja, skoro o samej Mołdawii w Polsce za dużo nie wiadomo. Kiedy wyjeżdżając rzuciłam hasło „Mołdawia”, przy następnym spotkaniu co niektórzy pytali: „to jak było w tej... Macedonii, Mongolii??!!” Tyle wiedzieli o Mołdawii. Nic. A jeśli nawet dochodziło stamtąd trochę wieści, to żadne dobre. Ten kraj i jego mieszkańcy nie cieszą się dobrą sławą. Sporo tam aborcji, jest biednie, szerzy się kontrabanda, a ludzie by mieć za co żyć, sprzedają nerki. Kraj wina, mamałygi, słoneczników, tabaki i jednonerkowców.

A, i jeszcze dobrych naście lat temu z powodu mołdawskiej masakry zakończyła się dynastia Carringtonów. Coś, co zabiło *Dynastię*, nie może być dobre!

A skoro to jest złe, to ta Gagauzja, na którą utyskują sami Mołdawianie, musi być bardziej niż zła. Okrutna kraina.

Towarzystwo poszło spać. Nie mogłam zasnąć, wstałam i półprzytomna wyszłam na świeże powietrze, odważnie stawiając kroki w stronę centrum. Nagle zaczęli okrążać mnie ludzie, coraz więcej i więcej. Patrzę, a tu biegnie prosto na mnie...

dwumetrowa butelka!!! Potem wielka beczka, o jaki duży kielich!!! W moim kierunku zmierza wielka kiść winogron, potem jakieś dzieciaki w ludowych strojach, ktoś gra na trąbce, inny na akordeonie! O mój miły Boże, za dużo piję, za dużo, jakieś zwidy!!! Ludzie zaczęli krzyżeć, śmiać się, spłoszona przepchnęłam się i wylądowałam w jakiejś bocznej uliczce. Obok mnie strzelił korkiem od szampana jegomość, wybuchając przy tym rubasznym śmiechem. Co się dzieje????!! Co się dzieje???

– Wina dziewczuszka, wina? – jakiś mężczyzna wcisnął mi w dłoń kubek, polewając karminową ciecz. – Świątujmy – rzucił hasło.

No, tak, druga niedziela października, święto wina! Jak mogłam zapomnieć!

Ledwie żywa, na płaczących się nogach wróciłam do domu. Przecież spałam zaledwie dwie godziny, a piłam i tańczyłam kilkanaście. Czułam, że to jeszcze półsen, nie dzień, nie jawa, majaki. Cicho otworzyłam drzwi, zdjęłam buty, by nie pobudzić tych, co jeszcze spali. A spali wszyscy!

Przyjrzałam się śpiącej Silvii. Miała piękne, długie rzęsy. Czarne i gęste. Przeszłam po mieszkaniu. Wszędzie witały mnie puste butelki, w kuchni leżały miski po pierogach, śmierdzące pety. Weszłam do łazienki, odkręciłam prysznic i spuściłam na siebie strumień zimnej wody.

W tym burdelu udało mi się znaleźć wszystkie swoje rzeczy. Upchałam je do plecaków, postawiłam przy drzwiach. Wróciłam do pokoju, pocałowałam w czoło Silvii. Zbudzona dopytywała: „dlaczego jestem już ubrana?” „Gdzie wyjeżdżam?”, „Do jakiego Komratu?” i „dlaczego mnie nie odprowadzają?” Kazałam jej spać dalej.

Zbudziłam Davida, uścisnęliśmy się i też kazałam mu się uciszyć. Nie lubię pożegnań.

Kłamstwem byłoby powiedzenie, że byłam jakoś specjalnie świadoma. Po dwóch godzinach byle jakiego snu, w przesiąkniętym oparami dymu i wonią alkoholu domu, byłam jak dziecko we mgle. Czułam jak od ciężaru ogromnego plecaka uginają mi się nogi, że drżą mi ręce niosące drugi, mniejszy plecak i reklamówkę z prowiantem. Stumetrowa trasa, która dzieliła mnie od mieszkania na „przystanek”, wydawała mi się maratonem, którego nie skończę, bo ledwie stoję na nogach z cukrowej waty. A przecież trzeba iść.

Dowlokłam się do ronda i stanęłam za nim, bo było to dobre miejsce do zatrzymywania marszrutek. Machałam na każdą i pytałam, czy jedzie na *jużnyj wakzał*

albo *gara de sud*, bo nie wiedziałam, czy natrafiam na kierowcę nacjonalistę, czy kierowcę rusofila, a dojechać musiałam. Padło na nacjonalistę.

Uparcie próbowałam stać w dusznym, napchany busiku. Kierowca trzymał jedną ręką mój duży plecak, ktoś obok mój mały. Nawet nie było to dla mnie jakoś istotne, że obcy trzymają mój dobytek. Byłam im za to wdzięczna, ale nie za to, że wydzielają ostry, kwaśny pot, który razem z fermentującym w organizmie winem sprawiały, że marzyłam o dniu następnym. Nagle zwolniło się miejsce i mogłam przysiąść. Po około 25 minutach ostrej jazdy po nierównej drodze ukazał się dworzec południowy.

Żeby zabić mdłe myśli, powtarzałam sobie: nigdy więcej alkoholu! Próbowałam też nie myśleć, jak zatargam i zapakuję się do Komratu z tymi wszystkimi gratami, ciężkimi jak ołów.

Okazuje się, że Bóg obdarza pijaków nadludzkimi siłami. Kiedy marszrutka wyrzuciła mnie niedaleko dworca, kroczkami jak starzec ruszyłam z zamysłem zapakowania się do kolejnego busa. No i doszłam. Zlokalizowałam mój przystanek. Choć do odjazdu marszrutki do stolicy Gagauzji było prawie pół godziny, to



Butelki po mineralnej są najlepsze
do przechowywania wina

nieduży szpakowaty kierowca poganiał kręcących się obok jego busika, że już czas wsiadać.

Niedzielne popołudnie zwabiło też jakichś obcokrajowców. Ogromna Hiszpanka dopytywała się łamanym rosyjskim kierowcy, dokąd jedzie. Potem po angielsku przemówiła do swojego rudawego współtowarzysza podróży i zajęli miejsce przede mną. Zaciekało mnie, że i oni jadą tam, gdzie – jak mówią – nie ma nic. Ciekawość zmąciło ogromne zmęczenie. Złapałam się na tym, że myśli mam zupełnie poszarpane, urywają się w zarodku zamysłu, że jak przemówię do nich, to pewne przerwę w połowie zdania i zasnę, i tym samym potwierdzę, że Polak to prostak i pijak. Boże, jakież to było dziwne. Ciekawość, wielka chciwość słów, zagajenia... i poszłam spać.

Na próżno. Dzikie skoki marszrutki bez amortyzacji, po dziurawych drogach Mołdawii skutecznie to uniemożliwiły.

Było duszno, resztkami sił wstałam i otworzyłam okno. Takim samym ostatkiem sił wróciłam na siedzenie. Zamknęłam oczy, po chwili otwieram je, bo czuję jak mi coraz bardziej gorąco. Patrzę – okno zamknięte. Znowu wstaję, otwieram, wracam i patrzę oniemiała, jak jakiś mężczyzna zamyka je. Jest upał, ludzie lepią się do siebie, o co chodzi?

– Dlaczego on zamyka to okno? – pytam kobiety obok.

Ta wybałusza na mnie oczy i odpowiada jak tumanowi: – Dziewuszka! Przez otwarte okno szczęście ucieka!

No to miło, lepiej się udusić, żeby szczęście miało wygodnie.

I powtórka z rozrywki: pot, fermentacja i mdłości. Sąsiadce obok, dużej, starszawej, ale z głębokim dekoltem płynęła między bujnymi pagórkami piersi stróżka potu. Sądziłam, że zwymiotowanie to już kwestia ułamków sekund..., a jednak, Polki są twarde!

Za oknem migają słoneczniki, wysuszone pola, kolorowe drzewa, kurz, słońce, osły...

Wjeżdżałam do Gagauzji. Stolicą Gagauzji jest Komrat (mołd. Comrat). Komrat jest gdzieś na końcu świata, pośrodku niczego. Czyli w Mołdawii.



PAN SŁAWEK



Marszrutka z Kiszyniowa do Komratu jechała dwie godziny. Wiedziałam tylko, że odbierze mnie pan Sławek. Nie znałam go. Nie wiedziałam też jak wygląda. Kiedy wszyscy już się wygramolili z busa, kierowca spojrzał na mnie ponagląco. Za bardzo się nie kwapiłam, chciałam się zwinąć w kłębek i pójść spać. Patrząc przez okno na szary, brudny światek, zaczęłam wierzyć w słowa Silvii i Tolika, i myśleć: „co ja tutaj robię?”. Westchnęłam i stanęłam na wysokości zadania, jakim było wyjście z podniesioną głową z ciasnej marszrutki!

– Judyta ty? – pyta mnie wysoki, ciemnowłosy, wąsaty pan w dresie.

– Tak! – mówię.

– A ja pan Sławek!

Po wymianie imion Pan Sławek*, rosy mężczyzna wziął ode mnie plecak i ruszyliśmy przed siebie. Kimkolwiek on był, byłam mu bardzo wdzięczna za zdjęcie mi ciężaru z pleców.

– Boisz się psów i kotów? – zapytał Pan Sławek w dresie. – Bo u nas w domu mieszka Bobi – dodał.

– Bobi mówi pan, a duży ten Bobi? Co to za rasa?

– Bobiego wzięliśmy z ulicy – mówi Pan Sławek, co miało być odpowiedzią na moje pytanie. Jak się potem okazało, Pan Sławek był mistrzem krótkich odpowiedzi, niekoniecznie na temat.

* Jako że pan Sławek przedstawił się w ten, a nie inny sposób, a także dlatego, że jego żona Luda nie mówi o nim inaczej jak „pan Sławek”, w dalszej części książki tym właśnie dwuczłonowym „imieniem” (zapisywanym z dużej litery) określana będzie rzeczona postać.

Mogłam jedynie wywnioskować, że ten Bobi to pies ulicznik! Bobi, Bobi, nic sobie z Gagauzji nie robi...

Jak się miało później okazać, tę trasę przemierzałam jeszcze wiele razy, a Pana Sławka w szarym, połyskującym dresie widziałam wielokrotnie.

Szliśmy prosto przed siebie, pod górę, byle jakim chodnikiem, mijaliśmy szare bloki, które wyglądały jak zrobione z tekturowych pudełek. Tak, to było centrum Komratu. O Boże, jakie smutne centrum. Po jakichś 300 metrach skręt w prawo, w ulicę Fiedko. Nazwa „Fiedko” była napisana białą farbą na jednym z budynków. Wyglądało to jak informacja, że w tym domu mieszka pan Fiedko, a nie jak zapowiedź nazwy ulicy.

Domki miały kształt kwadratów z małymi okienkami. Były pomalowane na mdłe barwy. Między nimi pojedyncze ławki bez oparc, sznury z praniem.

Pan Sławek mieszka przy Fiedko 21. Mieszkanie było w pólsterenie. Weszliśmy, a tam kot perski, kot dachowiec i pies kundel, zapewne Bobi. Obwąchał mnie kilka razy od kostek po kolana, potem ospale przytulił się do nogi.

Pan Sławek przyniósł zupę z grzybami i warzywami, połał ukraińską wódkę i kazał pić za spotkanie. Potem podał kotlety mielone... zapiekane w jajkach (na kotlety wbił jajka i tak zasmażone mięso, opatulone jajeczną pierzyną stanowiło główne danie), chleb, ketchup, bryndzę.

– Nasze pierwsze spotkanie. Musimy się napić – skwitował Pan Sławek i połał koniak.

Co czuje ochlejus, który pił do siódmej rano, ma za sobą dwie godziny snu, ślania się ze zmęczenia, mdli go jak skurczybyk, ale żeby nie schrzanić przyjaźni polsko-gagauskiej, musi znowu pić, tego nie da się opisać.

Chleb, jak się potem okazało, dodaje się do wszystkiego: do zupy, do ziemniaków, do makaronów, do ryżu, do mamałygi.



Chwilę później Pan Sławek wygrzebał z lodówki tort i ucieszony powiedział: „jemy!”. I znowu polał! Nie wierzyłam własnym oczom... Powoli zbierało mi się na wymioty. Przez chwilę pomyślałam, że umieram, z przepicia, z przejedzenia, obrzydzenia, przez obfitość! W tym momencie tłusty, perski kot Pana Sławka... beknął. Tak. Od tamtej chwili pałałam wielką niechęcią do tego leniwego, wielkiego jak ćwierć lwa, puszystego bydlaka. Jak się potem okazało, całkiem słusznie, bo kocur, oprócz tego, że był leniwy, ospały i łasy na jedzenie, nie wykazywał żadnych pozytywnych cech. Poza tym był po prostu ładny.

– I co u nas inaczej niż w Europie?! Jest internet, wszystko, co trzeba! – dopytuje Pan Sławek.

Znowu polał. To był jeden z niewielu razy, kiedy patrząc na alkohol pytałam się, za jakie grzechy??? No za jakie?!

Spojrzałam na Pana Sławka i mimo że to obcy dom, i pewnie nie wypada, to czułam, że jeśli nie zapytam, to zaraz się osunę, więc wydusiłam z siebie: „gdzie mogę się położyć?”.

Pan Sławek wskazał pokój. Kot zerwał się i ruszył za mną. Lekkim szturchnięciem stopy naprowadziłam go na pozycję wyjściową. Manewr musiałam powtórzyć, bo sierściuchowi ani się śniło być posłusznym.

Weszłam do pokoju, który Pan Sławek wskazał jako ten do spania. Był długi i wąski, połowę zajmowało ogromne łóżko. Obok stało biurko z komputerem, ale nie ono mnie przeraziło, tylko stojąca po drugiej stronie, równoległe do niego, toaleta z wielkim lustrem, kosmetykami i niewiarygodną ilością świętych obrazków i wiszących różańców. Te wszystkie Matki Boskie i Jezusowie na krzyżach, na obrazkach patrzyły karzącym wzrokiem: „piąte: nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu!”

Zgasiłam światło i wsunęłam się pod kołdrę.





LUDA



Dwie godziny później obudziły mnie głosy: Pana Sławka i jakiejś kobiety. Po omacku włożyłam spodnie i koszulkę i wyszłam z ciemnego, różańcowego pokoju. Wieczorne światło mnie oślepiło. Przede mną zaczęły się rysować najpierw sylwetka Pana Sławka przy laptopie, a później dużej blondynki z wielką łyżą w ręku. „Nakarmili, napoili, a teraz mnie zeżrą!” – pomyślałam sobie.

– Dzień dobry. A tobie to Pan Sławek dał co jeść? – z jej ust wyszły pierwsze powitalne słowa.

Zaczęłam wyliczać, ale machnęła ręką i zniknęła z tą łyżką w czeluściach kuchni.

Spojrzałam na Pana Sławka, który zdawał się w ogóle na nas nie zwracać uwagi, bo grał na komputerze, więc mu przerwałam: – Pani Ludmiła?

– Tak, to Luda! – odpowiedział Pan Sławek, nie odrywając się od gry.

No i on tak sobie grał, a ona sobie mieszała w kuchni łyżką, jakby w ogóle ich nie dziwiło, że jakiś obcy człowiek przespał się w ich pokoju i teraz sterczy na środku salonu i zastanawia się: „no to jak? Może pogadamy co dalej? Gdzie to mieszkanie, które mam wynająć, w końcu już zmrok?”. Ale nie, nikt nie kwapił się do rozmowy. Właściwie moja obecność tutaj wyglądała na stan naturalny.

Pan Sławek zerknął na mnie pewny, że to moje stanie nad nim oznacza, że koniecznie chcę się dorwać do internetu, więc zerwał się z miejsca i ruszył do pokoju, w którym uciełam sobie drzemkę i włączył komputer.

– Proszę! Można pisać do mamy, że jesteś cała i zdrowa. Można do wszystkich teraz pisać – rzekł ucieszony odkryciem moich potrzeb. – No proszę, siadaj – podsunął mi taboret pod tyłek.

Chcąc nie chcąc posprawdzałam maile, uprzednio strącając futrzaka z klawiatury, bo zdążył się na niej zadomowić.

Pomieszała, pomieszała i wróciła z kuchni, już bez tej wielkiej chochli, którą 10 minut wcześniej dzierżyła w sporej dłoni. Weszliśmy do salonu, teraz Luda podsunęła mi taboret (których w mieszkaniu, jak zdołałam się zorientować, było co najmniej z pięć), sama też siadła na takim samym, a raczej na czymś, co ledwie wystawało spod jej dużego ciała i rzuciła serię pytań, tudzież oznajmień:

– Ty to musisz wybrać, gdzie chcesz mieszkać... – zaczęła.

– No raczej! – pomyślałam i już chciałam zapytać o to lokum, o którym pisałyśmy w mailach, ale Luda nie przerywała sobie.

– Ty możesz mieszkać z nami. U nas będziesz mieszkać? Będzie ci dobrze z nami. Jest też rodzina, która jak usłyszała, że przyjeżdżasz, to od razu zgłosiła się, byś u nich mieszkała. Bardzo czekają na twoją decyzję. Chcą, byś u nich mieszkała i mówiła do nich po polsku. No i słuchaj, czy ty byś mogła uczyć dzieci polskiego i trochę dorosłych na Kartę Polaka? Ja już rozmawiałam tutaj z ludźmi, wszyscy czekaliśmy na twój przyjazd. No to jak? Będziesz uczyć?!

– Nie – niemal wykrzyknęłam.

– Nie?! – na twarzy pani Ludy zarysowało się ogromne zdziwienie, troska i smutek.

– Tooo znaaczy mogę spróbować uczyć, jak będę miała czas – odpowiedziałam przełykając ślinę. – Ale mieszkać chcę sama..., to czy ja mogę obejrzeć to mieszkanie, no bo chyba jest jakieś do wynajęcia? – dopytywałam.

– Co ty? Nie chcesz z nami? – spojrzała mi głęboko w oczy.

Pomyślałam, że jak teraz zmięknę, zagarną mnie na zawsze.

– Tak będzie dobrze – odpowiedziałam.

Nie rozumiałam za bardzo tej akcji „bycia guwernantką”, ale może w krainie, „gdzie nic nie ma”, takich rzeczy nie trzeba starać się zrozumieć.

Luda zaczęła słać mi łóżko w towarzystwie persa, myśląc chyba, że czysta pościel mnie zmięczy.

– Chcę obejrzeć to mieszkanie – powiedziałam krótko.

– Ale tam nieposprzątane jest – mówi Luda.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziałam i pomyślałam, że skoro już dawno wiedzieli, że przyjadę i nikt nie ogarnął lokum, to teraz zbiorowego sprzątania nie będziemy urządzić.

Spojrzałam raz jeszcze na pokój, w którym miałabym spać. Ładny, ale nie miał okien. Wolałabym nie wiedzieć, jak szybko zwariuję w pokoju bez okien. Poza tym bolał mnie trochę kark od wielkich, nabitych jak wołki zbożowe poduch. Już na jednej jak się człowiek położy, to przybiera pozycję pólsiedzącą, a tam były cztery.

Pan Sławek wziął mój plecak, trzy wielkie worki na śmieci i zapałki. Wyszedł z domu, a ja za nim.





KWARTIRA NA SPORTIVNEJ



Było już po 22.00, na zewnątrz żadnych lamp, żadnego oświetlenia, trzeba było iść po omacku. Pan Sławek żwawo pognał przed siebie, w ogóle nie zważając na fakt, że jestem tu pierwszy raz i nie znam terenu. Szybkim krokiem, niczym kot młodziak skoczył tam, i dalej, i dalej, i już go nie było widać. Zanim się zorientowałam, w którą stronę się kierujemy, Pan Sławek zniknął z pola widzenia. Kilkadziesiąt metrów dalej, w bezgwiezdną noc dało się słyszeć cichy tupot jego stóp. Odważnie ruszyłam, próbując go dogonić, ale po dość bolesnym nadzianiu się na niezidentyfikowaną przeszkodę, odechciało mi się prób ścigania, stanęłam i zaczękałam, aż zauważy, że nie nadążam i zawróci po mnie. W końcu nie miał wyjścia.

Rzeczywiście po minucie dało się słyszeć jak zmierza w moim kierunku, co-raz to wyraźniej. Doszedł, ujęłam go za rękaw i poszliśmy razem, między jakimś ogródkiem, autem, tu dołek, jakieś liście, sznurek, a do nogi łasi się pies, drugi obok szczeka zajadle. Pan Sławek nie miał w zwyczaju informowania, jak idziemy, po czym, jaka przeszkoda. Miał wyznaczony cel, to szedł, bez oglądania się na tyły. Kiedy dotarliśmy do drzwi, wziął mnie za rękę, pokonaliśmy schodki na parterze i kolejne na drugie, ostatnie, docelowe piętro.

Wyglądało na to, że tu wszyscy przyzwyczajeni są do ciemności i doskonale się w niej odnajdują. Pan Sławek bez najmniejszego trudu wyjął plik kluczy z kieszeni, wybrał odpowiedni, przekręcił zamek i weszliśmy do środka. Pierwsze, co zrobił po zapaleniu światła, to zdjął buty i w skarpetkach ruszył do kuchni, całkiem przyzwoitej, nie licząc starego, ruskiego piecyka z mało estetyczną rurą. Poza tym był tam zlew, kredens, stół z krzesłami, wielkie ładne lustro i okno zduszone ilością

firanek, firaneczek, zasłonek. W dużym pokoju stała wersalka i były wielkie dywany, jeden na podłodze, drugi na ścianie. Oko cieszyła meblościanka wypełniona starymi kryształami i opaste tomy z Dostojewskim, Puszkinem i innymi dziełami, słownikami, poezją. Był też mały, zgrabny telewizor. Jak się potem okazało, odbierający jeden, mało ciekawy kanał, i to przy dobrych warunkach atmosferycznych. Zaś w małym, zagraconym pokoju stało drugie łóżko, szafa i wielkie torby targowe w kratkę, i wszędzie dużo kwiatów w doniczkach, a jeszcze więcej kurzu. Łazienka prezentowała się podle. Brakowało zadaszenia do spłuczki, a na podłodze leżały kafelki czekające na murarza. Zrozumiałam, dlaczego lustro nie jest tutaj, tylko w kuchni.

Ku zdziwieniu Pana Sławka, który patrzył na mnie jak na delikatną lalę, twardo powiedziałam: „zostaję”.

Wróciliśmy do Ludy po resztę moich rzeczy i przemierzaliśmy ciemną drogę raz jeszcze. Pan Sławek znowu zdjął buty i ruszył do kuchni, by pospisywać liczniki: gaz, woda, prąd. Potem pokazał mi, jak się zapala ruski piecyk:

– Tu trzeba przekręcić, tu przytrzymać i już się pali. Proste, bo ruskie! – powiedział Pan Sławek.

Spróbowałam zapalić.

– Nie działa – odpowiedziałam.

Pan Sławek w ogóle niezmieszany ponownie zaczął zapalać, ale dało się czuć tylko swąd gazu, a płomienia jak nie było, tak nie było.

– To nie Warszawa! – rzucił i powiedział, że sprowadzi kogoś, kto sprawdzi, co nie tak z piecykiem.

Klatka schodowa Sportivnej





ŚMIETANA W LITERATCE



Wiedziona ciekawością wyszłam zbadać nocną trasę. W nocy wydawała się bardzo długa, teraz to było może 150 metrów. Gołym okiem można było obejrzeć wszystkie czyhające przeszkody. Chodnika nie było, ot piaszczysta powierzchnia, kawałkami oblana cementem. Między blokami-barakami był ogródek otoczony ostrym, niskim płotkiem na wysokość kolan. Wyłożyć się na taką rabatkę przez te spiczaste kołki – wątpliwa przyjemność. Wejście do tego niskawego bloku to najpierw drzwi, które nie bez wysiłku należało ciągnąć, by się otworzyły, potem zabójczy schodek i kolejne drzwi i schody, ładne, drewniane, niebieskie z brązową framugą i barierką, taką jak w domkach kempingowych. Klatka pomalowana na błękit, a na nim ktoś nakleił wielką fototapetę z drzewami, które odbijały się w lustrze wody. Wyglądały jakby tonęły w chmurach. Gdy rankiem przez małe okno na klatce wpadały ostre promienie słoneczne i przechodziły na zewnątrz przez otwarte drzwi wyjściowe, ten gagauski kicz był ujmujący.

Około 10.00 walenie w drzwi. Wpadł Pan Sławek z mężczyzną od piecyka. Po pięciu minutach oglądania i pukania w urządzenie mężczyzna orzekł, że trzeba je wymienić i instalację też, ale na upartego to jeszcze podziała. Więc zostało jak było.

Od rana szorowałam łazienkę, podłogę, ścierałam kurze. Worki na śmiecie bardzo się przydały. Jak już pokoje, kuchnia i wanna lśniły, weszłam do tej ostatniej, odkręcam kurek i... i nic nie pociekło. Na golasa wybiegam do kuchni – tam kran tylko zacharczał i nadal sucho. Szlag by to trafił.

Przypomniało mi się, że tutaj od 12.00 do 18.00 brak dostępu do wody. I tak codziennie. Albo myjesz się rano, albo wieczorem. Jak potrzebujesz wody w ciągu dnia, napełnia się wiaderka i trzyma *na wsiakij, pożarnyj słuczaj*.

Byłam brudna i spocona, więc umyć się musiałam. Wyrzałam przez okno. Przy ogrodzie stała mała studzienka. Włożyłam na siebie ubranie, które kilka minut wcześniej ochoczo rzuciłam w ką, wzięłam wiaderko i ruszyłam do studni. Po kilku rundach napełniłam garnki i podgrzałam na kuchence. Umyłam się w wielkiej misie, a na koniec z lubością urządziłam sobie „prysznic”, który polegał na wylaniu na siebie całego wiadra wody!

No, teraz można było włożyć świeże rzeczy.

Nadal niemiłosiernie mżyło. Mały, podły deszcz ciął cienkimi, ostrymi kroplami. Na dworze było buro i ciemno. Mimo to, i mimo zmęczenia, musiałam wyjść, bo od rana byłam o samych cukierkach „dla gagauskich dzieci”. Tylko one mi zostały.

Ruszyłam na miasto w poszukiwaniu jadłodajni. Nie było to zadanie łatwe. Pierwszy napotkany bar, przy ulicy Lenina, trudnił się głównie sprzedażą piwa i siedzący tam sami panowie patrzyli na mnie badawczo. Do jedzenia były tylko jakieś przegrzynki.

Kolejne bary podobnie. Pewnie szłam nie tą drogą co trzeba. W końcu skręciłam w lewo i przy placu Pobjedy, niedaleko cerkwi, weszłam do baru, który już od ulicy zachęcał napisami, że smacznie, szybko i na domowo.

W barze świeciło pustkami. Były dwie młode kelnerki w dzinsach i kurtkach. Zagadywały dwóch młodych chłopców, którzy siedzieli na środku knajpy, pili piwo i gapili się na wielki ekran. Menu nie pozostawiało zbyt wielkiego pola do popisu, zamówiłam zupę, pierogi z serem, bukiet surówek ze świeżych warzyw i piwo. Surówka to talerz z pomidorami, ogórkami, pietruszką, cebulą, które pływają w oleju i soli. Do tego dostałam jeszcze dużą solniczkę, gdybym jednak potrzebowała jeszcze trochę posypać. Kelnerka przyniosła piwo i szklanekę, dodając: „specjalnie dla pani”. Spojrzałam na stolik chłopaków, pili z butelek.

W oczekiwaniu na ciepłe dania robiłam kilka łyków zimnego Chişinău draft. Kosztował zaledwie 10 lei, jego cena nie różniła się od tej na półce sklepowej. Po dwa razy więcej stoją trunki zza granicy. Wiadomo, marże.

Przyszły pierogi, tyle że nie z serem, ale z mięsem. Nie zwróciłam uwagi dziewczynie, że nastąpiła pomyłka. Akurat podszedł do kelnerek jakiś mężczyzna w średnim wieku, który obejrzał zaplecze, kasę i wdał się w pogawędkę z nimi. Pomyślałam, że to szef i nie chciałam robić im kłopotu.

Spojrzałam na swój stolik i miły dla oka widok zrekompensował mi brak dobrych ruskich pierożków. Śmietana, która jest zawsze dodatkiem do pielmienów, została podana... w kieliszku do wódki! Była tak gęsta i puszysta, że mała łyżeczka stała w niej prościutko jak żołnierz na apelu.

Kelnerka zabrała oczyszczone z pierogów i zupy półmiski i zostawiła kieliszek, w którym było jeszcze odrobinę śmietany.

– To też zabrać?! – zdziwiła się, gdy podsunęłam w jej stronę kieliszek, tak jak gdyby zwykła śmietana była boskim przysmakiem.

Na ekranie wielkiego telewizora po kolei puszczone były odcinki programów rozrywkowych. Było kilka minut po 16.00, a w skeczach pozornie tylko zabawnych (nagi facet biegający ze szczotką do zamiatania po poczekalni lekarskiej, dziewczyna rozbierająca się do rosołu podczas gry w bilard) pokazywano i nagie torsy, i piersi, i tyłki, i wszystko. I tak w kółko, co 20 sekund powtórka i zdziwione miny tych, przed którymi golasy występowały. Na granicy dobrego smaku był filmik z blond silikinową lalą, w podwiązkach, w czarnym płaszczu, z nagimi cyckami, rąbiącą to siekierą, to kosą pluszową małą w parku. Podbiegała do ławki, gdzie siedzieli ludzie, rzuciła na trawę małą i dźgała. Program nazywał się „Gołyje prikoły” i w zamysle miał być bardzo zabawny.

Chłopcy przy piwie dhubali w zębach, spoglądali na ekran, na butelki i tak siedzieli. W połowie powtarzanego siódmego raz skeczu jeden z nich przełączył na MTV, siorbnął piwo, a drugi zaczął skubać ziarno słonecznika i rzucać łupiny na podłogę.

Wysłam z baru, przecięłam plac Pobjedy i ponownie skierowałam się na Lenina, główną ulicę stolicy Gagauzji. Ciągnęła się kilka kilometrów, no i nie czarujmy się, nie wyglądało to różowo, ale folklorystycznie jak najbardziej. Przy jakimś zaawansowanym numerze 200 coś Lenina z za zakrętu wyjechała furmanka prowadzona przez osła, niemal tratując jadący chyba na drugim biegu ambulans, bo ten akurat wyglądał jakby nigdzie się nie spieszył. Byłoby kłamstwem powiedzieć, że furmanką powoził woźnica, gdyż był nawalony jak szpadel. I nie jechał sam. Towarzyszył mu równie wstawiony, a nawet, o ile to możliwe, bardziej napojony kompan, który to zaraz za zakrętem postanowił opuścić kolegę woźnicę. Odwrócił się tyłem do kierunku jazdy, jedną rękę oparł na towarzyszu, drugą na wozie i zaczął się powoli wysuwać. O ile prawa noga poradziła sobie z niesprzyjającą grawitacją, o tyle lewa

nadal fundowała jej właścicielowi atrakcję w postaci wielkiej chęci pozostania w wozie. Ileż to razy właściciel upartej nogi próbował potrząsnąć tułowiem, by ta zechciała dołączyć do prawej, ileż to razy próbował podciągnąć ją rękami, żeby przeskoczyła przez ścianę wozu. Nie chciała!

I nagle osioł poruszył wozem, ciało pijaka jakby się wystraszyło tego nagłego ruchu; dało się słyszeć leciutki świst lewej nogi podążającej w kierunku prawej. Zachybotła jeszcze chwilę nad ziemią, uff i dołączyła. I już były dwie, jedna przy drugiej, w doprawdy niewielkiej odległości jak na tak mało sprzyjające okoliczności przyrody. Panowie, jeden na wozie, drugi przy wozie, popatrzyli sobie głęboko w oczy, jakby oblubieniec wpatrywał się w swą oblubienicę, ten przy wozie trzasnął łapą drugiego po ramieniu, aż tamtemu przekrzywiła się bejsbolówka. I tak się chłopaki pożegnali. Woźnica ruszył, kompan ostał się na ulicy, ogarniając wzrokiem miasto.

Co było z nim dalej, nie wiem. Ogarniał się zbyt długo, by na niego czekać. Ruszyłam w uliczkę, skąd wyjechali, obejrzałam wszystkie babcie w chustach grzebiące w ogródkach i pozdrowiłam te siedzące przed domami. Niebo nadal było zachmurzone i zaczął siąpić mały, wredny kapuśniak, więc szybkim krokiem ruszyłam w stronę domu, z głębokim postanowieniem, że następnego dnia obejrzę tutejsze zabytki, a może nawet i kulturalne zakątki Komratu.

Wróciłam do domu. Było na styku zmroku i zakradającej się nieuchronnie nocy. Odkręciłam kran w kuchni, nie spadła ani kropla. Weszłam do łazienki, to samo, kran ani drgnął.

Idę do Ludy i Pana Sławka i pytam, co jest grane. A Pan Sławek mówi, że wody nie będzie 10 dni, bo sanepid chloruje.

Ja: – 10 dni?!!!

A on mi na to: – To nie Warszawa, tu nie wszystko jest zawsze.

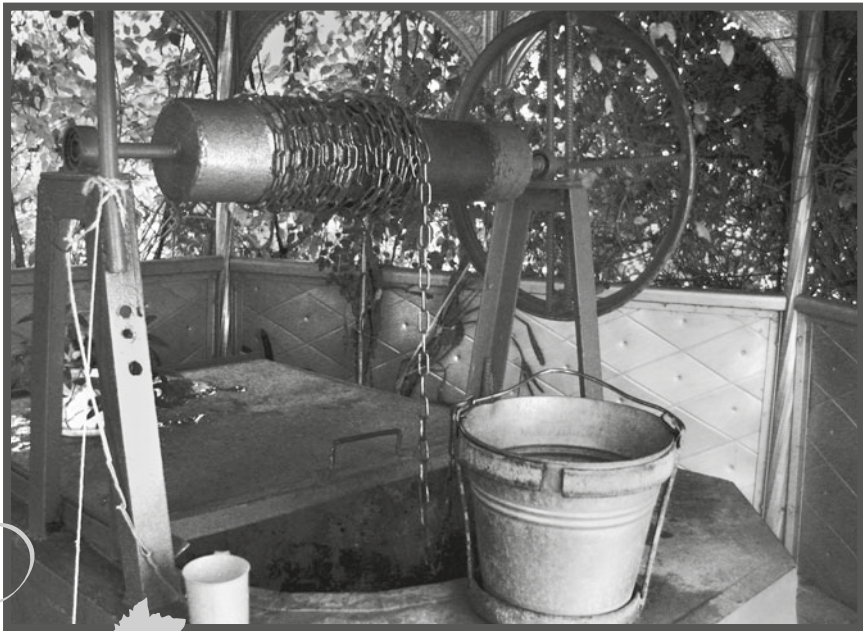
Że to nie Warszawa, dane mi było słyszeć wielokrotnie.

Pan Sławek poinformował mnie, że sanepid chloruje wodę raz na trzy miesiące. No i właśnie nastał czas chlorowania. Pomyślałam sobie z pokorą, że skoro przyjechałam właśnie na kwartał, to akurat w sam raz, by się nie załapać na odcięcie wody w środku zimy. Teraz jest jeszcze ciepło, więc takie hartowanie się podczas noszenia wody ze studni jest czymś, co bez trudu zniosę, w czasie mrozu byłoby tragicznie.

Przez następne dni ratunkiem była studnia, która stała tuż przed domem. Chodząc codziennie rano do niej z wiaderkiem, zrozumiałam, dlaczego właśnie tutaj jest tak ważna.

Na *puł*, czyli studnię, w Mołdawii można się natknąć prawie na każdym kroku. Większość z nich ma wymyślne zadaszenie, altankę, jest pomalowana, ładnie zdobiona. Wsie i miasteczka są wręcz „usłane” *pułami* – te najładniejsze stoją w centrum *dzieriewni* i przy głównych drogach; a także w ogrodach, na polach, przy kościołach, szkołach i domach kultury. Ludzie piją z nich wodę albo czyszczą sobie obłocone buty i nogawki.

Na nic się zdało cywilizowanie Mołdawii. Kanalizacja ułatwia życie, ale jest tania. Kiedy na początku lat 90. podskoczyły ceny za korzystanie z wodociągu, Mołdawianie przypomnieli sobie o studniach. Na nowo naoliwione korby poszły w ruch. Wygląda na to, że woda z kranu nigdy nie zdetronizuje wody ze studni.



Mołdawski obiekt kultu,
czyli studnia przy kościele



TRZEBA CHRONIĆ



Przechodzę obok domu Ludmiły i Pana Sławka. Ten otworzył okno i krzyczy za mną:

– A ty gdzie idziesz? Czemu do nas nie zachodzisz?!

Zanim rozsznurowałam buty Pan Sławek pokazuje mi kotlety, które leżą na makaronie i pyta – ile.

– No nakładaj sobie, dużo! – komenderuje zadowolony.

Sama w to nie wierząc, wyłożyłam to ekstremalne danie na patelnię i gdy już skwierczy, przychodzi Pan Sławek i pyta: – To co, wbijamy jajka?

– Znowu jajka i kotlety! Przecież to nie pasuje! Tak samo jak kotlety do makaronu! – mówię.

– Pasuje!!! – obruszył się Pan Sławek i zaczął wbijać jedno po drugim jajko, po czym ucieszony rzekł: – No to zapiekamy!

Niechże Pana Sławka zobrazuje ta oto scena. Raczymy się tymi kotletami z makaronem, no i jajami, i Pan Sławek informuje mnie: – Dzisiaj w urzędzie – Pan Sławek pracuje w Urzędzie Gagauzji – przygotowywałem nowy przepis o ochronie środowiska.

– Jakies szczegóły? O czym mówi ten przepis? – dopytuję.

Chwila ciszy, mijają kolejne minuty, podczas których Pan Sławek przełyka kawałki kotleta, a potem zawadiacko uśmiecha się i rzeczowo odpowiada: – Trzeba chronić!

No i wszystko wiadomo.

W Gagauzji nie ma czegoś takiego jak ministerstwo środowiska, więc taki zapis to postęp.

Wraca Ludmiła, siada obok mnie i pyta: „co ty dzisiaj jadłaś?” Mówię, że pierogi, no i kotlety z makaronem. Pan Sławek roześmiał się głośno, jak wredne ptaszysko i ocenił, że pierogi to nie jedzenie i takimi rzeczami to może my, Polacy się najadamy, ale nie tu. Tutaj to nie!

Luda podrapała się po głowie, popatrzyła na mnie, wstała i poszła kuchni, żeby mi przynieść coś do przekąszenia, bo przecież pewnie padam z głodu. Popatrzyłam na Pana Sławka błagalnym wzrokiem, ale ten odpowiedział tylko: „trzeba jeść!”.

No przecież logiczne, „trzeba pić”, „trzeba jeść” i „trzeba chronić”.

Tłumaczenie Ludzie, że w Polsce jada się porządnie rano i w dzień, żeby mieć siły właśnie w ciągu dnia, na nic się zdało. Ona sama mówiła, że jak jej dzieci pojechały do Polski, to potem opowiadały, że były cały czas głodne, bo na kolację tylko kanapki i kanapki.



Luda i Pan Sławek

Jak mi wytłumaczył potem niejaki Wasia, naczelną zasadą tutejszej kolacji to *plotnyj uzin*, czyli posiłek ten musi być tak suty i gorący, by się przy nim spocić, a w żołądku nie powinno zostać miejsca na głód.

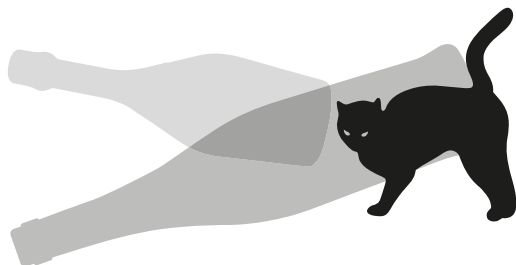
To ciągle obżarstwo przed snem prowadziło do mdłości, a podziękowanie za wspólne jedzenie to jednak przykrość dla gospodarzy, a jak się nie odmówi, to sprawia się przykrość swojej wątrobie, i sny ciężkiego kalibru. Potem rzeczywiście dobrze wypić trochę wina wytrawnego, na trawienie oczywiście. Jednak nieproporcjonalna ilość jedzenia do alkoholu powoduje, że organizm traktuje tu wino jak wodę. I właśnie tak się tu pije wino – jak wodę, albo i zamiast.

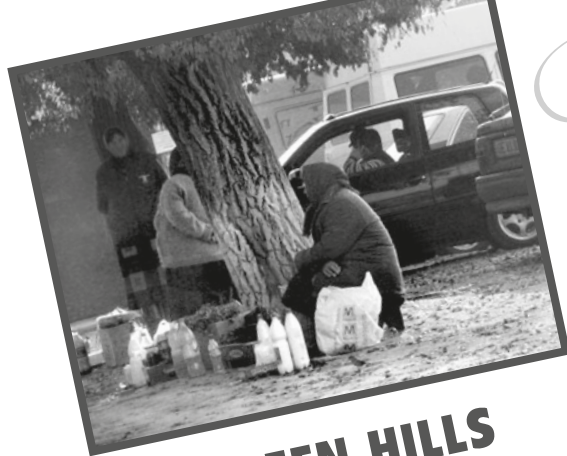
Po nastu kolacjach u Wolewiczów (u Ludy i Pana Sławka) za bardzo nie rozumiałam, dlaczego pierogi z mięsem i ze śmietaną nie są jedzeniem, natomiast ich gagauski makaron z serem, bez żadnych przypraw to jadło syte i prawdziwe. Jedno pewne, czułam się jak pączek w maśle.

– Wszystko w domu dobrze? – zagałał jeszcze Pan Sławek, spodziewając się, że powiem: „o tak, wszystko w porządku, ruski piecyk działa jak szwajcarski zegarek, a spłuczka w łazience doznała nagłego ozdrowienia, dzięki wstawiennictwu Matki Boskiej z Lourdes”.

– W kuchence działa tylko jeden palnik, bo tylko przy nim jest kurek, a wołałabym, żeby były wszystkie, tym bardziej że teraz muszę na niej grzać wodę na kąpiel. No i ciągle odpada ten kurek... – poskarżyłam się.

Pan Sławek uśmiechnął się szelmowsko, ale nic nie odpowiedział.





GREEN HILLS



Wpadam do Wolewiczów, na kanapie, tam gdzie zwykle, kładę kurtkę. Nagle zawracam się, bo uświadomiłam sobie, że coś mignęło mi przed oczami. Aż mi się gęba uśmiechnęła. Ha! Na łóżku leżały, nie co innego jak... kurki do gazu.

Pan Sławek siedział przy swoim laptopie i grał, ale widziałam, że się uśmiecha, kątem oka widząc, że dojrzałem jego podarek.

Tak, już wszystko było wiadomo! Przy mojej kuchence były same nagie, metalowe rurki czekające na kurki, a był tylko ten jeden, co odpadał. A odpadał, bo się przekładało go w zależności od tego, przy którym palniku chciało się odkręcić gaz. Był po prostu regularnie używany, a nie zepsuty. Ale ja, wygodna, przyjechałam tutaj i nie zrozumiałam istoty tutejszych kuchenek!

I znowu jedzenie, czy przyjdę o 17.00 czy o 19.00, czy 21.00, ciągle trafiam na kolację. Nie to, żebym nie lubiła jeść, ale jakieś przerwy by się przydały. Dostałam kartofle, torszu – specjalnie marynowane warzywa z dużą ilością octu, kotleta, koniak i pytanie od Pana Sławka:

- A kurisz ty Judyta?
- Nie
- Nie?! Z Polski i nie kurisz?!
- No bo ja taka Polka.

Po kolacji ruszyliśmy na zakupy, bo Luda opierniczyła Pana Sławka, że wypił jej całą wodę mineralną. Należało uzupełnić braki. Przy okazji i ja miałam zajrzeć do tutejszego marketu.

– Chodź, pokażę ci Green Hillsa – rzekł Pan Sławek.

Było już dawno po 21.00, więc byłam w niemalym szoku, że o tej godzinie jest tu coś otwarte.

– Jak w Warszawie! – powiedział Pan Sławek, wrywając mnie z zamyślenia.

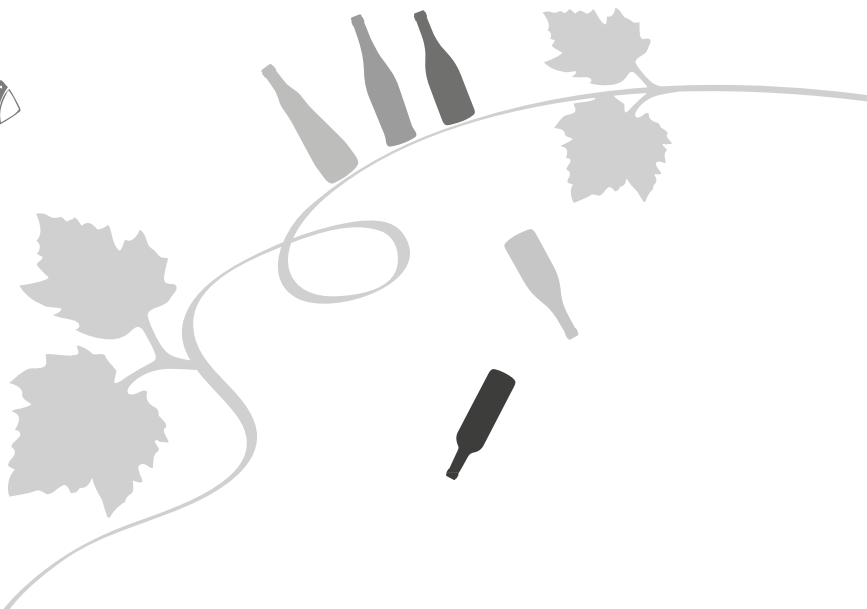
– Niesamowite! – niemal krzyknęłam.

Do marketu było góra pół kilometra. Był widoczny z daleka. Sporej wielkości Green Hills z powiewającymi niczym flagi emblematami wyglądał jak oaza na pustyni pozamykanych już pozostałych alimentariów. Jest na tyle ważny, że nawet na mapie, którą wręczył mi Wasia, gdzie były cztery zdjęcia najważniejszych obiektów: cerkwi, Urzędu Miasta, Uniwersytetu, było też zdjęcie z pierwszej rocznicy otwarcia Green Hillsa! I – co nie bez znaczenia – jako jedno z niewielu miejsc w tej miejscinie był dobrze oświetlony. To było coś! W świecie ciemności wielki „wow”. Jak zaczarowana weszłam do środka.

– Dlaczego Pan Sławek nie wchodzi? – zdziwiona zapytałam Pana Sławka, który zatrzymał się przed drzwiami.

– Bo jestem w dresie – odpowiedział.

Trochę mnie tym wyznaniem zdziwił, bo tutaj ledwie przestąpi się próg domu, wszyscy zarzucają na siebie luźny dresik. A fizyczni noszą go cały czas. Hm. Jednak Pan Sławek, pracownik Urzędu Gagauzji, na co dzień

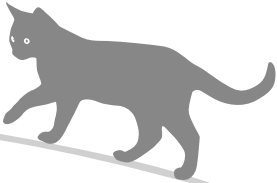


w spodniach w kant, miał swoje zasady: „w miejscach publicznych w dresach się nie pokazuję!”.

Sam Green Hills to taka drobinka Zachodu, duży, dobrze wyposażony market. Pełne towaru półki, kolorowo, z gustem. I odkrycie. Pyszne batoniki z bryndzy, z marmoladą albo galaretką w środku. Słodka, dobrze przemielona, aksamitna bryndza z lekko kwaskowatą masą w czekoladowej glazurze, rozkosz dla podniebienia. Soki w kartonie były od 10 lei w górę. Średnia cena to około 20 lei, czyli dość drogo. Cena była zagraniczna, bo i soki były zza granicy, więc doszły kolejne marże. Jednak na sąsiedniej półce były pokusy w postaci mołdawskich win w zbliżonej cenie, i to całkiem przyzwoitych: bogactwo Chardonnay, wytrawne Aligoté czy ciemny, gęsty Malec z piwnic Cricovej w gustownie opakowanych butelkach z pieczęcią. Ot, szczęście za 20 parę lei.

Koszmarnie drogie jak na tutejsze zarobki były wędliny i mięso. Droższe niż u nas, a wybór i jakość nikła. Importowane, nafaszerowane chemikaliami. Za to krewetki tanie jak barszcz. I pyszna chałwa, 20 lei za kilogram!

Kupiłam kilogram mączki kukurydzianej, by przyrządzać mamałygę. Wtedy byłam święcie przekonana, że będzie mi długo i smacznie służyć. No i wzięłam w imieniu stojącego przed Green Hillsem Pana Sławka butelkę średniogazowej wody mineralnej dla Ludy. Tak, bo tutaj od lat jest wybór przy każdej marce: gazowana, średniogazowana i niegazowana.





LUDA, PAN SŁAWEK I POLACY W GAGAUZJI

Najpierw była pani Ludmiła i Pan Sławek. Małżeństwo. On pracuje w Urzędzie Gagauzji, w dziale rolnictwa. Jest urzędnikiem. Ona handluje na targu dziecięcymi ubrankami, jest prezesem Stowarzyszenia Polaków Gagauzji, zna rosyjski, gagauski, turecki i polski. I dobrze gotuje. Ona ma matkę Gagauzkę i ojca Polaka, on jakies tam korzenie polskie. Oboje rocznik '61. Ona z lipca, on z listopada. On z Jałty, ona z Komratu. Poznali się we Lwowie, gdzie razem studiowali *ziemleustrojstwo*. – Po angielski land management – tłumaczy Pan Sławek.

– Przyszedł i nie mógł się odzepić – mówi Luda.

Luda mówi, że bardzo ją denerwował, nie chciała go, ale on przychodził, przychodził i przychodził, aż w końcu zamieszkali razem. To był drugi rok studiów, a może jeszcze pierwszy, taki szybki był Pan Sławek w dochodzeniu.

– Kłóciliśmy się po kilka razy dziennie. Dziwne, że nie doszło do rozwodu – mówi Luda i patrzy na mnie. – Żle tak wcześnie wychodzić za mąż, prawda?

– Nie mam pojęcia Luda, ani wcześniej, ani później, nie wychodziłam.

No, a potem była mała Marina, Siergiej i wnuk Edik. No i wszyscy są do dziś. Kiedy i jakim sposobem Władysław Wolewicz stał się Panem Sławkiem, to wie chyba tylko Luda.

Pan Sławek i pani Ludmiła to dwie skrajności. Ona gruba, on chudy, ona blondynka, on ciemny, ona chodzi powoli, bo pokaźne uda ocierają się o siebie, on ma nogi smukłe i długie. Przebiera nimi jak motorek. Fertyczny Pan Sławek.

On wysoki jak brzoza, ona nieduża wzrostem, ale duża wagą, jest jak dąb. To ona zarządza domem i domowym budżetem. On więcej pracuje w urzędzie, ona

sprząta, pierze, on przynosi co miesiąc 2000 lei, kładzie na stół. I nawet nie wie, ile z nich na co idzie i czy to wystarczy.

On lubi chodzić po domu w połyskującym dresie, ona w szlafroku w panterkę. Pan Sławek ponad życie kocha swoją żonę. Ona go też. Ich córka Marina takąż miłością obdarza ojca.

– Jak na lekcji zapytali Marinę, bo akurat był dzień matki, kto jest najukochańszą osobą dla ciebie, to wszystkie dzieci odpowiedziały „mama”, a ona „papa!” – mówi Luda.

Razem prowadzą założone w 2004 roku Stowarzyszenie Polaków Gagauzji. Wtedy zarejestrowało się zaledwie kilka rodzin, teraz jest ponad 200 osób. Czy to odkryta polskość, czy nieodkryte jeszcze płynące z tego profity? Luda szacuje, że co szósta osoba w Komracie ma polskie korzenie, tyle że proces rusyfikacji poszedł tak daleko, że już o nich zapomnieli. Pierwsi Polacy, którzy mieli pojawić się na mołdawskich terenach, to około 3 tys. żołnierzy, którzy ostali się na początku XVIII wieku po Wielkiej Wojnie Północnej. Już w drugiej połowie tego samego wieku dołączyło do nich ok. 3,5 tys. konfederatów barskich. Część z nich pojęła tutejsze kobiety za żony. Kolejni przybywający wtapiali się w mołdawski i gagauski etnos. Teraz polskojęzyczne nazwiska można odszukać na nagrobkach, w archiwach i opowieściach. Mołdawscy Polacy deklarują się jako Mołdawianie, Ukraińcy lub... Bułgarzy.

Dwa razy w miesiącu do Komratu wpada ks. Stanisław Kucharek, Polak pochodzący z rumuńskiej Bukowiny i odprawia dla rodaków mszę. Zwykle odbywa się w wynajętych pomieszczeniach albo choćby u Wolewiczów.

Przez trzy lata rząd Polski przysłał do Komratu nauczycielki, żeby uczyły tutejszych języka przodków. W tym roku nie przysłał, bo kryzys. Mieszkanie, które wynajęłam na



Luda i Edik

Sportivnej, zamieszkiwały wcześniej one. Pod moim adresem było też zarejestrowane Stowarzyszenie Polaków Gagauzji.

– Ludzie mnie się pytali, czy ja się nie boję, że on tam w domu sam, że zdradzi. Ale spójrz na niego – popatrzyłam – czego ja się mam bać, jak on siedzi cały czas w domu i gra – mówi Luda, która kilka lat pracowała w Turcji.

– Jak wróciła, to już mówiła z tureckim akcentem – odezwał się Pan Sławek, jak zawsze hołubiący Ludę.

Jako że był jak zawsze przy komputerze, nawet nie oderwał się od niego. Grał akurat z 16-latkami.

– Tak, to jego poziom! – podsumowała Luda.

Jak już wspominałam, Pan Sławek bardzo lubi spędzać każdą wolną chwilę przy komputerze. Gra, po prostu gra! Wraca z pracy, siada do komputera i tak aż do pójścia spać. Gdy Luda wzywa go (a ta kobieta nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać!), żeby jej pomógł, na przykład przy wypełnianiu dokumentów, Pan Sławek musi się oderwać od gry – to jedyne chwile, kiedy jest zły. Taka utajona furia. Mimo złości, wstaje od komputera i idzie pomóc Ludzie.

Jedynie gdy zbliża się bitwa, wtedy od komputera nikt ani nic go nie odciągnie. Emocje aż kipią i lepiej się nie odzywać do Pana Sławka. Jest w swoim świecie. Wirtualnym. W głowie ma całą strategię. I jest jeszcze coś.

– Halo! Halo! Chłopaki już gotowi? Tu José, możemy zaczynać – mówi Pan Sławek do komputera. – Tak, wczoraj było opóźnienie, ale dziś już ruszamy, chłopaki...

– Prawie jak Zapatero – rzuciłam, dusząc się ze śmiechu.

Ludzie niemal chochla wypadła z ręki. Tak, tak, Pan Sławek ma w wirtualnym świecie ksywę... José.

Odkąd nam to nieopatrnie wyjawiał, Luda woła do niego: „Chodź José, obiad gotowy!”, „Chodź José, musimy przesunąć fotel!”, „Hej José, jak tam dzisiaj było w rządzie?!”, „O, José dziś nie gra, chce porozmawiać z nami?”.



BUDŹAK



W sobotę, niedzielę i poniedziałek Marina prowadzi z dziećmi polskie tańce. Marina to córka Ludy i Pana Sławka, studiowała w Lublinie, tam uczyła się też polskich tańców.

Zespół nazywa się „Polacy Budżaka”. Jak wygląda nauka tańca, pewnie każdy po trosze się orientuje. Ciekawe było to, że młoda mama Marina prowadziła lekcje tańca, wydawała instrukcje i pokazywała kroki, jednocześnie bujając na rękach małego Edika, który wybałuszonymi oczyma oglądał towarzystwo.

Dzieci były przyzwyczajone do takich widoków, bardziej zainteresowałam ich ja, najpierw mi się przyglądały, coś szeptały między sobą i...

– Będzie pani z nami tańczyła? – zapytała nagle Julia.

– Nie przewiduję – odpowiedziałam.

– Neeee?!! – zdziwiła się Julia i dodała: – Jaka szkoda. Bo poprzednia nauczycielka tańczyła z nami.

Kolejne dzieci zaczęły wręcz prosić.

Tak, gagauskie dzieci wywijały polskie tańce: sądeckiego, poloneza, kujawiaki, oberki, z zaciekawieniem spozierając na mnie. Nie wiedziałam, o co im chodzi. Taka ze mnie tancerka staropolskich tańców, jak i nauczycielka. Nie! Nie! Neeeeee! Drogie gagauskie dzieci, pani Sierakowska tańczyć nie będzie!

– Jak dzieci występowały w Zielonej Górze, to wszyscy się pytali, a skąd nazwa, dlaczego „Polacy Budżaka” – oburza się Luda. – No jak to dlaczego?!

Oburzenie Ludy wynikało stąd, że tu, w Gagauzji nazwy „Budżak” używa się bardzo często i chętnie. Budżak (in. Budziak, gag. Bucak, rum. Bugeac) jest krainą

historyczną, która znajdowała się w rejonie południowej Besarabii. I mimo że ten obszar przynależy teraz do Ukrainy, to Gagauzi bardzo lubią określać tak swój region. *Bucak* po turecku oznacza kąt. Niegdyś Nogajowie i Turcy tak właśnie nazywali równinę Besarabii, między Akermanem a Kilią.

Najsłynniejszy i największy targ w Komracie też się nazywa Budżak. Ma on swoje dystrykty, są te ze słodkościami, łakociami: świeżą, pachnącą, rozpływającą się i lgnącą do języka chałwą, kleistym, złocistym miodem, cukierkami, landrynkami, czekoladkami różnej maści i barwy czy kruchymi, nadziewanymi ciastkami; warzywami, owocami, mięsem, odzieżą, proszkami do prania, szczotkami, narzędziami, zwierzętami, maszynami.

– Chałwa!!! Świeżaaaa chaaałwa!!! Wkuuuuusna!!! – krzyczą przekupki, aż wiedną uszy od hałasu, a w nosie kręci od różności.

Targowisko obfitości w smaki, zapachy, kolory, kształty, krzyki przekupek, folklor muzyczny, dyskotekowe rytmy puszczane z płyt i kaset na taśmę. Rytm podaży i popytu.

Woń świeżych warzyw łączy się ze świadem, właściwie lekkim fetorem, który ciągnie się od podgniętych papryk, i tych dużych, krągłych, i tych małych, bardzo ostrych, piekących w język i drażniących podniebienie. A najbardziej trąci od zmruszałej w skrzyniach kapusty i oleistych, obślizgłych, tranowatych, moczających się w misach i wanienkach ryb. Wielkie okazy w mazi, we krwi, w wodzie. Zaraz przy wejściu na targ siedzą z nimi baby. Ryby są od takich maluchów, na danie jednoosobowe, do takich ponad 10 kilogramów, na cały zjazd gagauskiej rodziny. Ryby są czymś, co się zapamiętuje, ze względu na zapach i żywotność, w końcu to jeszcze pluszcze, wali ogonem o misę i domaga się swobody i wolności.

Drobne przekupki stoją ze swoim towarem: kurzymi jajami, jabłkami, winem w butelkach po mineralnej. Stoją rzędem wzdłuż ulicy ciągnącej się od dworca autobusowego po plac Pobjedy.

Budżak tętni życiem od wtorku do niedzieli, od świtu do 16.00. Największy tłok jest rano i w weekendy, bo wtedy na targ zjeżdżają ludzie z okolicznych wiosek. Na Pobjedy od dworca autobusowego do cerkwi jest ścisk.

Budżak odpoczywa tylko raz w tygodniu, w poniedziałek. Wtedy to cała targowa przestrzeń straszy pustkami, pustymi boksami, ławkami, na których nikt nie siada, na których nikt nic nie stawia, przepędza gapiów chyboczącymi na wietrze zadaszeniami, walającymi się pod nogami resztkami jedzenia, kruszynomami rozdobywanymi przez wrony, skórkami po skonsumowanych owocach, zduszonymi, prawie zbutwiałymi natkami od pietruszki, marchwi, buraków, selerów. Czasami wiatr przesuwając silniejszym dmuchnięciem skarpetę, pończochę albo drobną część garderoby, zagubioną rękawiczkę.

– Świeże ryby! Świeże karpie!!!

– Uwaga!!! – krzyczy mężczyzna pchający wózek z ziemniakami.

Targowe krzyki wybijają z zamyślenia, w które wbijają ostre, mdłe i słodkie, pożywne zapachy chałwy.

– To którą chce dziewczuszka spróbować?

„Wieczna dziewczuszka”, pomyślałam o sobie. Wieczna, nieopierzona dziewczuszka!

Przy ważeniu starsze przekupki zwykle starały się okantować mnie o 10, 20 deko czy „zaokrąglić” o lej, dwa czy trzy przy większych zakupach. Nawet nie starałam się wtopić w tłum, targując się na całego i wdając w bazarowe kłótnie.



Polski taniec przed
gagauskimi notablami

Andrijej i koleżanki z zespołu
„Polacy Budzaka”



Większość kupców stoi na głównym placu, ale gros z nich rozstawia się na chodniku, zaraz przy ulicy. Stoją tak trochę na opak, gdzie się da.

Nie, nie przypomina naszych małych warszawskich szaberplaców. Jest tam wszystko, ale mimo harmidru jest porządek. Od głównego wejścia ciągnie się alejka spożywcza, warzywna. Dużo łakoci, zapieczętowanych, markowych, ale i dużo produktów własnych, mołdawska chałwa. Całe bloki chałwy.

Na targu stała starsza kobieta w ciepłym, grubym serdaku. Sterczała obok sporych, plastikowych opakowań, takich jak te nasze po farbie. Dopiero jak uchyliła wieko jednego z nich, można było dotrzeć złocisty... miód. To opakowanie musiało być piekielnie ciężkie, bo litr miodu jest prawie półtora raza cięższy od zwykłej kranówki. Sprzedawała go w małych plastikowych, przezroczystych pojemniczkach i w słoikach. Można było też przyjść ze swoim naczyniem, kobieta nakładała wedle życzenia. Zapytałam, co to za rodzaj, w odpowiedzi podwinęła mi rękaw prawej ręki, w wielkim baniaku, w którym był miód, zanurzyła drewnianą szpachlę i nałożyła mi na rękę. Polizałam. Miód był złocisty, aksamitny, słodki, pyszny. Wzięłam słoiczek.

Kilogramami to kupowałam paprykę. Małe, mini, zielone papryczki. Gdy przychodziłam do Wolewiczów, Luda częstowała mnie nimi. Gagauzi smażą je

w wielkich garach, na oleju. Podpieczone, posolone służą jako dodatek do mięsa, do wódki albo jako zwykła przegryzka.

Obładowana warzywami, ruszyłam w stronę stoisk z ubraniami.

– Judyta, a gdzie ty kupujesz kurczaki? – zapytała mnie Luda, gdy wyszukałam ją na stoiskach z dziecięcymi fatałaszczkami.

– W mięsny na Fiedki, zaraz niedaleko nas – odpowiedziałam.

– Jak wyjdiesz z targu, to idź trochę na lewo, tam jest większy budynek, i tam na dole jest sklep z warzywami, a na górze jak wejdziesz wnutri, to tam sprzedają świeże kurczaki. W czwartki dowożą. Ładne, niezamrożone – poradziła mi Luda. – I przyjdź do nas na kolację – rzuciła, gdy odchodziłam.

Nie było to potrzebne. I tak codziennie zaglądałam na internet, co właściwie było jednoznaczne ze spożywaniem sutej kolacji u Wolewiczów.



Wieczorem poszłam z Ludą obejrzeć jak tańczą dzieci. Po pojawieniu się Ludy atmosfera luzu opadła. Dzieci sztywne jak kołki, bo i Luda słów krytyki nie szczędzi, a też i głos ma nie do zdarcia.

– Jak stawiasz kroki! Dlaczego tego nie zapamiętałeś? Gdzie byłeś tydzień temu??? – każdemu z dzieci miała coś do zarzucenia.

Luda ma charakterek zmieszany z gołęmbim sercem. Znaczy kobieta.

Przy kolacji Luda jeszcze przeżywa, a to kto źle tańczył, a to kto nie przyszedł, a to kto do kogo smali cholewki...

– Judita, ona nie przyszła na tańce, bo mówiła, że jest chora. A potem ja ją widzę, a ona całą szyję ma jak Ermitaż! – malowniczo opowiada Luda o obcałowanej szyi dziewczynki z zespołu.





TELEWIZJA, CZYLI BABCIA BIJE W BĘBEN

W Polsce nie posiadam, unikam jak ognia. Tutaj stał się dla mnie chlebem powszednim. Telewizor. Mały ruski grat z jednym programem, TV Komrat, witał mnie rano, żegnał nocą.

Żywo zainteresowałam się tamtejszą sceną muzyczną. U nas na przykład konkurs Eurowizji to już takie zgliszcze, 15–20 lat temu występ tam to była nobilitacja. Tutaj jest nadal, bo konkurs jest świeży. Mołdawia pierwszy raz wysłała swojego reprezentanta na konkurs Eurowizji w 2005 roku (zaledwie rok wcześniej mołdawska telewizja publiczna dołączyła do Europejskiej Unii Nadawców)!

Początkujący mają szczęście. Debiut w 2005 roku grupy Zdob și Zdub z piosenką *Bunica Bate Doba* (*Babcia bije w bęben*) zapewniła im w finale drugie miejsce, ostatecznie uplasowali się na szóstej pozycji. Rok później już było gorzej: Arsenium i Natalia Gordienko z piosenką *Loca* (*Szalona*) zajęli 20. miejsce. To była afera. Ze względu na mało interesujący wynik, plus kosztów, mołdawska telewizja chciała zrezygnować z udziału w konkursie w roku 2007, ale nacisk opinii publicznej złaźnionej rozrywki był tak duży, że od tej decyzji odstąpiono.

W telewizji programów rozrywkowych jest mnóstwo, prosto z Rosji i po rosyjsku. Ten główny, w którym roi się od celebrytów, to „Sobotnij wieczor” i dzięki niemu miałam przegląd wszelkiej maści wschodnich gwiazd, od Ałły Pugaczowej, przez Sofię Rotaru, po girlsbandy typu Blestiaszczije.

Gapię się w ekran, a tam najpierw na oko 40-letnia blondynka śpiewa: „Znajdziesz niebo taaaak kocham cieeeeebie!!!”, potem jakiś boysband: „Ja do ciebie nie podejde, i ty do mnie nie podchodz”. Prawie nasze disco polo.

Telewizja mołdawska zdominowana jest przez rosyjską propagandę. Nie wiem, co się dzieje w kraju, bo cały czas widzę Dmitrija Miedwiediewa albo Władimira Putina. Na wiejskich domach nie brakuje białych talerzy od anten satelitarnych. Wiadomo, tam, gdzie bieda, jest głośno, kolorowo i filmowo. To żeby zobaczyć inny, lepszy świat.

Mnóstwo romantycznych seriali, choćby o pięknej nowoczesnej Cygance, rozdartej między miłością do przystojnego biznesmena i równie przystojnego Cygana z taboru, w tle rywalki, jej i jego rodzice, mezalianse, tłuczone szkło, przepych, kolorowe chusty, muzyka i słońce, konie, auta, jęki rozkoszy i jęki cierpienia.

W kraju, gdzie niczego nie ma, karmienie namiętnościami to najlepsze wyjście. Nic tak nie usypia czujności jak emocjonalna ślepotą. Albo szczerą sceną z rosyjskiego serialu. Przyszła teściowa do przyszłej synowej: – Wyjdź za mojego syna, on młody, przystojny, z perspektywami na mieszkanie. Co ty na to? On jest bardzo dobry chłopak, choć też ma i wady...

Przyszła synowa: – Jakie?

Przyszła teściowa: – On egoista i cham.

Jak nie telewizja, to prasa. Poszłam do kiosku i pytam o jakiś niezależny dziennik. Pani w kiosku wychyliła się przez okienko i zapytała:

– A wy otkuda?

– Iz Polszy!

Wypytała mnie skąd dokładnie i co tam robię, potem zaczęła szperać i podawać mi różne tytuły, czy może mi ten pasuje albo tamten. Zapytałam, co ona mi poleca. Nie była w stanie. W końcu kupiłam „Komsomołkę”, czyli stanęło na tym, co zawsze.

Niestrudzona znalazłam kolejny kiosk, a naprawdę nie ma ich za wiele w Komracie. W tym zaś sprzedająca na pytanie o niezależną gazetę tłumaczyła się tym, że pracuje w kiosku pierwszy dzień i nie wie. No, ale nie pytałam ją jak towar jest ustawiony na zapleczu, tylko o gazety w jej kraju, w którym na oko już z pół wieku żyje. To nie znaczy, że takich gazet nie ma, to znaczy, że nikt nic o nich nie wie, albo po prostu mało ich interesują.

Jeśli chodzi o lokalne, gauskie gazety, to można je dostać tylko w wybranych sklepach i to tylko z rana. Przez cały pierwszy miesiąc życia w Gagauzji wydawały

mi się jakimś widmem, co o nie pytałam, to nigdy ich nie było, kazano pytać to w tym, to w tym sklepie. W żadnym nie było.

W Komracie, stolicy Gagauzji, piątym co do wielkości mieście, jest tylko jeden sklep z książkami i prasą, oprócz tych trzech kiosków. Jest tam może z kilkanaście tytułów, z dominacją prasy kobiecej transportowanej prosto z Rosji. Dzienników żadnych. 75 procent gazety to program telewizyjny i nie ma co czytać.

W żadnym mołdawskim domu nie zauważyłam też, żeby leżakowały jakieś gazety. Nie wiem, czy to kwestia braku pieniędzy, czy wyparło je powszechne już medium, jakim jest internet.





BIEDA



W 2007 roku produkt krajowy brutto w Mołdawii ledwo sięgał 2300 dolarów na mieszkańca, to jedna czwarta tego, co na Białorusi. Nie dziwne, że na każdym kroku słysząc pochlebne opinie o kraju Łukaszenki. Dla Mołdawian – krainie mlekiem i miodem płynącej. Gdy w rozmowie wychodziło, że byłam na Białorusi, każdy dopytywał: jak tam jest? A to prawda, że tam jest tak czysto i jest wszystko? Gdy Wasia zaplanował jechać do Mińska na sylwestra, to było to wielkie wydarzenie. Opowiadał o tym z jakąś niezrozumiałą dla mnie dumą. Rozumieli ją doskonale wszyscy obok, Gagauzi, Mołdawianie.

Zaraz po Czarnogórze, Mołdawia przoduje w statystykach biedy, jest mikrusem Europy. Co ciekawe, sami Mołdawianie bronią się rękami i nogami przed łatką biedaka – tak jakby to można było jakimś zaczarowanym sposobem ukryć. A jednak radzą sobie. Tę swoją ubogość ukrywają, porównując się z gorzej sytuowanymi. W tygodniku „Komsomolskaja Prawda w Mołdawii” z 15 października 2009 roku pojawił się artykuł pod tytułem: *Mołdawianom żyje się lepiej niż Tadżykom, ale gorzej niż Białorusinom.*

Według podanych tam danych z Komitetu Statystyki Wspólnoty Niepodległych Państw za pierwsze półrocze 2009 roku średnia pensja wynosiła 2673,6 lei mołdawskich (1 lej to około 27 groszy), w Rosji – 5824,3, na Białorusi – 3753,7, no a w Uzbekistanie – zaledwie 1408,8, a w Tadżykistanie – tylko 761,9! Wyliczono to przeliczając walutę danego kraju na dolary, a te na leje mołdawskie. Na ile wiarygodne są te dane? Gołym okiem widać, że podawane ceny produktów są zaniżane, przynajmniej w Mołdawii. Według tej tabeli chleb kosztował 4 leje, mleko 4,5,

a ziemniaki 6. Przy tak podanych cenach wychodziło, że właściwie w Mołdawii jest taniej niż w innych krajach WNP. Robiąc zakupy prawie każdego dnia, wiedziałam, że ceny te trzeba pomnożyć razy dwa. Szczegół, że ze statystyk wybrane zostały i tak dość tanie produkty w Mołdawii. Gdyby autor tekstu wybrał na przykład wędliny, Mołdawia mogłaby się pochwalić naprawdę wysokimi cenami. Poza tym zawsze miło porównywać się z Kazachstanem czy Azerbejdżanem.

Kiedy na początku lat 90. XX wieku ZSRR rozsypało się na mniejsze kawałki, tym samym rozpadł się bipolarny układ sił. Nowe kraje pojawiły się na mapie świata w dość podłym dla siebie czasie. Zmiany z przełomu wieku obecnego i poprzedniego, czyli rozszerzenie NATO i Unii Europejskiej na Wschód spowodowały, że znalazły się one pomiędzy nimi a nieugiętą Rosją. Pomiędzy dwoma silnymi mocarstwami, do których ani nie należą, ani też nikomu na nich nie zależy. Bo jednak Związek Radziecki to był wielki obóz demokracji ludowej, gułag socjalistyczny, bez którego trudno sobie radzić, zwłaszcza Mołdawii. Ją szczególnie każdy z sąsiadów wykorzystuje bez skrupułów. Rosja, tak szczodra dla Ukrainy (przez jej terytorium przepływa aż 145 miliardów m³ gazu ziemnego eksportowanego przez Gazprom), Mołdawii regularnie podnosi ceny za gaz. Rumunia zaś efektywnie podkrada jej obywateli. Jeszcze wiosną 2009 roku prezydent Rumunii, Traian Băsescu zarządził uproszczenie procedury nadawania obywatelstwa etnicznym Rumunom mieszkającym na terenie Mołdawii. Băsescu poinformował wówczas, że w rumuńskiej ambasadzie w stolicy Mołdawii, w Kiszyniowie na rozpatrzenie czeka milion podań!

Jest to nie tylko chwyt marketingowy – polityczny manewr, który na pewno przypadł do gustu rumuńskim nacjonalistom. A tych nie brak, chętnie ujawniają się choćby podczas demonstracji w Kiszyniowie, gdzie nosili transparenty: „Rîmania este patria mea” („Rumunia to moja ojczyzna”), krzyczeli: „Jos comuniștii!” („Precz z komunistami!”). Jest to też całkiem sensowna dla wielu Mołdawian oferta bogatszego, należącego do UE kraju – rumuńskie prawo daje bowiem możliwość przyznawania obywatelstwa byłym obywatelom kraju i ich potomkom, którzy stracili je wbrew swojej woli.

Tyle samo obywateli Mołdawii, ilu miałoby złożyć podania o rumuńskie obywatelstwo, wyjechało za granicę i tam pracuje, by utrzymać rodzinę. Tu mieszkać nie chce nikt. A śmieszna średnia pensja około 100 euro i jeszcze śmieszniejsza emerytura – oznacza, że jakieś 80 procent społeczeństwa żyje na granicy ubóstwa. Mołdawianie parają się głównie rolnictwem: zboża, tytoń, kukurydza, dynie czy winorośle. A to przecież kiedyś najbogatsza republika Związku Radzieckiego! Tylko tak cholernie głupio zarządzana, tak bezmyślnie, że ludzie nie mają za co żyć.

Jak to możliwe, że ta niegdyś całkiem bogata republika ZSRR drzemie teraz w takim letargu?

Może choć trochę wyjaśni to anegdota o piekle kapitalistycznym kontra piekło socjalistyczne.

Nikita Chruszczow wchodzi do przedsiönka piekła. Rozgląda się, a tam dwa okienka – nad jednym napis: „piekło socjalistyczne”, nad drugim: „piekło kapitalistyczne”. Przed pierwszym tłum, przy drugim wieje pustkami. Staje przed „piekłem socjalistycznym” i nagle oczom nie wierzy: tuż przed nim stoi sam Dwight Eisenhower.

Chruszczow: – Pan, zwolennik kapitalizmu, w kolejce z socjalistami?!

Eisenhower ze spokojem odpowiada: – A bo wie pan... Tutaj jak węgiel jest, to smoły nie ma...



Kasa biletowa
na dworcu w Congazie



KRASOTA SPASIEĆ MIR, CZYLI WYBORY MISS GAGAUZJI

- Judyta, a co ty tak omijasz nasz dom? – pyta Luda.
- Oj Luda, nie omijam, spieszę się na wybory miss – odpowiadam.
- ??? – odpowiedziała Luda.

Duże oczy pani prezes Stowarzyszenia Polaków Gagauzji wskazywały, że albo nie wie, o co chodzi, albo niezbyt ją to interesowało, a wręcz nie obchodziło, i patrzyła na mnie ze zdziwieniem, dlaczego mnie to ciekawi. Prawda jest taka, że w Polsce w życiu nie wpadłabym na idiotyczny pomysł oglądania, jak paradują dziewczyny, ale Gagauzja to już co innego!

Już pierwszego dnia pobytu w Komracie, kiedy to zrobiłam obchód po mieście, natrafiłam na plakaty informujące o odbywających się 18 października o 18.00 wyborach Miss Gagauzji. „No co za gratka – pomyślałam – trochę folkloru, kiczu, muzyki, gagauskich strojów i przegląd tutejszych piękności, cokolwiek się pod tym kryje”.

Tym bardziej to było dla mnie nęcące, że nigdy nie oglądałam wyborów miss na żywo. Tylko w telewizji, jak choćby wybory Miss Świata, ale to trochę inny kaliber ważności. Jako szczenięcie z zapartym tchem u ciotki, gdzie był dobry, kolorowy telewizor, przy talerzu rosołu oglądałam wybory, które wygrała Aneta Kręglicka. Co za moc wrażeń, to było coś! Mama przeżywała, „że wszystkie miss mają tak ładnie ułożone włosy”, a naszej nikt tych włosów nie uczesał! W dobie tapirów, idealnie ułożonego każdego kosmyka, Kręglicka ma taką staroświecką fryzurę! Ma taką i teraz, i nadal dobrze wygląda. Wyróżniała się spośród nastoletnich, za bardzo „zrobionych” młódek, jeszcze niegrzeszących taką klasą, jaką miała ona,

albo nigdy niemających grzeszyć. Potem już nie było takich miss (bo bez naszych) i takich wyborów. No, ale co tu się podniecać światowymi wyborami miss, jak to był po pierwsze 1989 r., a nie 2009, no i w Hongkongu, a nie w Komracie. Już nigdy potem nie było tak jak wtedy!

*Nigdy nie będzie takiego lata
Nigdy nie będzie takiego lata
Nigdy policja nie będzie taka uprzejma
Nigdy straż pożarna nie będzie tak szybka i sprawna
Nigdy nie będzie takiego lata
Nigdy papieros nie będzie tak smaczny
A wódka taka zimna i pożywna
Nigdy nie będzie tak ślicznych dziewcząt...*

(Filandia Świetlików)

No, zobaczymy!

Bo był to już październik i jeśli lato, to dość późne. Ale po kolei. Że były tłumy i że wszyscy byli „na bogato”, to wiadomo. A więc wiadomo. Konkurs ruszył pod hasłem: *Krasota spasiet mir*, czyli „Piękno zbawi świat”. No cóż, kiedyś zbawiał Jezus, ale że go nie ma, to z braku przyzwoitego Mesjasza dobra i gagauska miss.

Odbywał się w lokalnym Domu Kultury, którego drzwi wejściowe oblepione były informacjami o wydarzeniu. Sporej wielkości scena udekorowana była kwiatami, a na jej środku ustawione były czerwone schodki otoczone girlandą. Najpierw na scenie pojawili się tancerze towarzyscy, a gdy już zatańczyli co mieli zatańczyć, pojawili się prowadzący: znany (tutaj) aktor, prezenter telewizyjny Baburin Denis i Anna Sary. Przedstawili 14 dziewczyn, które stanęły do walki o tytuł krasawicy. Najmłodsza miała zaledwie 14 lat, najstarsza 25. Prowadząca przebierała się pięć razy, misiski tyleż samo. Najpierw wystąpiły w nocnych kusych koszulkach (potem w lokalnej prasie przeczytałam, że to były... sukienki koktajlowe; no cóż, w łóżku też można sobie strzelić drinka).

Przedstawiono przewodniczącego jury, którym był Konstantin Moskowicz. Było to dla wszystkich wielkie zaskoczenie, bo Moskowicz, słynny artysta, nie jest Gagauzem, ale Mołdawianinem, a poza tym wielkim twórcą o międzynarodowej sławie.



Po słowach Dyrektora Biura Miss Gagauzji, Niny Dimogło: „Piękno zewnętrzne jest wtedy dobre, gdy idzie w parze z pięknem wewnętrznym”, rozległy się sowite oklaski.

Gdy dziewczyny prezentowały się na scenie, na minitelebimach z boku pojawiały się slajdy z ich twarzami i imionami. Albo tak niefortunne były te zdjęcia, albo tak „przerobiono” dziewczyny makijażem, że ani jedna z nich na żywo nie przypominała siebie ze zdjęć.

Siedząca obok mnie pani lat około czterdziestu przyglądała mi się dziwnie, z bliżej nieznanymi mi powodów. Była taka na bogato: utlenione włosy, perfekcyjny w pewnych kręgach makijaż. Obok niej siedziała kobieta taka sama jak ona, tyle że ze dwie dekady bardziej posunięta w czasie. Podejrzewam, matka. Były momenty, że bardziej skupiała uwagę na mnie, niż na tym, co się dzieje na scenie. Było to dość krępujące, bo zastanawiałam się, czy ze zwykłej ciekawości, czy też być może wypisane mam na twarzy, że nie jestem stąd.

Fakt, jak okiem rzucił po widowni, przed rozpoczęciem imprezy i w trakcie, to wszystkie panie miały na sobie suknie, niezliczoną ilość świecidełek, połyskujące usta i powieki, lakierowane szpilki, pantofelki, botki do kolan, koki, polakierowane loki, długie, kolorowe tipsy. Panowie obowiązkowo w garniturach, muchach, krawatach, w koszulach w jaskrawych kolorach. Dla nich to był zapewne wielki,

Przed nadejściem missek



ważny dzień, gdzie trzeba się ubrać jak na bankiet czy też wesele u miejscowego krezusa. A ja? No cóż: dzinsy, żółte martensy i skórzana kurtka.

Wcisnęłam się głębiej w siedzenie, by nie zwracać na siebie uwagi. Wiotkie miszki przyszyły mi z odsieczą. Przy dyskotekowej nucie skocznym krokiem wpadły na scenę i zatańczyły jakiś popowy układ w topach, spódniczkach do połowy pośladków i... białych skarpetkach, bez butów. Widocznie chciano tym pokazać, że ktoś mocno się napracował, by podłoga była nieskazitelnie czysta.

Potem bardzo znany, tutejszy muzyk – wszyscy go oklaskiwali, w ludowej czarnej koszuli i marynarce, zaśpiewał kilka pieśni. Ledwie skończył, na kruchych szpileczkach, w kusych strojach kąpielowych weszły dziewczyny. Bikini były zielone, a do ramiączek przyłączone miały listki. Wyjścia dziewczyn przerywane były występami ludowych śpiewaków i zespołów, które grały żywą, młodzieżową muzykę.

I nadeszła wiekopomna chwila, czyli prezentowanie i zachwalanie sponsorów i miejscowych notabli. W tym czasie młodzi chłopcy stawiali koło miszek podarunki od kolejnych firm, jak jedną torbę zanieśli, przynosili drugą, potem jakieś reklamówki. Wyprostowane miszki nawet nie mrugnęły okiem, stały wpatrzone w publikę, która klaskała i klaskała.

Dziewczyny ze sceny wychodziły obładowane, jak – za przeproszeniem – Rumunki, a że to była niebywała okazja do zaprezentowania się przez miejscowych fabrykantów, jak i przypomnienia o sobie przez stare biznesowe wygi, typu producent czekoladek, koniaku czy wina, to każdy chciał zostawić po sobie ślad. A wiadomo, że co jak co, ale gadżet zawsze, choćby na trochę zwiąże dziewczyny, ich rodziny, znajomych i zgromadzonych na sali, słyszących nazwę hojnego sponsora, z daną marką.

To był pierwszy raz, kiedy uwielbieniem obdarzyłam dwóch młodych hip-hopowców z zespołu „Juznyj Akcent”. Do tej pory nawet nie dopuszczałam, że ten typ muzyki jest do słuchania. A tu proszę, jaka niespodzianka, gagauski hip-hop rozweselił moją starganą wrogimi spojrzeniami duszę. „Juznyj” zaśpiewał ledwie dwie piosenki, ale to wystarczyło, by wykrzesał ze mnie trochę sympatii, zwłaszcza piosenką *Szagaj s nami*.

Moją faworytkę, dziewczę wysokie, ciemnookie, ciemnowłose, które wyróżniało się prawie niewidocznym makijażem i skromną sukienką (i chyba tym mnie ujęła), zżarła trema, a być może myślenie w ogóle nie było jej najmocniejszą stroną. Na

pytanie, czym jest przyjaźń, zaczęła: „przyjaźń... hm... to bardzo trudne słowo... hm, przyjaźń... hm... to bardzo złożone pytanie... hm...” Potem spojrzała w sufit i chyba zobaczyła czarną dziurę, bo tak już zawisła.

Dziewczyny stojące za nią coraz bardziej krzywiły twarze, prawie dusząc się ze śmiechu, inne po prostu się cieszyły, że eliminują konkurentkę, a raczej, że ona sama się eliminuje. Przykro było na to patrzeć. Kiedy cichaczem na sali rozległy się komentarze: „żeby na tak proste pytanie nie udzielić odpowiedzi”, było mi najzwyczajniej żal dziewczyny, że się tak spaliła i pewne jeszcze przez długi czas będzie wytykana palcami: „ta, która nie wie, co to jest družba”.

Wot życie.

Potem przyszła pora na chyba standard na tego typu konkursach: misski w strojach weselnych. Przy okazji reklama lokalnego zakładu z sukniami ślubnymi.

Werdykt był zaskakujący, bo sprawiedliwy! Takie przynajmniej wszyscy mieli wrażenie, bo zamiast gwizdów, jak często bywa na tego typu konkursach, rozległy się sowite oklaski. Sam fakt, że zwyciężczyni została i miss publiczności, i miss fotografów, tylko to potwierdzał.

Zgrabna brunetka Nadzieźda Hodos, bo tak się nazywa, 17-letnia licealistka, odpowiadała na pytania jury zaraz po nieszczęśnicy od družby. Wypadła na jej tle rewelacyjnie. Jakie miała pytanie i co odpowiedziała? Nie pamiętam. Ważne, że miała piękny uśmiech i wypisaną na twarzy pewność siebie, a do tego była bardzo ładna i ładnie „zrobiona”: naturalnie pulchne usta podkreślone karminową szminką, starannie zrobione kreski, tak by oczy były jak najbardziej kocie. Do tego czerwona dopasowana sukienka, bez ramiączek, białe koralki i rękawiczki. Przy dziewczynach, które powkładały panterkowe mini i piórka we włosy, wyglądała jak gagauska Dita Von Teese. Na taką miss czekano.

Przy wyjściu stała pani w futrze, z matką też w futrze, patrząc na mnie wnikliwie. Zapytała, skąd jestem. Gdy usłyszała, że z Polski, poprosiła, bym zaczekała chwilę. Zniknęła w tłumie i po chwili przybiegła ciągnąc za rękę jakąś nastolatkę.

– To córka – poinformowała mnie. – Powiedz coś do pani po polsku – zwróciła się do niej.

– Dzień dobry – powiedziała na oko 14-letnia córka.

– Dzień dobry – odpowiedziałam córce.

Ta schowała się za futrem matki. To sobie pogadałyśmy...



UNIERSAŁ-2



Kiedy byłam w Sanoku podczas zbierania materiału o powodzi, dorwałam się do tamtejszych gazet lokalnych w celu poszukania jakiegoś regionalnego, zjawiskowego tematu. I tam w jednej z gazetek, bodajże „Tygodniku Sanockim”, był artykuł zatytułowany: *Sanok to nie Las Vegas*. Idąc tym tropem nazewniczym, można by rzec: „Komrat to nie Warszawa”. Proporcje oczywiście nieproporcjonalne, bo ani powierzchnia, ani liczba ludności nie takie same, ale wielość inwestycji, klubów, rozrzut cenowy, no i przede wszystkim oświecenie porównywalne.

Wiedząc już na pewno, że tu nie Warszawa, zaczęłam grzebać w internecie, żeby zagaić kogoś „stąd” na Skype’ie. W Komracie były trzy osoby. Napisałam do chłopaka, rocznik 1984, ksywa „Kidqwest”. Pomyślałam, że miłośnik mangi, a może i składanych samolotów, no ale przynajmniej wiek zbliżony. W końcu nie szukałam partnera życiowego, tylko osoby w miarę otwartej na ludzi i na świat, która pokazałaby mi miasto i powiedziała co nieco o Gagauzji.

Na Skype’ie poszło sprawnie, przedstawiłam się, wytłumaczyłam, że jestem tu nowa i byłoby miło go poznać. Chłopcze zaskoczone informacją, że przyjechałam do Komratu bez konkretnego powodu, bo przecież wszystko się robi po coś, wypytało mnie: co robię? skąd znam rosyjski? co widziałam? co chcę zobaczyć? Kolejny raz zapytał: po co tu przyjechałam, skoro tu nic nie ma?

Ot grzeczna, wprowadzająca rozmowa, z przewagą jego pytania za pytaniem. Jak się potem okazało, tutejsi chłopcy już tak mają. Ciągłe o coś dopytują. Sam Wasia, bo tak się nazywał, był z Chirsovej, siola oddalonego 10 km od Komratu, pracował w tamtejszej fabryce wina, lubił grać na komputerze i wędkować.

Umówiliśmy się w samo południe pod cerkwią. W centrum miasta, w niedzielę. Widać było, że tu wszyscy się znajdują, bo od razu, mimo tłumy, ruszył w moim kierunku. Był to dla niego dogodny termin, bo w niedzielę zwykł przyjeżdżać na targ do Komratu, tak jak to zwykle robią ludzie z okolicznych wsi w weekend.

– Gdzie chcesz iść? Co chcesz zobaczyć? Lubisz chodzić??? – Wasia znowu zaczął bombardować mnie pytaniami.

– Pójdziemy do tanka – orzekł i ruszyliśmy na około 15-kilometrowy spacer, w czasie którego Wasia co 5 minut pytał, jak bardzo bolą mnie nogi.

(Od czasu tego spotkania już za każdym razem jak mnie widział, pytał, gdzie byłam, co widziałam, co robiłam. W mniemaniu tutejszych chłopaków, mężczyzn było to okazanie zainteresowania. Po jakimś czasie takie codzienne pytania okazywały się dość kłopotliwe, a nawet męczące, bo każdą rozmowę zaczynali tymi samymi pytaniami – czytaj: troską. Nawet najlepsza obrona, czyli atak i zadanie tego pytania jako pierwsza prowadziło donikąd, bo po prostu wrzuszali ramionami, że to, co zawsze, „praca, praca, praca”, no ale jak ty?).

Wasia był bardzo zdziwiony, że po pierwsze mam mołdawski numer telefonu, że wynajęłam tu mieszkanie, że znam mołdawską walutę, rosyjski, a najbardziej był zdziwiony, że wiedziałam, że istnieje taka kraina jak Gagauzja. Ciągłe mruczał coś pod nosem. Był pewien, że ktoś mnie tu przysłał, bo sama z siebie, i to kobieta na pewno nie wpadłaby na pomysł, żeby tu przyjechać, tu gdzie nie ma nic. Jego zdaniem byłam najwidoczniej rosyjskim szpiegiem.

Wasia miał czarne spodnie w kant i czarną kurtkę, dawno nie praną, bo już świeciła się od wtartego w nią brudu. (Zauważyłam, że te wyświechtane kurtki, jasne koszule

z przybrudzonymi kołnierzykami, ciągle te same swetry są tutaj na porządku dziennym. Może boją się, że od czyszczenia się zniszczy? W końcu proszki do prania to sama chemia...). Wasia miał 25 lat i powagę oraz głos mężczyzny w średnim wieku. Przegonił mnie przez całe miasto, od centrum po DSU, bardziej

Tanku ku czci wybawicieli



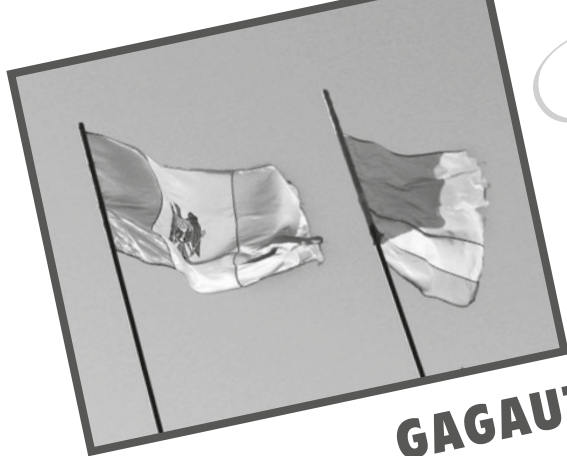


Gagauski synonim
nowoczesnego rolnictwa

odległą dzielnicę Komratu. Trochę taka sypialnia stolicy Gagauzji. Jak twierdzi Wasia, tu studenci wynajmują nawet całe domy, bo taniej. Zabudowa wszędzie jest szara – tyle szarego jeszcze nie widziałam. Nawet w Kiszyniowie.

Wyszliśmy za miasto, cel podróży – czołg! Tak, stał w całej okazałości pomnik-czołg z napisem „Sława oswobodicielom” (Chwała wybawicielom), ale zaraz za nim był też... ciągnik. Nie byle jaki! Jak informowała tablica obok, to traktor „Uniwersał-2”! Skonstruował go w 1963 roku w Komracie brygadier kołchozu „Awangard” Sibow Wasilij Filipowicz dla upamiętnienia początków mechanizacji gospodarstw rolnych na południu Mołdawii.

Nie wiem, czy to był pierwszy ciągnik w Gagauzji, przypuszczalnie właśnie dlatego postawiono mu pomnik, ale jeśli tak, to skoro pierwszy polski traktor opuścił fabrykę Ursusa w 1922 roku, a pierwszy w ogóle na świecie był jeszcze 30 lat przed polskim, to tutaj czas naprawdę się zatrzymał. Przynajmniej dla mechanizacji rolnictwa.



GAGAUZ-HALKI



Następnego dnia przeszłam się pod parlament Gagauzji. Powiewają nad nim dwie flagi: Gagauzji i Mołdawii. Flaga gagauska jest niebiesko-biało-czerwona. Na dominującym błękitnym tle są trzy żółte gwiazdy. Niebieski kolor to wiara przodków w Tengri, oznacza też błękitne niebo. Tengri to główny bóg religii dawnych Xiongnu, Xianbei – ludów koczowniczych, ludów tureckich, Mongołów, Węgrów i ludów ałtajskich. Tengri był czczony jako personifikacja nieba, najwyższy gwarant ładu i źródło władzy kagana – najwyższego władcy wśród ludów Wielkiego Stepu. Biały oznacza czystość ducha narodów, życie w pokoju i bez zawiści, a czerwony to jego siła, moc, odwaga w walce o wolność. Trzy gwiazdki to trzy rejony: komracki, czadyr-hundzki, vulcanesztański; oznaczają też czas: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Inne symbole Autonomii oprócz flagi to język, godło i hymn.

Gagauski parlament to Halk Topluşu, który to jest władzą ustawodawczą i zajmuje się polityką społeczną, kulturą, uchwalaniem budżetu, rozwojem lokalnym, stanowieniem prawa, szkolnictwem. Halk Topleşu ma 35 deputowanych wybieranych na czteroletnią kadencję. Baszkanem (Başkan), czyli prezydentem Terytorium Autonomicznego Gagauzja (Gagauz Yeri) jest od 2006 roku Mihail Formuzal. Wysoki, ciemnej karnacji i przystojny. Uśmiechnięty, pewny siebie. Formuzal jest Gagauzem, ale już jego zastępca Bułgarem. Ot, kolejne paradoksy Mołdawii.

Gagauzi upodobili sobie południową Mołdawię. Jest ich tam prawie 160 tysięcy; jakieś 30 tysięcy na Ukrainie, około 20 tysięcy na Bałkanach, śladowe ilości Gagauzów występują na północnym Kaukazie, w Kazachstanie, Kirgistanie i Uzbekistanie. Ha, diaspora gagauska istnieje nawet w Stanach Zjednoczonych

i Kanadzie! Łącznie około 220 tysięcy. Cechy charakterystyczne to krępa budowa ciała, wzrost niski lub średni, ciemna karnacja, włosy też, oczy smoliste. Mimo że tureckojęzyczni, nie są muzułmanami. Gagauzi są prawosławni!

Trwają ciągle spory, skąd się wzięli*. Powstały dziesiątki różnych, i wykluczających się, i splatających teorii. Najbardziej prawdopodobne to te, które mówią, że Gagauzi to potomkowie tureckich plemion Oguzów, a dokładnie Uzów. Ci, prowadzący koczowniczy tryb życia, gdy upadło ich państewko Oguz Jabgu, rozpoczęli migrację ze swych „ojczystych” (o ile koczownicy mogą być stali) terenów położonych na północ od Morza Czarnego na zachód. Mieli też około XI wieku przyjąć od Rusinów chrześcijaństwo. Tak sądził między innymi rosyjski etnograf i lingwista Walentin Moszkow, najbardziej ceniony przez samych Gagauzów badacz.

Inna dość wiarygodna teoria mówi, że Gagauzi pochodzą od Kumanów, inaczej Kipczaków, i tutaj pojawiają się kolejne tezy, że to też lud turecki, który pierwotnie zamieszkiwał dorzecze Irtyszu, inni twierdzą, że to już odłam Bułgarów, którzy ulegli wpływom tureckim i częściowo mieszały się z plemionami tureckimi. Sprowadza się to do stwierdzenia, że to sturczeni Bułgarzy albo zbułgaryzowani Turcy.

Sami Gagauzi jeszcze wiek temu nie mieli nic przeciwko, żeby uważać ich za Bułgarów. W dość wątej literaturze występowali jako „Bułgarzy mówiący po turecku”, a przed XVIII wiekiem pism o nich właściwie nie było, więc stali się obiektem kpin, bajecznym, wymyślonym ludem. Ukrainiec prof. Andriej Szabasow, badacz Gagauzów, żartował nawet, że powstał „pod wpływem rosyjskiej propagandy”.

Ci zaś, którzy chcą obrazić Gagauzów, mówią, że pochodzą od *găgăuț*, rumuńskiego słowa oznaczającego ni mniej, ni więcej: „prostaka”.

Czech Konstantin Jireček, który badał Gagauzów na przełomie XVIII i XIX wieku, tak o nich nie powiedziałby. Obserwował on ich w bułgarskich miastach i w efekcie tego podglądactwa wyróżnił trzy główne cechy charakteru ciemnoookich chrześcijan: upór, wielką gościnność i... namiętność. Takie oto rzeczy zaobserwował Jireček.

Sam język Gagauzów też nie jest jednolity. Bo choć lud to malutki, to gagauzski ma dialekty: centralny i południowy (niektórzy uważają, że ten południowy

* Zamieszczone w tym rozdziale informacje o pochodzeniu Gagauzów, a także historia powstania Gagauz Yeri, zostały zaczerpnięte z pracy: Jerzy Hatlas, *Gagauzja i Gagauzi. Historia oraz współczesność*, Poznań 2009.

świadczy o greckim pochodzeniu Gagauzów). Poza tym tylko Gagauzi w Besarabii nazywają swój język gagauskim, Gagauzi bułgarscy zaś twierdzą, że posługują się tureckim. Język gagauski wywodzi się z grupy tureckiej, tyle pewnego.

Domysłów i teorii jest wiele, a jeszcze więcej wątpliwości.

Smaczku dodaje fakt, że granice Republiki Gagauzji zaczynają się zaledwie 100 km na południe od stolicy Mołdawii. A takiego tygła kultur i narodów, jak na terytorium byłego ZSRR, nie ma nigdzie na świecie. 160-tysięczną Gagauzję zamieszkuje 156 narodowości! Gagauzi, Mołdawianie, Bułgarzy, Rosjanie, Ukraińcy, Romowie, Ormianie, Polacy, Tatarzy krymscy, Białorusini, Żydzi, Niemcy... Co zabawne, samą Mołdawię zamieszkuje zaledwie 65 proc. Mołdawian. Reszta mieszkańców historycznej Besarabii to barwna mieszanka etniczna.

Gagauzi mają sporo tradycyjnych przysłów, choćby: „Kto idzie prostą drogą, przychodzi... późno”, „Na świecie żyje się nie pięknem, ale szczęśliwym losem”, „Nie rób z siebie mostu, po którym inni spacerują”, „Oczy są po to, by patrzeć;

Towarzysz Lenin
przed Parlamentem Gagauzji



dusza jest po to, by pragnąć”. Mają też powiedzenia dość szowinistyczne: „Jeden mężczyzna wart jest tyle, co siedem kobiet” czy „Kobieta bez męża jest jak koń bez uzdy”.

Sama Gagauzja ze swą sympatią do Rosjan przypomina trochę Naddniestrze. Zakrawa to trochę na syndrom sztokholmski. W latach 1946–1947 w wyniku klęski głodu zginęła około połowa Gagauzów. Powód to susza plus działania radzieckich władz wobec rolników, którzy nie byli skorzy do kolektywizacji – znacznie zawyżone normy obowiązkowych dostaw dla państwa i drakońskie podatki. Potem kolektywizacja trwała w najlepsze, a radzieccy czynownicy szczególnie tępilili tzw. kułaków, czyli bogatych chłopów, których deportowano zabierając im dorobek.

Symboliczny pomnik ofiar głodu jest w Beșalmie. Mimo to Gagauzi i tak Kochają Rosjan.

Tak jak władzom Mołdawii nie udało się zmołdawić Gagauzów, tak i Rumunom nie udało się zasymilować ich mimo ostrej polityki rumunizacyjnej w latach 1918–1940. Potem Besarabię przejęła Armia Czerwona, antyrumuńscy Gagauzi byli tak kontenci z wjazdu Rosjan na swoje tereny, że założyli w Komracie specjalny komitet, wywiesili czerwone flagi, a radzieckich mundurowych przywitani chlebem, solą i kwiatami!

Rusofilizm przejawiał się między innymi, gdy powstawała Mołdawia. Już wtedy gagauska inteligencja założyła ruch Gagauz-halki (Naród Gagauski), który agitował, by językiem państwowym był rosyjski. Oczywiście zakończyło się to niepowodzeniem. Ruch został zdelegalizowany przez mołdawski rząd, a gagauskie akty prawne anulowane. Sytuacja zaczęła się coraz bardziej zaostrzać, tym bardziej że odseparować od Mołdawii udało się Naddniestrzu, które 2 września 1990 roku utworzyło Naddniestrzańską Republikę Mołdawską.

Gagauzi porozrzucani po różnych zakątkach świata zapragnęli być razem właśnie w regionie Besarabii, tutaj było i jest ich najwięcej, a wizja rozpadającego się ZSRR i kampania mołdawskich nacjonalistów na rzecz przyłączenia się do Rumunii tak ich wystraszyła, że uznali, że to najlepszy moment na proklamację niepodległości.

Wybory zaplanowano na 28 października 1990 roku. Trzy dni wcześniej, 25 października, Tymczasowy Komitet Republiki Gagauskiej zwrócił się o pomoc do zbuntowanego Naddniestrza, które odpowiedziało jeszcze tego samego dnia:

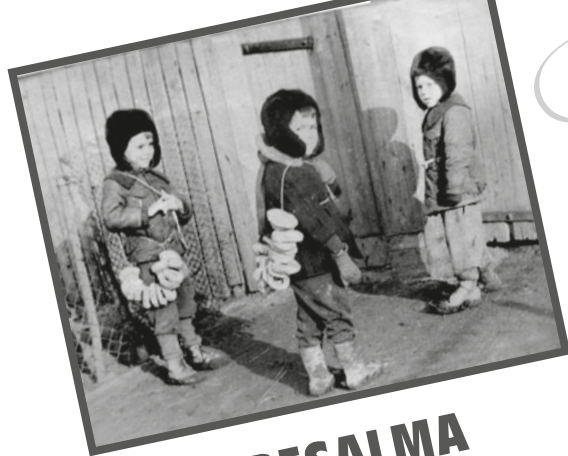
dajemy wam pomoc moralną i materialną. Aby uniknąć interwencji mołdawskich władz, przebiegli Gagauzi zaczęli głosować po kryjomu już w nocy z 25 października na 26. Rankiem 27 października zawyły syreny, zabiły dzwony. Władze gagauskie zadbały o „bezpieczeństwo”, lokując wokół całej Gagauzji oddziały milicji. Władze w Kiszyniowie przygotowywały zaś 20-tysięczny oddział tzw. ochotników, którzy mieli rozprawić się z niesfornymi Gagauzami. Podwiezieni autobusami pod granice krainy tylko czekali na stosowną chwilę, by rozprawić się z separatystami gagauskimi. Przyszłej autonomii groziła wojna domowa. Doszło do starć między mołdawskimi i gagauskimi „ochotnikami”. Killkanaście osób zginęło.

Gdy w 1991 roku Mołdawia ogłosiła niepodległość, ruszyły demonstracje. Mołdawia była tak chwiejnym krajem, osłabionym konfliktami zbrojnymi z Naddniestrzem, że z czasem poszła na ustępstwa wobec roszczeń Gagauzów. Mołdawski parlament przyjął pod koniec grudnia 1994 roku ustawę gwarantującą 160 tysiącom Gagauzów bardzo szeroką autonomię. Ta kraina, zajmująca około pięć procent powierzchni rumuńskojęzycznej Mołdawii, ma zagwarantowane, że w przypadku gdyby Mołdawia chciała zjednoczyć się z Rumunią, autonomia może przerodzić się w niepodległość.

Powstał w sumie dosyć śmieszny twór, bo Gagauzja nie dość, że jest oddzielnym autonomicznym maleństwem w i tak małej Mołdawii, to jeszcze sama w sobie nie stanowi jednolitego, zwartej obszaru, tylko cztery porozrzucane kawałki. Pierwszy, największy, obejmuje stolicę Gagauz Yeri, Komrat, i obszar wokół niej, aż po miasto Czadyr-Łunga (mołd. Ceadr-Lunga, gag. Çadır-Lunga). Następny kawałek to położone na samym południu Mołdawii okolice miasta Vulcănești (gag. Valkaneş), a dwie pozostałe enklawy autonomii to wiejskie: Karbalia (mołd. Carbalia, gag. Kirbaali) oraz Kipczak (mołd. Copceac, gag. Kıpçak), które leżą pomiędzy Komratem a Vulcănești.

Rusofilizm Gagauzów przejawiał się w jeszcze jednym. Obecnie liczące się gagauskie ugrupowanie społeczne to Jedna Gagauzja, które zresztą wydaje gazetę o tym samym tytule. To nic innego jak nawiązanie do Jednej Rosji Putina.





BEŚALMA



Był późny październik i po wielu dniach suszy, i po mokrej nocy ziemia była napuchnięta jak wielka poducha z pierzem. Wybebeszone drogi bez chodników udaremniały każdy krok. Powoli komrackie szarości kwadratowych, małych, brudnych bloków zaczynały doskwierać. Zamarzyła mi się wioska, taka z polami, ogrodami, zielenią, drzewami, jak Bóg da, to i z wiatrakami i winoroślami. Wstałam jak na mnie o zabójczym świcie, bo już około 6.00 rano. Po śniadaniu i prysznicu ruszyłam na dworzec autobusowy.

Rano ruch w okolicach dworca, który graniczy z targiem, jest ogromny. Wczesnojesienna pora, słońce i ciepło powodują, że przekupki ciągną się chodnikami przez setki metrów.

Beśalma leży zaledwie 18 km za Komratem, a marszrutka kosztuje 6 lei.

Tutaj, tak jak i w innych środkach lokomocji, badawczo, ale z sympatią przyglądali mi się współpasażerowie, jako rzekł Kazik Staszewski:

*Zagubiłem się w mieście
Kawał drogi od domu
Chciałem przejść niezauważony,
Przemknąć po kryjomu...*

Jak zwykle, nie udało się. Para przede mną nawet nie kryła ciekawości, odwrócili się i przyglądali mi się jakbym co najmniej miała małąkę na ramieniu.

– Jadę do Beśalmy – odpowiedziałam wyprzedzając pytania.

– A po co tam? – zapytał mężczyzna z pierwszego siedzenia. – Tutaj nic nie ma! – zmarszczył brwi i zaczął ciągnąć wyliczankę, czego tutaj brakuje.

Stara śpiewka. „A po co?”, „A tutaj nic nie ma!”. Tutaj podróżowanie wpisane jest w życie, tyle że polega na dojeżdżaniu z miejsca pracy do domu, z domu do wnuków, z domu na targ, z cerkwi do mieszkania, ale nikt nie rozumie fanaberii, jaką jest przejechanie setek czy też tysięcy kilometrów po to, by sobie „coś pooglądać”. Wiedziałam, że teraz padnie wachlarz pytań, które są zadawane niemal zawsze: Co ja tu robię? Skąd jestem i co tam robię? Czy tutaj w gości przyjechałam do kogoś? Od kogo słyszałam o Gagauzji? Dlaczego podróżuję sama? Gdzie jest mój mąż? A skoro go nie mam, to czy przyjechałam za miłością? Ile w Polsce kosztuje wędlina? Jaka jest średnia pensja? I po ile jest w Polsce gaz?

I co ciekawe, te pytania w ogóle nie drażnią ucha. Normalnie pewnie bym się zdenerwowała, że ktoś mi je na okrągło zadaje. Tutaj, w kraju, którego prawie nikt nie odwiedza, w którym jedna czwarta pracuje za granicą, by wykarmić rodzinę, bo „tutaj nic nie ma”, każda osoba spoza to jakiś egzemplarz dziwaka.

– A skąd znasz rosyjski?

Studnia na rozstaju dróg, czyli umowny przystanek autobusowy



– Ze szkoły.

– Hm... a skąd jesteś?... – i w ruch poszły wszystkie pytania, o których wspomniałam.

Para przede mną zaczęła mi wszystko tłumaczyć: o tu jest pole tabaki, a tu słoneczniki, są takie u was w Polsce? Ładnie, ładnie u nas??! – dopytywali.

– Ładnie. Naprawdę ładnie.

– A ludzie tutaj niedobrzy, wredni? – pytali niby to zadziornie.

– Spotkałam tylko dobrych – odpowiedziałam.

Popatrzyli na mnie z uśmiechem.

– Polacy to bardzo lubią podróżować – odezwał się mężczyzna z pierwszego siedzenia. – Biorą te duże plecaki i zatrzymują samochody. To chyba wasi studenci?

– No raczej nie nasi biznesmeni – złapałam się na ironii.

Byłam w błogim stanie. Dumna z tego, że rano wstałam, że prawie dorwałam świt, że za szybko jest tyle zieleni, kolorowych pól, sadów, a to wszystko na wyciągnięcie ręki, no bo przecież zaraz wysiadam.

– O, o, patrz owce i osły. Są takie w Polsce?

– Och, bardzo dużo – grzecznie odpowiedziałam, a współpasażerowie ucieszyli się, że Polska i Gagauzja mają kolejną wspólną rzecz.

– Mamy też barany – powiedziałam. – Dużo baranów.

– OOOooo! I w Polsce pod dostatkiem!

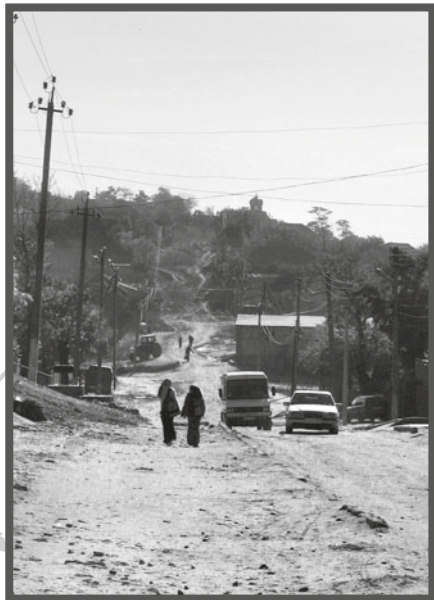
Nagle wszyscy zaczęli krzyczeć: „Beśaaaaalma!”.

– Trzeba iść na lewo – poinformowała mnie blondynka, ta z pary.

Wyskoczyłam z marszrutki. Machali mi wszyscy, ja pomachałam im i bus pojechał dalej prosto, główną drogą.

Zaraz przy zakręcie stał piękny, ogrodzony *kołodec*, obok ławki, zadaszenie, które bardziej przypominało domek niż zwykły dach dla studni. Był też krzyż i dwie figury świętych.

Na wsi opłaca się wstawać rano. Na zielonej trawie szklila się jeszcze poranna rosa, przez drzewa przebijały promienie słońca. Do Beśalmy były jeszcze jakies dwa, trzy kilometry i wiodły między łąkami, pastwiskami drogą z zakrętami w górę.



Centrum wielkiej wsi, a zamiast asfaltu błotnista, wyboista nawierzchnia, miejscami wręcz lurowata. Zaraz za cerkwią jest jedyne na świecie Muzeum Gagauzów.

W tutejszych muzeach wizytę należy zapowiadać telefonicznie, w innym przypadku może być zamknięte. Jednak drzwi były uchylone, młoda Gagauzka z miotłą, z miłym uśmiechem, zaprosiła do środka. Bilet kosztował 2 leje, fotografowanie 10. Razem na nasze jakieś 3 zł. Trzy złote i masz własnego przewodnika – zwiedzających jest tak mało, że wraz z biletem dostaje się też indywidualnego opro-

wadzacza, który mówi po gagausku, mołdawsku, rosyjsku!

Przewodniczką była młoda kobieta, jeśli dobrze pamiętam Marika. Mimo że byłam jedyną zwiedzającą, spędziła ze mną dwie godziny, opowiadając gagauskie historie.

Przy wejściu do muzeum był stolik z białym, satynowym obrusem. Na nim stała urna ozdobiona różami. Były to prochy profesor Ludmiły Aleksandrowny Pokrowskiej. Marika poinformowała, że Aleksandrowna całe życie poświęciła badaniu języka, kultury i historii Gagauzów i to niepowetowana strata. Zmarła zaledwie 15 dni przed moim przybyciem, 7 października.

Ze zdjęcia przy urnie spozierała łagodna twarz, zadbanej, starszej pani w ładnej, błękitnej sukience i niebieskich koralach.

Muzeum Gagauzów założył w 1966 roku Dimitri Karaçoban. Jako że sam był pisarzem, rzeźbiarzem, malarzem, aktywistą, to sporo miejsca poświęcił w swej instytucji ludziom kultury.

W pierwszej sali było sporo historii: map z wędrówkami ludów, które mają pokazać, skąd Gagauzi się wzięli, strony z pism, fragmenty artykułów Moszkowa, badacza Gagauzów. Stała wypchana kukła pasterza z kijem, na którym zaznaczał

nożykiem kreski, od którego gospodarza ile wzięł owieczek na wypas. Na chuście ślubnej panna młoda miała wyhaftowane swoje imię i inicjały wybranka. Suknia nie była jak teraz biała, ale w ładnej delikatniej zieleni albo niebieska.

W następnej sali kopia tradycyjnego gagauskiego domostwa: dwuizbowa chata. W pierwszej wisiały dwa małe drewniane wiaderka i miseczki na wodę, która już wtedy była traktowana z nabożnością. Po posiłku ledwie maczano w niej palce, bo miała służyć jak najdłużej. Pośrodku stał okrągły, niski stolik, przy którym musiała pomieścić się cała siedmioosobowa rodzina – standardowe gagauskie małżeństwo miało pięcioro dzieci. Cała siódemka, jak jeden mąż mieściła się też na sporym łóżku w sąsiedniej izbie. Była jedna kuchnia i jeden pokój na siedem osób i nikt nie narzekał. Podobno. Bo jak się nie zna innego życia, to się nie marudzi.

Obowiązkowo w każdym szanującym się domu znajdowała się maszyna do robienia wina.

W Muzeum Gagauzów sporo miejsca poświęcone jest formalnemu ustanowieniu Autonomii Gagauskiej – Gagauz Yeri, są dokumenty prawne dotyczące baszkana Gagauzji, władz, flagi, państwa.

Zdjęcie rocznika 1958 – pierwszych absolwentów, którzy zdobyli uprawnienia do nauczania języka gagauskiego.

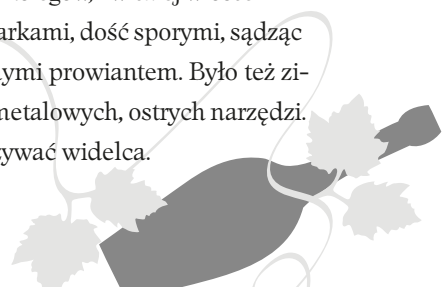
– Jesteśmy narodem bardzo słownym – co Gagauz obieca, to zrobi, danego słowa dotrzymuje – opowiada Marika.

Uwagę przykuwa zdjęcie z 1895 roku. Na głównym placu Beşalmy setki ludzi w wielkim kręgu. Niektórzy tłoczą się w kupkach. To tzw. *narodne gulianie*.

– Kiedyś w niedzielę wychodzono na plac, w odświętnym ubraniu i w ten sposób zaznajamiano się. Dziewczyny mogły poznać chłopców, potrzebna była tylko chłopakowi odwaga, by podejść. A to była właściwie jedyna okazja na podryw, więc ci nieśmiali dużo tracili – tłumaczy Marika.

Podczas kolędowania kawalerowie nosili duże baranie czapy, do których panny przyczepiały wstążki. Im więcej wstążek zdobył młodzieniec, oznaczało to, że tym większej liczbie panien się spodobał, i tym większe poważanie u kolegów, i w całej wiosce.

A jak przyszła Wielkanoc, to odwiedzano się z podarkami, dość sporymi, sądząc po fotografiach. Gagauzi chodzili z worami wypchanymi prowiantem. Było też zimowe święto wilka, kiedy to nie można było używać metalowych, ostrych narzędzi. Nie można było strzyc się, kroić nożem czy nawet używać widelca.



W ostatnim z czterech pokoi oprócz zdjęć jest mała sala kinowa, ze starymi, zniszczonymi krzeselkami i... projektor szpulowy, jak z obwoźnego kina. Potomkowie Karaçobana puszczaają tutaj nieme filmy, amatorsko kręcone przez ich przodka.

Bilety do muzeów w Gagauzji są bardzo tanie. Za kilka lei można wejść, a gotowy do pomocy przewodnik rusza z tobą i dokładnie o wszystkim opowiada. I tu nie było inaczej. Po ponadgodzinnym zwiedzaniu muzeum z prywatną przewodniczką przejęła mnie pani Ludmiła Marin. Jak się dowiedziała, że jestem dziennikarką, przeprosiła mnie na chwilę, poszeptała z jakąś dziewczyną i za chwilę pojawili się właściciele muzeum. Dla nich ktoś z daleka, a do tego ktoś, kto mógłby napisać o nich, to spore wydarzenie. Nie ukrywali zasmucenia, że nie zapowiedziałam się wcześniej, bo by mnie „inaczej” przyjęli, no i nie ma ich wszystkich.

Ludmiła Marin poprosiła o zgodę na zrobienie mi zdjęcia. Pstryknęła mi dwie fotki i pokazała mi aparat z bardzo zadowoloną miną, jakie piękne zdjęcie zrobiła. Podziękowałam. Pewnie teraz gdzieś w Muzeum Gagauzji w Beşalmie stoi moja



podobizna w granatowym sweterku, z zakłopotaną miną, na tle popiersi nieznanych mi bliżej wielkich Gagauzów.

W muzeum był taki specjalny kącik, gdzie leżały wizytówki gości z całego świata.

Główną drogą Beșalmy ruszyłam przed siebie. Chciałam spróbować tutejszych specjałów. Kelnerka w lokalnym barze poinformowała, że jak bardzo mi zależy na tym, by coś zjeść, może mi zrobić kanapkę albo kielbasę na gorąco. Podziękowałam. Wyjęłam z plecaka jabłko i wyruszyłam na poszukiwanie wiatraków.

W błotnistej, wybrzdżonej drodze buty zatapiały się. Ale słońce tak wdzięcznie świeciło i odbijało się od mokrego błota, że rekompensowało fakt, że gęsty szlam oblepia buty. No i te domy pokryte strzechą, którą porastał mokry mech, który błyszczał w blasku słońca.

Druga atrakcja wioski, czyli wiatrak, po rosyjsku *mielnica*, stała sobie na skraju wsi, na ziemistym pagórku. Ot, stary, nieużywany młyn, a obok podwórko gospodarcze, które wołało o pomstę do nieba: duże, zaśmiecone, grzebały kury, popsute maszyny zagracały obejście, a dom wyglądał jak barak, w którym mieszkają drogowcy.

Swoją drogą nie dziwię się zaskoczeniu Gagauzów. Zapierniczam setki kilometrów, by obejrzeć wiatrak. Ale tu, gdzie nie ma nic, nawet zwykła *mielnica* jest czymś!

Na łąkach, przy drodze odchodzącej od wsi, przy małym budynku stało kilku chłopaków i mężczyzna, który ruszył w moim kierunku wrzeszcząc, bym się zatrzymała. Pomyślałam sobie: „kurcze, no świetnie, no nie będzie zbyt dobrze, w końcu widzieli jak robię zdjęcia, mogli się wkurzyć”.

Mężczyzna dobiega zadyszany, zatrzymuje się i patrzy na mnie. Łapie oddech i mówi grzecznie: – Dzień dobry!... Można cię o coś zapytać? Ja tak patrzę z daleka na ciebie..., bo widzieliśmy jak szłaś w tamtą stronę i zdjęcia robiłaś...

– Robiłam – nie zaprzeczam.

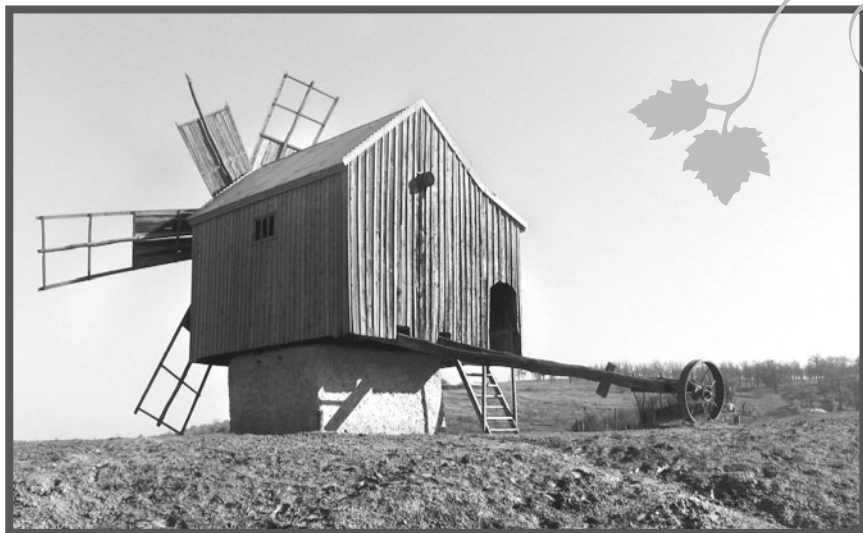
– A co fotografowałaś?

– Wioskę.

– I co, podoba ci się?... Ale tu nie jest ładnie. Wiesz gdzie jest? W Orhei.

Po czym rozejrzał się dookoła: – Ja tutaj w sklepie sprzedaję części i narzędzia, nie mam kuchni, ale mogę poczęstować cię arbuzem? Masz ochotę?

Weszliśmy do jego sklepu, malusiej hurtowni. Mężczyzna poszedł na zaplecze i wrócił z ogromnym arbuzem. Rzucił go na blat taboretu i podzielił na porządne,



duże kawałki i wręczał mi kawałek po kawałku. Potem przyszedł z wiadrem wody i białą ścierką, bym mogła umyć ręce i dodał: „bo ty masz twórczą twarz i delikatnie dłonie, o takich ludzi trzeba dbać”.

Zaczerwieniła mi się ta twórcza twarz i z suchymi już dłońmi wyszłam na zewnątrz.

Chłopcy przy motorynce tylko spoglądali, co robimy w sklepie, a potem szeptali coś między sobą. Tutaj nie są mile widziane sytuacje, gdy dziewczyna, kobieta pozostaje sam na sam z mężczyzną, zwłaszcza tym, który ma żonę. Niby tylko rozmowa, a dla każdego jest to „jednoznaczne”. I to w kraju, gdzie aborcja goni aborcję. Taka tutejsza moralność pani Dulskiej.

Mężczyzna nazywał się Pietia i pytał mnie: „Czy się nie boję jego i ludzi tutaj?”. Pietię interesowało też, co robię w Polsce. Takie standardowe pytanie człowieka, który zdaje sobie sprawę, że jego kraj nie słynie z dobrych seriali, utalentowanych ludzi, ale z handlu nerkami czy żywym towarem. Pietia zdawał się tym w ogóle nie przejmować, a zdrowy, czerstwy uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Bardzo był ciekaw, czy u nas jest drożej i bardzo się cieszył, gdy odpowiedziałam twierdząco. Oznaczało to dla niego, że u nich nie jest tak źle. Gdy się dowiedział, że u nas benzyna kosztuje więcej, krzyknął do młodych: „a w Polsce jest droższe paliwo!”, jakby to miało postawić jego kraj na nogi, jakby wreszcie usłyszał, że jest

podlejszy cenowo kraj. Chłopcy spojrzeli na niego ucieszeni, a potem się zamyśliłi. Pewnie nawet nie wiedzieli, gdzie ta Polska jest, a to że tam paliwo droższe, nie czyni ich życia lżejszym.

Pietię pocieszyło też, że w Polsce są wyższe ceny mieszkań, usług, jak choćby korzystanie z komunikacji miejskiej, obiad w restauracji... Tych bardziej kosztownych towarów jest o wiele więcej, ale dlaczego mięso takie drogie, znacznie droższe niż w Polsce, skoro średnia krajowa trzykrotnie mniejsza niż w Polsce? To tak jakby u nas ktoś musiał płacić za hotdoga 20 zł. Trzeba naprawdę być głodnym, by na to pójść.

Pytam go, dlaczego właściwie tak się dzieje, przecież Mołdawia to kraj rolniczy i można hodować zwierzęta do woli i jeszcze na nich zarobić. Kury są w miarę tanie, ale ma je każdy, przecież hodowane są nawet w mieście. A świnie? No cóż, nie widziałam ich na żadnym podwórku. Pietia mówi, że to dlatego, że sprowadzają je zza granicy.

– A dlaczego sami nie hodujecie zwierząt? – pytam.

– Hodujemy, ale tylko na własny użytek.

Pietia tłumaczy, że tak jest od zawsze. – Spójrz, jak wyglądają nasze gospodarstwa, ściśnięta zabudowa, dom przy domu, tu nawet nie ma miejsca na zwierzęta.

– To się buduje obórkę dla świń, przecież one nie potrzebują wybiegu – denerwuję się faktem, że w biednym kraju jak coś działa źle, to się tego nie zmienia. Tak po prostu jest, „no taka zabudowa”, więc my, sieroty po ZSRR nic z tym nie zrobimy. Tak będziemy trwać, no „taka jest zabudowa”, no przecież przebudować, rozbudować nie można, no w ogóle jak, po co budować inaczej, skoro „taka jest zabudowa”... W końcu chów świń nie wymaga jakichś specjalnych predyspozycji, oprócz chęci do pracy. To nie tak, że nie można, tu ludzie nie wychylają się, no bo przecież... „taka jest...”!

A kto ją zbudował?

– Gospodarz dziennie zarabia 50 lei, ale to w sezonie – mówi Pietia. – A w zimie nie zarabia, a dzieci głodne.

Ale sytuacja Pietii nie jest zła, wprawdzie nieduże, ale ma gospodarstwo, ogród z winogronami i sklep, a nim przejmuje się najbardziej. Choć – jak mówi – z prowadzenia sklepu ma 300 dolarów miesięcznie, a żeby żyć dobrze, potrzeba mu jakies



700, bo w domu jest żona, która opiekuje się czwórką dzieci, a on jest codziennie w sklepie od 10.00 do 16.00.

– A jak u was z ekologią, lepiej czy gorzej niż u nas? – zaskakuje mnie pytaniem.

– Lepiej – odpowiadam, bo wiem, że chodzi mu o śmiecie, które tutaj są wszędzie.

Oswojony rozmową Pietia chętnie pozuje na tle spryskiwaczy do szyb, opon i wszelkiej maści żelastwa samochodowego.

Chłopaki bardzo napierali, że podwiożą mnie na swej motorynce do głównej drogi, ale podziękowałam (po co sobie psuć opinię na tutejszej wsi) i pomaszrowałam do studni z krzyżem, która witała mnie na początku, i tam zatrzymałam przejeżdżający akurat duży autobus rejsowy, który gnał przez Komrat, na Kiszyniów. Bilet kosztował lej więcej niż pół dnia wcześniej. Tubylec mógłby się wkurzyć i negocjować cenę, ale turyście nie robiło to różnicy.

Jak potem opowiedziałam Wasi z Chirsovej, że po prostu zatrzymałam jadący autobus, lekko się zdenerwował.

– Nie można zdradzać kierowców, później nie będzie chciał się zatrzymywać! – powiedział podirytowany.

Tutaj to znaczyło, że jak marszrutka ma o danej godzinie nadjechać, to się na nią czeka. Jak ktoś zauważy i doniesie kierowcy albo ten sam zobaczy, że jego klient korzysta z usług konkurencji, w akcie zemsty może potem się nie zatrzymać. Oczywiście jest to i pewien środek odstraszający, ale też sam sobie szkodzi, bo jak się nie zatrzyma, to i nie zarobi. A jeśli ktoś nie zdąży na jego marszrutkę? Albo się spieszy, a ta jeszcze nie nadjeżdża, no cóż ma zrobić? Ale zasady to zasady. W końcu Gagauzja to nie Warszawa, tu nie chodzi o minuty, sekundy... Pół godziny w tę czy w tą, co za różnica? Trzeba działać planowo: wyjść wcześniej z domu i łapać busa. Tu czekanie na marszrutkę to jak zajęcie, jest wpisane w niespieszny rytm życia. Podróż, nawet wielogodzinna to nie strata czasu. To jeszcze pozostałość po byciu w ZSRR, po pokonywaniu tysięcy kilometrów, wielodniowych podróży. Tu wszystko ma swój rytm i nie ma najmniejszej potrzeby, żeby zdradzać kierowców marszrutek.



CZERWONY PAŹDZIERNIK



Komrat przypomina trochę warszawski Grochów. Tyle że jest, powiedzmy, bardziej nie-uporządkowany, no ale ma dom kultury. Też ma targ i swoją „klasę średnią niższą”. Tu, tak jak i tam nie uświadczysz tzw. luksusu w postaci dobrego smaku. Wszystkiego jest za dużo, nijakiej jakości. Panny nie są łągodnie umalowane, ale przestylizowane, z za grubymi warstwami: na policzkach, na powiekach, na rzęsach, z błyszczącymi butami.

Tutaj nikt się nie przepycha w ciemnych okularach, w markowej odzieży, z grubym portfelem. Tak tu jak i tam – toczy się życie „z krwi i kości”. Ze swoją innością, ze swoim brudem, ze swoim folklorem, tandetą i smrodkiem. I do niego pasuje piosenka T. Love w wersji gagauskiej:

*Był chyba maj, park w Komracie
Za oknem zimowo zaczyna się dzień
Zaczynam kolejny dzień życia
Wyglądam przez okno, na oczach mam sen
A Komrat się budzi z przepicia
Wypity alkohol uderza w tętnice
Marszrutka tapla się w śniegu
Zza szyby oglądam betonu stolicę
Już jestem na drugim jej brzegu...*



Warszawski Grochów ma ponad trzy razy więcej mieszkańców niż stolica Gagauzji. Ale stolica to stolica, w lepszym jej poznaniu miała mi pomóc mapa. Ruszyłam więc w Komrat. Po odwiedzeniu branżowych sklepów nic nie znalazłam.

– A po co ci mapa, przecież tu jest jedna ulica! – zdziwił się Pan Sławek, kiedy zapytałam go, gdzie znajdę mapę Komratu.

No może nie jedna, jest ich trochę, ale jedna rzeczywiście wybija się. To ulica Lenina. Ciągnie się przez cały Komrat. Główna arteria. Ulicą Lenina wjeżdża się do Komratu i z niego wyjeżdża. To wrota do stolicy Gagauzji. Przy Lenina stoi budynek parlamentu gagauskiego oraz siedziba baszkana. Przy Lenina znajdują się też dom kultury i biblioteka turecka. W samym centrum, przy skrzyżowaniu Lenina, Pobjedy i Tretiakowa znajduje się założony w 1820 roku sobór św. Jana.

Wszystko, co ważne, jest przy Lenina. Wszystko, co ważne, jest po rosyjsku, oprócz wspomnianych, ulice: Komsomolskaja, Suworowa, Gogola, Puszkina, Gawrilowa, Czkalowa, Fiedko, Gawryluka czy Ostrowskiego.

Inna była reakcja Wasi z Chirsovej. Gdy napisałam mu SMS-a, że szukam mapy, tę ważką dla mnie informację zbył milczeniem. Jednak przy następnym spotkaniu wyjął z kieszeni wielokrotnie złożoną kartkę. Tak, to była mapa Komratu! Wasia wydrukował plan miasta, który był w internecie. To była jedyna mapa, którą można było zdobyć!

Wasi w ogóle nic dwa razy nie trzeba było powtarzać. Jak podczas pierwszego spaceru do tanka powiedziałam, że chcę zobaczyć winzawod, tę informację też zbył milczeniem. I co? Kilka dni później dzwoni z rana, czy mogę być o 12.00 w Chirsovej. No ba, jasne.



Produkty z fabryki wina
i szampana w Chirsovej

Wasia jest kierownikiem linii w dziale szampana w fabryce wina i szampana w Chirsovej. Na miejscu okazało się, że wszystko profesjonalnie zaaranżował, przywitał mnie z pozostałymi szefami, a potem poprowadził na hale. Cóż to był za widok! Przeogromne banie z tysiącami litrów wina, z których Wasia kolejno polewał mi do plastikowego kieliszka. Świeże, młodziutkie! Na tle potężnych bani wyglądał jak mrówka.

W ogromnej hali stoją prasy, z których wyciska się sok. Wyciśnięte zaś winogrona umieszcza się w wysokich kadziach. Tam się je maceruje – taka wstępna fermentacja – z nasion, skórki i miąższu winogron wypukiwane są zawarte w nich taniny, barwniki i substancje zapachowe. Dzięki temu wino ma tak soczystą, intensywną, czerwoną barwę. Bez tego byłoby szarawe. Niby proste, a to codzienna, ciężka harówka, godzinami w kuckach przyglądanie się kadzi, co się tam dzieje. Nieraz te kadzie są zamknięte, stalowe, tutaj drewniane, otwarte. I tak fermentują nawet kilka tygodni.

Potem wino jest filtrowane – najwięcej pracy jest przy białych, bo trzeba filtrować kilka razy, dzięki temu zyskują dużą klarowność przy mniej intensywnym smaku. Tyle zabawy nie ma przy czerwonych, tutaj dobrze jak długo osiada na języku.

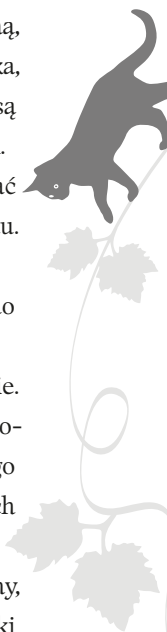
Następnie wino dojrzewa w beczkach. Niektóre jeszcze po tym, gdy trafią do butelek mogą poleżakować, inne najlepiej smakować od razu.

Październik to najlepszy miesiąc na podpatrywanie gospodarzy i picie. W Mołdawii wino spaja więzi i sprzyja odwiedzaniu się. Kiedy nastaje czas zbiorów, sąsiedzi chodzą do siebie i pomagają. Taka narodowa mobilizacja. Każdego roku ten mały kraj zbiera 1,5 mln ton winogron! A wczesną jesienią robi się z nich wino, stąd i nazwa: „czerwony październik”.

Wasia dał mi biały kubrak i zaprowadził do laboratorium. Sam był ucieszony, że pozwolono nam wejść, bo nawet on musi mieć na to zgodę. Panie laborantki pokazywały mi po kolei buteleczki z różnymi winami, przelewały z fiolki do naczynia, mieszały, mierzyły temperaturę, kwasowość...

Gdy zapytałam, czy mogę zrobić zdjęcie, tleniona blondynka wybiegła gdzieś, wróciła z kosmetyczką, umalowała usta i powiedziała: „tieper nada!”. Druga, Dimowa Maria Gi Georgijewna nie zmałowana pracowała jak gdyby nigdy nic.

Wasia zaprowadził mnie do hali, gdzie stał stół obstawiony alkoholami, wszystkimi rodzajami, które wyrabia fabryka szampana z Chirsovej. Pojawił się i we własnej osobie dyrektor generalny fabryki, Sary Konstantin Gi Georgijewicz. Wręczył





dwie butle słodkiego wina w kształcie zajęcy, wizytówkę, uściśnął dłoń i jeszcze raz opowiedział mi to, co pokazał mi Wasia.

Najlepsze było na koniec. Weszliśmy z Wasią na pokryty eternitem dach fabryki i obejrzelśmy z wysokości wyjątkowej brzydoty kawałek Gagauzji. Przed budynkiem fabryki, w cieniu drzew stało popiersie Bachusa.

„Bóg stworzył Mołdawię, aby dobre wino miało się gdzie rodzić” czy „Mołdawianin bez wina to nie Mołdawianin” – mołdawskie przysłowia, niewymagające wyjaśnień. Tutaj picie ma swoje prawa i swoje zasady. Pije się choćby:

- do dna – zostawione w szklance wino ma przynieść gospodarzowi nieszczęście; choćbyś już ledwie trzymał się na nogach, wypić musisz;
- z jednej stopki (*la botul calului*) – tu pije każdy i po równo, nie ważne, ile masz lat, jakiej jesteś płci czy budowy ciała, kieliszek krąży i każdy pije do dna. Piją też dzieci, bo to przecież witaminy;

- i rozmawia – dyskusja to podstawa picia, w końcu *vino iubeste vorbă**.

Wino w Mołdawii pije się jak wódkę. Właściwie nawet do wódki, nie traktując go ze względu na „nikłe” procenty zbyt poważnie.

Do Komratu przyjechał na tydzień Jarek Derlicki, młody etnograf, stały bywalec gagauskich stepów, a i znawca komrackich piwniczek. Trochę miał mi za złe, że zajęłam lokum na Sportivnej, bo za każdym razem kiedy tu gościł, wynajmował je od Wolewiczów. Znalazł miejsce w *obszczezitiu*, które nie tylko jak na warunki mołdawskie miało całkiem wysoki standard, o którym mieszkanie na Sportivnej mogłoby tylko pomarzyć. No, ale przecież chodziło o tego mołdawskiego ducha, a nie cywilizację.

Jarek zgarnął mnie do piwniczki Wasilika, u którego regularnie zaopatrywał się w wino. Etnograf był doskonale przygotowany do zakupów, przybył z kilkoma pustymi butelkami po mineralnej. Podjechaliśmy do „wodopoju”, Wasilik wybiegł w czerwonych kapciach i już chwilę później puste butelki Jarka były pełne. Wychyliliśmy po parę kieliszków, zagryźliśmy bryndzę i bułami, i ruszyliśmy dalej.

Do Wasilika już nie wróciłam, ale też nie było potrzeby. Wino było przecież na każdym rogu.

Kilka dni później idąc Puszkina zobaczyłam napis *prodajotsia vino* (właściwie niepotrzebny, bo do każdego można zapukać i na pewno i tam *prodajotsia*). Przecież tutaj niemal każdy ma przydomową piwniczkę, w piwnicze beczki, w beczkach wino, a na beczkach kieliszki. Dzięki nim odbywa się degustacja: machniesz, próbujesz i wybierasz produkt. Zakąszasz bryndzę, marynowaną papryką i wychodzisz z plecakiem pełnym wina.

I tu nie było inaczej.

Bramę otworzył mi Aleksander. Gdy powiedziałam, że przyszłam po wino, po drapał się w głowę, pobiegł po klucze do piwnicy i już był z powrotem.

Sasza miał trzy beczki, na każdej stała porządnej wielkości szklanka. Jej widok nieco mnie przeraził, w końcu zaraz zacznie się zabawa „do dna”, a Sasza zdrowo nalewał, do pełna.

* Zasady picia wina zostały opisane w: „Etnografia Polska”, Instytut Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2007, t. LI, z1-2, s. 80-84.



– Mam tylko czerwone – powiedział zakłopotany. – W jednej beczce mam cabernet, w drugiej domasznie, w trzeciej... wino czeka na odpowiedni czas, może to już ten??? – zażartował.

W Mołdawii jest zasada, że kobiety nie mogą wchodzić do piwnic i biesiadować, zwłaszcza niezamężne, ale Sasza przymknęła na to oko mówiąc, że takiego gościa jeszcze nie miał – czytaj: z odległej krainy zwanej Polską.

Otworzył słoję z papryką, bryndza już leżała gotowa do spożycia i po każdej szklanicy rytualna zakąska, i siup następna szklanka. Wypić w 10 minut dwie szklanki wina to jednak wyczyn, gdy na tę ostatnią patrzyłam mętnym wzrokiem, Sasza pomógł mi słowami: – A u nas jest takie powiedzenie: „żołądek rzecz pojemna, i trzy litry wina od razu zmieści!”.

– Musi to na Rusi, a w Mołdawii jak kto chce – odpowiadam już całkowicie zrobiona.

Sasza wlał wino w butelki po mineralnej Cahul, resztę wydał wybierając leje ze słoja, który stał obok beczki. Ruszyłam w kierunku schodków. Ledwie zrobiłam kilka kroków, przyłożyłam głowę z impetem o framugę drzwi. Sądziłam, że za chwilę padnę. W głowie kręciło mi się od wina i od uderzenia. Dopiero po wyjściu zobaczyłam, że framuga ma maksymalnie 160 cm i trzeba się porządnie schylić. Przed piciem takie niuanse wysokościowe były oczywistością, ale już po, niekoniecznie.

– Uff!!! – zaszczał Sasza widząc moje uderzenie.

Potem zgasił światło w piwniczce, ruszył za mną i przyłożył głowę jak ja.

– Morał z tego taki, że trzeba wyższe ramy wstawiać – powiedziałam.

Reakcja Saszy była inna: – Z piwnicy wychodzi się na czworaka, więc wysoka nie jest potrzebna.

Spożycie czystego alkoholu na świecie wynosi średnio 6,13 litra na osobę po 15. roku życia – tak mówi raport Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) obejmujący 2005 rok.

Przeciętny Polak wypija rocznie aż 13,3 litra czystego alkoholu i jest w czołówce średniej europejskiej. Więcej piją przedstawiciele Federacji Rosyjskiej. Słynne

ochlejusy dawkują sobie: 15,7 litra. Słowacy piją rocznie na głowę: 13,3 litra, Kanadyjczycy – 9,7 litra, podobnie ich sąsiedzi, Amerykanie – 9,4 litra na głowę mieszkańca w skali roku. Muzułmanie niemal nie piją: Arabii Saudyjska – 0,5 litra, Iran – 0,02 litra, Pakistan – 0,01 litra.

Światowa Organizacja Zdrowia ostrzega i wylicza: nadmierne spożycie alkoholu jest zaliczane do czynników o najbardziej szkodliwym wpływie na zdrowie i życie ludzi. Przyczynia się ono do ponad 60 różnych rodzajów schorzeń i urazów; powoduje od 20 do 50 procent przypadków marskości wątroby, padaczki, zatruc, wypadków drogowych, aktów przemocy i różnych rodzajów raka. Jest to jeden z czterech najważniejszych czynników ryzyka – obok palenia tytoniu, niezdrowej diety i braku aktywności fizycznej – chorób niezakaźnych, jak schorzenia układu sercowo-naczyniowego, nowotwory złośliwe, przewlekłe choroby płuc i cukrzyca.

Szacuje się, że nierozważna konsumpcja alkoholu powoduje ponad 2 mln zgonów rocznie, czyli więcej niż epidemia HIV/AIDS, gruźlica lub przemoc. Stanowi to 4 procent zgonów na świecie (ponad 6 procent zgonów mężczyzn i ponad 1 proc. zgonów kobiet).

Jednak są lepsi od Rosjan, Polaków, Słowaków, Czechów. W końcu każdy kraj jest w czymś dobry. I Mołdawianie też są w czymś dobrzy. Nawet najlepsi. To oni są pierwsi na świecie w picciu alkoholu: 19,2 litra czystej wody na obywatela!

Jak przystało na mieszkańców byłego ZSRR, alkohol towarzyszy im od kolebki po grób, a i po śmierci za nieboszczyka trzeba wychylić. W tym wypadku myślę, że Mołdawianie mają gdzieś Światową Organizację Zdrowia, tym bardziej że jej inicjatywy zwykle ograniczają się do raportów. Apelować na odległość to sobie można.

Średnia długość życia Mołdawian to 64 lata. To jedna z najniższych w Europie. Krócej żyją tylko Kazachowie. O rok. Polacy żyją średnio 75,5 lat i z tym wynikiem są europejskimi średniakami.

Gagauzja to najbiedniejsza część Mołdawii. I najbardziej zapijaczona. I to ona podnosi średnią, bynajmniej nie życia.

Gdyby tak zbadać spożycie samego wina na świecie, podejrzewam, że Mołdawia też by wygrała. Archeolodzy znaleźli na terenach historycznej Besarabii, niedaleko mołdawskiej wioski Naslavcia, odcisk liści dzikich winorośli sprzed 15 milionów lat, a także resztki pestek datowane na około 2800 r. p.n.e!

Ba, już sam Homer w *Iliadzie* pisał o Grekach, którzy przybyli na tereny Besarabii szukać wina. Tak więc jeszcze kilka dobrych wieków przed Chrystusem wino z dzisiejszych terenów Mołdawii przebywało długą drogę do Grecji i Rzymu.

Cudotwórczych właściwości dodał mołdawskiemu winu i legendarny władca Stefan cel Mare, który to przed każdą bitwą z Turkami wychylał puchar wina. Oczywiście wszystkie te bitwy wygrał.

Same winnice zaczęły powstawać w XIV w. i aż do zarazy w XIX w. (epidemia filoksery) rozślaniały region w całej Europie. Rzecz straszna dla mołdawskiej gospodarki, bo winnice zajmowały wówczas powierzchnię 240 tys. ha, stała się też w 1985 r., kiedy to abstynent gensek Michaił Gorbaczow wydał *suchoj zakon* – radziecki program walki z alkoholizmem. W efekcie prohibicji nie można było rano kupić alkoholu, karano rodaków za publiczne pokazywanie się w miejscach publicznych w stanie „po spożyciu”, a w całej Mołdawii zniszczono tysiące upraw i winiarni.

Co było potem? Zwiększył się popyt na drożdże i cukier...

Wino jest nadal podstawą mołdawskiej gospodarki. Już jako niezależny kraj republika szybko się podniosła i to maleństwo zajmuje dziewiątą pozycję na świecie wśród producentów win!

Vladimir Voronin w 2001 roku (świeżo wówczas wybrany prezydent Mołdawii) dla kiszyniowskiego magazynu „Vin Club” mówił: „Dla Mołdawianina wino – to więcej nawet niż narodowa tradycja. Od narodzin do odejścia na tamten świat – ani jedno wydarzenie w życiu człowieka i państwa nie obejdzie się bez wina. To jest genetyczny kod Mołdowy”.

Tylko czy on jeszcze istnieje? Norma światowa, powyżej której uważa się, że istnieje zagrożenie dla profilu genetycznego narodu, wynosi 9 litrów. Nie tylko rośnie liczba zgonów, które są skutkiem wypijanych przez Mołdawian hektolitrow alkoholu, ale też rzutują na nowe pokolenia. Ten „odziedziczony alkoholizm” prowadzi do nieodwracalnych zmian w psychice. Mołdawskie dzieci (a także rosyjskie) rodzą się już z chorobowymi zmianami psychicznymi. Wypity przez rodziców i przodków alkohol mutuje ich profil genetyczny.

Młodziotka Mołdawia to doskonały, intuicyjny pijak, świetnie poradziła sobie z *suchom zakonom*, przerzucając się na mocniejsze trunki, a i z winem też ma się dobrze. Słodkie wina wprawdzie może nie w każdym zakątku świata noszą tak

pomysłowe nazwy, jak w Polsce: „Uśmiech Teściowej”, „Sperma Szatana” czy „Łzy Sołtysa”, jednak Mołdawia ustępuje nam nieznacznie. Jest tu: „Dusza Zakonnika”, „Stary Mnich”, „Czarny Monastyr”, „Mołdawska Dolina” czy „Simpatique”, więc też sympatycznie.

Wino trzeba łąić tu każdego dnia. To jedyna rzecz, która jest tu za darmo – każdy szanujący się gospodarz wyrabia parę beczek każdego roku. A każda beczka to 500 litrów, i należy to wypić, bo za rok powtórka.

Nie pije się dla kontenansu, dla zabicia smutku, dla odwagi, pije się po prostu – jak wodę albo i zamiast. Po narodzeniu dziecka, przy chrzcie, przy śmierci, na wspominki, do śniadania i kolacji, na przystanku autobusowym na rozgrzanie, w marszrutce, żeby łatwiej się rozmawiało, na dzień dobry, by znajomość kwitła, przy podpisaniu umów międzynarodowych, by zobowiązania były trwalsze, przy rozmowach na szczeblu lokalnym, by łatwiej było się dogadać. Wino wzmacnia więzi społeczne, znosi barierę obcości. Wino jest wszędzie. Kiedyś, gdy zabrakło wody, pito wino. Bo w Mołdawii może zdarzyć się deficyt wody, ale nie wina.

Raz w kościele, gdy młodzi brali ślub, przy ołtarzu widziałam stojące butelki po mineralnej z winem. Nawet tam mają swoje miejsce. W butelce po Gura Cainurului.

W 2001 roku na albumie *Agroromantica* Zdob și Zdub, mołdawska grupa rockowo-folkowa pokazała światu piosenkę o swoim narodzie. Piosnkę pod tytułem *Kosmiczny chór*, w refrenie której padły bardzo znaczące słowa:

Digli, digli, digli-da

Mołdawianie w kosmos nie lietajut biez wina!

Prawie połowa Mołdawian nie zna języka państwowego, ale każdy wie, jak robić i pić wino. W Mołdawii abstynencja oznacza dziwactwo i alienację.





WITAMY W SZKOLE – LEKcja NR 1



Luda wyjechała z zespołem „Polacy Budżaka” na występy na Ukrainę. Jakiś tydzień. Jak zabrakło Ludy, zabrakło i życia. Ja siedziałam przy swoim komputerze, a Pan Sławek przy swoim. Na szczęście nie głodowaliśmy, bo Luda nagotowała na cały tydzień. Zresztą nie miałam w zwyczaju poszczenia, ale skoro Pan Sławek nie widział jak jem, znaczy nie jadłam, więc jeść musiałam. Naocznie.

Zdarzyło się tak, że pewnego razu Panu Sławkowi zaczęły kończyć się zapasy żywnościowe przygotowane przez Ludę. Wprawdzie lada dzień miała z dziećmi wrócić, ale Pan Sławek ujrzał widmo głodu.

W sobotę Pan Sławek zabrał mnie do Mariny na obiad, po pierwsze dlatego, że żona mu wyjechała i nie potrafi gotować, po drugie uczę tu, więc trzeba o mnie dbać, po trzecie jak nie gotuję gagauskich straw, to pewnie w ogóle nie gotuję.

Po drodze wstąpiliśmy do szkoły. Polska klasa jako jedyna w całej szkole była odświeżona, wszystkie ławki i krzesła nowe. Do niedawna uczniowie musieli chodzić do toalety na dworze, ale jak powstała polska klasa, odwiedził ją polski ambasador. Zadziałano. Teraz łazienki są wewnątrz budynku. Postęp.

Na półkach kilku szaf piętrzyły się polskie podręczniki do gramatyki. Zmiękły mi nogi. Pewnie nauczyciele, którzy są do tego metodycznie przygotowani, zaklaskaliby z radości, ja na samą myśl, że najpierw sama będę musiała przerobić te wszystkie książki, a potem wyłożyć do dzieciom, bynajmniej nie uradowałam się. Przejrzałam niektóre. Wiało nudą. Mimo wszystko kilka spakowałam do plecaka.

Pan Sławek z radością płaśał między ławkami, było mi głupio, że nie podzielałam jego entuzjazmu, a moja mina wyrażała jedno: „co ja tutaj robię?” Wiedziałam, że

wyczekują mnie dzieci, które do wakacji uczyły się polskiego, a teraz zostały pozostawione same sobie. Mój przyjazd miał być wybawieniem. Poczułam presję.

Gdy wyszliśmy ze szkoły, przyjrzałam się jeszcze napisom: „Szkola średnia im. M. Eminescu” w trzech językach: rumuńskim, gagauskim i rosyjskim. A nad drzwiami wejściowymi był napis po rumuńsku: „BINE ATI VENIT!”, czyli „Witajcie”!

Ze szkoły było niedaleko do domu Mariny. Ruszyliśmy. Gdy chciałam przejść na drugą stronę ulicy, Pan Sławek widząc nadjeżdżający samochód przytrzymał mnie za ramię. – „Ustąp im, bo oni tobie nie ustąpią!”

Tak, takie są tutaj zasady jazdy. Są pasy i światła, ale jakby nikomu nie służyły. Samochody mkną na całego.

Gdy kilka dni wstecz w samym centrum Komratu stałam, czekając na zmianę świateł, wszyscy inni przechodzili na czerwonym. Obok stała policja i w ogóle nie reagowała. Potem sami ruszyli na czerwonym. A ja nadal sterczałam, czekając na zielone.

Wasia z DSU opowiadał, że jak był w Lublinie zatrzymała go polska policja, bo przechodził na czerwonym. Tłumaczył im, że u niego w Mołdawii przechodzi się na czerwonym i to już nawyk. Policjanci okazali się łaskawi i puścili go, patrząc jak na dziwaka z dzikiego kraju, ale z ostrzeżeniem, że następnym razem nie wywinie się. Potem musiał uważać, żeby się nie zapomnieć i czekać aż będzie zielone światło. Wasia mówił, że to było bardzo męczące.

Marina zrobiła na obiad płow, co – przyznam – zrekompensowało w znacznym stopniu mój strach przed nauczaniem i mołdawskimi piratami drogowymi. Poprosiłam nawet o dokładkę, co w Polsce jest u mnie normą, ale że tam wszyscy mnie dokarmiali, był to ewenement, więc Pan Sławek tylko popatrzył na mnie podejrzliwie.

Kilka dni później wróciła Luda. Jeszcze się dobrze nie rozpakowała, a już ruszyliśmy do szkoły. Tam czekała na nas klasa wypełniona po brzegi przyszlými uczniami. Od kilkulatek, do ludzi w podeszłym wieku. Może przyszli posłuchać, może popatrzeć, może to tylko rodzice, dziadkowie. Wszyscy gnieździli się jedno na drugim. Wszyscy w kurtkach. Bacznie mi się przyglądali.

Luda zapytała mnie, czy chcę przemawiać, czy może wolę, żeby to ona mówiła. Przemawiać? Tylko tego mi brakuje. Rzekłam: „mów Luda, mów...”

I Luda, urodzona przywódczyni, rozpięła kurtkę, podciągnęła rękawy i powiedziała, że nowa nauczycielka to Judyta Sierakowska, po czym wszyscy zaczęli klaskać. Poczułam się jak na zebraniu z I sekretarzem KC PZPR – wiadomo, nigdy na takim nie byłam, ale tak przypuszczalnie mogłabym to odbierać.

Od razu też puściła listę, żeby zapisali się chętni. Zaczęły się krzyki, że jedni wolą środek tygodnia, inni weekend. Jedni godzinę 15.00, drudzy 19.00. Nie było rady, przemówiłam i ja, że tylko od poniedziałku do piątku. Kilku osobom to się nie podobało. Ci, których poznałam na tańcach, między innymi Wasia, który zasiadł w pierwszej ławce, odwrócił się do reszty i pochwalił się: „A ja już znam panią Judytę”. Jak się z czasem okazało, w pierwszej ławce już nigdy później nie siadał, bo przychodził spóźniony, o ile przychodził, i gdzieś sobie na końcu przysiadawał. Uderzał klimat rodem z *Konopielki* Redlińskiego. Tyle że nauczycielka w powieści była z powołania, a ja z czystego przypadku.

Dziesiątki wlepionych we mnie oczu pytało wzrokiem: „Kiedy zaczynamy?“, „Kiedy ruszamy?“.



Były spory, przepychanki, musiałam spytać, ile kto się uczył polskiego. Byli tacy, co i trzy lata, ale i tacy, co rok, miesiąc albo czasem rozmawiali w domu po polsku. Mieszasz. Zostały ustalone trzy grupy uczniów, w tym grupa na Kartę Polaka. Dzieciaki miały lekcje dwa razy w tygodniu po dwie godziny, dorośli trzy razy po godzinie. Ponieważ wszyscy oni na zajęcia polskiego mogli sobie pozwolić dopiero po szkole i pracy, zostały wyznaczone godziny od 16.00 do nocy.

Wcześniej przez dwa tygodnie ćwiczyłam ranne wstawanie, jak widać na nic się to zdało.

Z czasem odkryłam i plus sytuacji. Odległości między mołdawskimi miastami nie były duże, więc jak wstałam rano, mogłam zwiedzić sąsiednie wioski, miasta i spokojnie wrócić na zajęcia. I tak powrotne autobusy odchodziły najpóźniej właśnie o 16.00, po zmroku właściwie nic nie było do zrobienia, oprócz gawędzenia i picia.



Już następnego dnia miałam zajęcia. Chrzest bojowy „na nauczycielkę” przeprowadziłam na grupie najmłodszej, 9–13 lat. Dziewięć osób. Denis uczył się polskiego rok, lubi futbol i chodzi na polskie tańce, Pietia gra na klawiszach i tańczy, Dima ćwiczy kick boxing i karate, i zna polski alfabet, Ira chce się uczyć polskiego, bo uwielbia historię i starą kulturę, gra na fortepianie, Misza uczy się polskich tańców...

Prawie każde, jak nie tańczy, to na czymś gra albo śpiewa. Mołdawia płodzi kolejne muzyczne pokolenia... Nauczyli się tego dnia nazywać części ciała po polsku i sprawdziłam, kto jak potrafi czytać krótkie dialogi. Poprosiłam, by przedstawili się po polsku i opowiedzieli o sobie kilka zdań. Każde z nich było „z innej beczki” albo nic nie umiało, albo trochę, albo umiało i musiało sobie przypomnieć.



Na pierwszej lekcji na Kartę Polaka niezgodnie z zasadą, że pierwsze zajęcia krótsze, skończyłam pół godziny po czasie. Najpierw spytałam ich, kto ma korzenie polskie i sprawdziłam, kto działa na rzecz Stowarzyszenia Polaków, czy tylko zapisał się, bo fajnie wyjechać do Polski i popracować.

Swietłana Suhowa, prawniczka, miała babcię Polkę ze strony matki i dziadka Polaka ze strony ojca, brzemienna inżynier Ludmiła Łomacz też babcię i dziadka, Oleg Kylczik, dyspozytor w elektrowni miał dziadka Polaka, a ciotka mieszka w Stargardzie Szczecińskim. Na lekcję przyszedł z żoną Natalią. Był i Wasia Kylczik (zbieżność nazwisk przypadkowa). Wprawdzie nie ma korzeni polskich, ale udziela się w Stowarzyszeniu Polaków Gagauzji, no i kto jak kto, ale on potrafi tańczyć polskie tańce. Pojawił się i Andriej, mąż Mariny, córki Wolewiczów, i 16-letni Oleś, który już trzeci rok uczy się polskiego, i oczywiście tak jak i Wasia tańczy w zespole „Polacy Budzaka”.

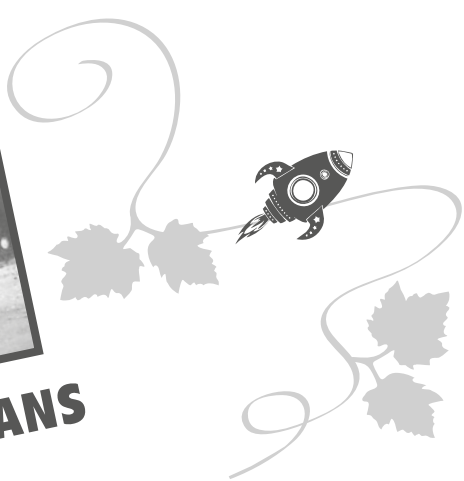
Kiedy już wszyscy opowiedzieli o swoich dalszych lub bliższych polskich przodkach, babciach, dziadkach, wujach, i miłości do kraju Jana Pawła II, ruszyłam z odpytywaniem, co wiedzą o Polsce. Właściwie nie wiedzieli nic. Zaczęłam od polityki. Kto zasiada w polskim rządzie, jakie są partie, co to Sejm, Senat – taki WOS dla początkujących; kto dostał Nobla, jakie są zwyczaje świąteczne, kto napisał polski hymn, jak wygląda polska flaga, jaka była poprzednia stolica Polski, kiedy była uchwalona Konstytucja 3 maja, kiedy był chrzest Polski...

Po lekcji wpadłam do Ludy. Przede mną była już Swieta i zdążyła powiedzieć Ludzie, że bardzo jej się podobało, ale musi wracać do domu, żeby powtórzyć materiał, bo „pani Judita dużo mówiła, a jeszcze więcej zadała”. Luda była bardzo ze mnie kontenta. Nawet w sumie nie do końca rozumiałam tę jej radość. Okazała ją jeszcze większą porcją kolacji niż zwykle.

Pierwsza grupa to już wyższa szkoła jazdy. Nie dwunastolatki, a 15–17 lat i trzy, cztery lata nauki polskiego. Andriej Suhow, Julia Wieliku, Ała Garciu, Roman Piejkow, Julia Tukan. Wszyscy potrafili już czytać po polsku. Na kolejne lekcje przynosiłam im gazety, może mało szkolnie, ale przerobili parę polskich tygodników. Było jak znalazł. Wiadomości z kraju i ze świata, i to po polsku. Lepiej uczyć tego, co się samemu potrafi, niż udawać Konopielkę.



KURORTNYJ ROMANS



Dziś na zajęciach na Kartę Polaka zapytałam: – Jakiego znacie słynnego Polaka?

Pani Swietłana знаła Lecha Wałęsę i papę rzymskiego.

Zgłasza się Oleg.

– Proszę Oleg.

– Ja znam pana Stanisława – odpowiada.

– Kto to jest pan Stanisław?

– My razem pracowaliśmy na budowie w Polsce...

Zgrabnie przeszłam do noblistów. Sienkiewicz, Reymont, Curie-Skłodowska, Miłosz, Szymborska, Wałęsa. Dodałam jeszcze parę innych znanych nazwisk: Piłsudski, Kościuszko czy Jan Paweł II.

– A z Mołdawian nikt nie dostał Nobla – ze smutkiem stwierdziła Ludmiła Łomacz.

Swietłana dołała oliwy do ognia: – U nas kradną, u nas złodzieje, nic nie ma, nie to co u was.

– Wierz mi Swietłana, że i u nas złodziei też jest pod dostatkiem – mówię.

Swieta westchnęła: – Ale wy poszliście do przodu, Ukraina poszła, a my tak od 20 lat stoimy w miejscu.

Mołdawia nawet nie jest tak bardzo śmieszna. Też tacy byliśmy w latach Peweksu, kiedy wyjeżdżaliśmy za granicę, w supermarketach czy galeriach sprzedawcy ostrzegali się, że naciera grupa Polaków. Wygłodzeni rzucaliśmy się na wszystko. Przypisanie nam złodziejstwa nie wzięło się znikąd. My braliśmy garściami. Nie kradliśmy, tylko kupowaliśmy. Po prostu czasami zapomnieliśmy zapłacić.

Jednak Mołdawianie mają ważną cechę, którą Polacy wraz z rozwojem (o innych krajach nie wspomnę) zatracają – gościnność. Im wyższy poziom cywilizacji, tym większa obcość.

Po lekcji pojechaliśmy ze Swietą i Wasią do baru jej męża policjanta. Zaraz doszedł i Pan Sławek. Bar był mały, ale z karaoke. Mąż Swięty przyglądał się nam z sympatią i donosił kolejne piwa. Gdy już byliśmy po kilku i Pan Sławek ze Swietą zaśpiewali już chyba wszystkie piosenki, które były do zaśpiewania, ktoś zaczął dobijać się na mój telefon. To była Luda.

– Czy jest z tobą Pan Sławek? – zapytała.

– Jest – odpowiedziałam.

– Bardzo jest pijany? – I nie czekając na moją odpowiedź, powiedziała: – Judito przyprowadź go do domu, możesz to zrobić?

– Oczywiście! – odpowiedziałam.

Najciekawsze w tym wszystkim było to, że ani przez chwilę nie pomyślała, a przecież było duże prawdopodobieństwo, że i ja mogę być w równie podłym

Przykład idealnie dobranej nazwy lokalu do jego wyglądu – kawiarnia „Chłodek”



stanie. A biorąc pod uwagę proporcje wagowe i ilość wypitego alkoholu, to nawet i w gorszym.

– Panie Sławku, muszę pana zabrać do domu – oświadczyłam melodyjnie.

– A jak trzeba, to idziemy – zaskoczył mnie Pan Sławek posłusznym tonem.

I poszliśmy. Pan Sławek pierwszy, ja na płaczących się nogach za nim. Było ciemno, zimno, daleko, a ja za diabła nie wiedziałam, gdzie jesteśmy. Pan Sławek coś nucił, ja tam mruczałam po swojemu i tak doszliśmy do Ludy.

– Jesteśmy! – oświadczyłam jej w drzwiach, a ona zlustrowała Pana Sławka karcącym wzrokiem. Potem posadziła mnie na taborecie, dała makaron i opowiedziała, jak to kiedyś Pan Sławek wyszedł z kolegami i długo nie wracał. Koło północy rozległo się pukanie do drzwi, Luda otworzyła, a tam leżał Pan Sławek. Krzyknęła za odchodzącymi kompanami. Ci zawrócili, a wtedy Luda zapytała: „czy takiego go zabieraliście?” Zaprzeczyli. To Luda rzekła: „Trzeźwego zabraliście, trzeźwego oddajcie” i zatrasnęła drzwi.

Knajp w Komracie nie było za dużo. W Telewizji Komrat reklamowali ciągle tylko restaurację „Atlantyda” i organizowane w niej wesela: *takaja krasota, takije torżestwiennyje imprezy*, hot dogi na targu Budżak: *takie wkusnyje*, czy salon urody „Kleopatra”. A że programy były co pół godziny przerywane 15-minutowymi blokami reklam o hot dogach na Budżaku czy o Atlantydzie, to znałam je na pamięć. Z reklam i ogłoszeń dowiedziałam się też, że na sprzedaż wystawiona jest kawalerka za 7500 euro. W Warszawie za tę sumę kupiłabym sobie trzy metry kwadratowe. W Komracie swój własny kąt.

„Vodolej” – czyli ‘wodnik’, moja ulubiona knajpa, usadowiona jest na ulicy Lenina, niedaleko Domu Kultury. „Vodolej” dzieli się na dwie części: białą i czerwoną. Biała jest kawiarniana, higieniczna, czysta, wymuskana, minimalistyczna. I jak na białą przystało, ma białe obrusy, białe ściany i białe zasłony. W białej się nie pali. Do białej mało kto wchodził, to i ta biel była dłużej zachowana.

Co innego sala czerwona. Czerwona to nagromadzenie, czerwone obrusy, drewniane stoły ze zdobionymi oparciami jak w skansenie, pełno narąbanych gości, zaduch, siekiera od dymu papierosowego. I co? Tłumy były po czerwonej stronie. Pijackiej.

Poza tym tylko w tej części podawali *zarionnyje* i inne potrawy. Jeśli było się głodnym, nie miało się zbyt wielkiego wyboru – czy się chciało towarzystwa, czy nie.

Usiadłam i czekam na moje zamówienie. Nagle przede mną staje kieliszek czerwonego wina. Pytającym wzrokiem spoglądałam na kelnerkę. Po chwili dosiada się do mnie mężczyzna. Mówi, że jest byłym bokserem. Jeśli połączyć ten fakt z jego autobiografii i czerwona od przepicia mordę, to by się zgadzało. Witalik ma 39 lat, a wygląda na co najmniej 15 lat więcej. Pyta, czy wierzę w przeznaczenie. Musiałam zrobić swą zwykłą minę, bo sam sobie odpowiedział: „nie wierzysz!”, ale ja ci powiem – my z błękitnymi oczami musimy trzymać się razem – mówi. Faktycznie niebieskie oczy w Gagauzji to rzecz rzadko spotykana. Ale żeby tak zaraz na oczy uwodzić?

Zamawia czekoladę. Podana na spodku od szklanki... Ledwie się przedstawił, przyjrzał mi się, bierze kostkę czekolady i chce mi brudnymi łapami włożyć do ust. Kostki czekolady na sreberku i talerzyku – gagauski synonim podrywku.

Tutejsze knajpy i zachowania w nich przypominają coś z lat 80. Jak mama na spodeczku podawała tafelki czekolady, tak tutaj panowie dziewczynom, które im się podobają, zamawiają podaną w ten sposób.

I tak rozpoczął się trwający do końca pobytu w Komracie romans z „Vodolejem”. Trochę czułam się nieswojo wpadając tu, głównie dlatego, że byłam kobietą, a samej przecież nie przystoi. Ale mało mnie obchodziły stereotypy i konwenanse. Nie znałam nikogo, a z tych, co znałam, nikt nie stołował się w knajpach.

Kończąc kolację, przyjrzałam się towarzystwu. Zaskoczeń nie było. Przy stoliku obok siedziało czterech chłopców. Sączyli wino. Przede mną też sami faceci. Z lekką niepewnością obejrzałam się za siebie. Stolik za stolikiem usłany facetami. Jedyne kobiety to ja i dwie kelnerki. Teraz rozumiem, dlaczego przy zamówieniu kelnerka zapytała, skąd jestem, no i „jakby co, to one tu są”.

Kelnerka była naprawdę cwana. Zaraz po tym, gdy przysiadł się do mnie kolejny facet (każdy stolik to miejsce dla co najmniej czterech osób, więc przychodząc samemu zajmuje się zbyt dużo przestrzeni, którą powinno się dzielić), przyszła ze szczotką i szufelką i zaczęła nią zamiatać ze stołu kruszyny, których niemal nie było.

– Ale tu czysto! – zaoponował mężczyzna, który raczył się przysiąść.

– Wszystko OK? – rzuciła do mnie i puściła oko.

To się nazywa damskie porozumienie.

Jak się z czasem miało okazać, mężczyźni i chłopcy choć natarczywi, to odpuśczeni zupełnie niegroźni. Za to rozmowy z tutejszymi młodzieńcami były puste jak wiadro bez dna. No i monotematyczne. No, może dwutematyczne.

– U nas kobiety mają taką oponkę na brzuchu, o ja też taką mam – ... podwija koszulkę i pokazuje lekko zapuszczony brzuch. – A ty takiej nie masz, ty o siebie dbasz, pewnie zwracasz uwagę na to, co jesz – mówi Sasza, dwudziestoparoletni chłopak, którego widzę pierwszy raz w życiu, ale jak się okazuje, on i jego gromada zdążyli już zlustrować mnie i mój jadłospis.

– Proszę cię, zaprosz mnie do siebie – prosi jego kolega, Jura. – Dlaczego nie chcesz spróbować, jak to jest z chłopakiem z Gagauzji?! – dopytuje.

Mało nie zadławiłam się sokiem na tak „atrakcyjną” propozycję.

– A co, reprezentujesz wszystkich Gagauzów? – zapytałam.

Z odsieczą przyszedł jego kolega od oponki i zapytał:

– Skolko stoit u was gaz?!

Cała reszta jakby się obudziła i skierowała na mnie pytające spojrzenia. Doszły do tego pytania: jaka jest średnia płaca? Po ile jest szynka? Po ile benzyna?

– A barany u was są? – zapytał jeden z kompanów.

– Są.

– Naprawdę? – I zakreślił rękami nad swoją głową rogi, upewniając się, czy dobrze zrozumiałam.

Potem pytanie o dynie, o osły, o winogrona... – tak, tak, to wszystko w Polsce też jest.

Byli niemal rozczarowani. Sądziło się, że kraj UE to wyłącznie supermarkety i nikt nie wie, co to wieś i żywe zwierzęta.

Tylko Jura nie interesował się stanem polskiej gospodarki.

– O rany, ale jesteś. No to powiedz mi chociaż, jakie Polki są łózku?! No powiedz, proszę – nalegał; nie wiadomo, czy bardziej natarczywy, czy wyposzczony.

Mój brak reakcji zachęcił go, by mi pomóc w odpowiedzi, naprowadzając...

– Na przykład Gagauzki są fajne, a Bułgarki gorące... A jakie są Polki? – nie dawał za wygraną.

– Najlepsze – odpowiedziałam.

– Taaaak!!! O Boże! No proszę, zaprosz mnie do siebie!!! – niemal zawył.

Rozmowa nie wróżyła zmiany tematu, więc po prostu wstałam od stołu pożegnana zawiedzionymi spojrzeniami.

To nie był pierwszy raz, gdy zaczął doskwierać mi brak damskiego towarzystwa, ale cóż, nic na siłę. Zawsze mogłam liczyć na Ludę i Pana Sławka, a nie damsko-męską przyjaźń.

Na chłopaków nadziałam się kilka dni później w kawiarni „Astoria”, w centrum, gdzie przeglądałam gazetę. Jura tym razem zabłysnął miłym poliglotyzmem. Wyrażenie „Ja liubliu Tiebia” znał w kilku językach, więc we wszystkich mi je zaserwował. Jako że i tym razem nie zrobił na mnie wrażenia, zapytał, jak to jest po polsku. Po odpowiedzi powtórzył na głos kilka razy „kocham cię”, czym zwrócił uwagę, ale sąsiednich stolików. Dumny z siebie ruszył z kopyta:

– No to co, zaprosisz mnie do siebie? Ja tak się zakochałem w tobie!

– Niet! – odpowiedziałam, nie odrywając wzroku od gazety.

Niezrażony zapytał: – Znajesz szto takoje kurortnyj romans?

No jak nie miłość, to chociaż romans sanatoryjny. Tak, tak. Jura miał zdrowie do podrywku.

Ponieważ toczyliśmy z jego kolegą dalszy ciąg rozmowy pod tytułem „skolko stoit gaz?”, to żadne z nas nie zareagowało na namiętne wyznania Jury, choć ten szedł w zaparte i już w następnych zdaniach pytał, czy chcę mieć z nim dzieci.

Chęć urwania się do lepszego świata jest tu tak duża, że chłopcy chętnie dobrze „wyjdą za żonę”. Cały czas pytają, czy jak będę pisać o Gagauzji, to napiszę też o nich. Są młodszy o kilka lat, ale twarze mają stare, a ręce spuchnięte. Pałą bardzo dużo i piją też. Mało istotne, że Jura prowadzi. Piją po równo.

– Nie boisz się tak mieszkać sama? Nie boisz? – nagle zapytuje mnie Sasza.

– A czego, kogo mam się bać? Chyba tylko Jury! – mówię.

Jura urażony odchodzi od stolika, rzucając mi gniewne spojrzenia. Wtedy Sasza dotyka mojej dłoni: – Ja przez ciebie spać nie mogę, tak mnie serce boli... No co ja mam zrobić, byś się mną zainteresowała, no co?

– Nie odzywać się? – rzucam, bo w powietrzu roznosi się zapach spisku. Najpewniej chłopcy założyli się, który pierwszy zdobędzie Polkę.

Jura wrócił i zaczęli się kłócić, kto ma większe prawo do tego, by mnie odprowadzić – czytaj: dostać się do mojego mieszkania.

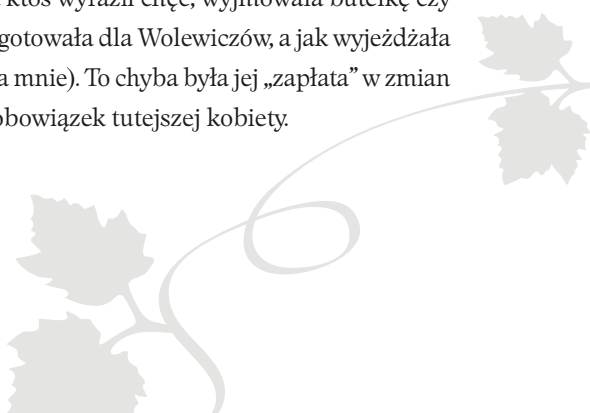
Tutejsze dziewczyny gdy poznają obcokrajowca, starają się wodzić go za nos. Wiedzą, że poza własnym ciałem niewiele mają do zaoferowania, więc oddadzą się, jak usłyszą, że zabierze się je ze sobą, a najlepsze, za przeproszeniem posunięcie, to oddanie się po spełnionej obietnicy. Raczej rzadkość.

Chłopcy mają taką samą ofertę. Ale grają inaczej, oddać się chcą już po pięciu minutach znajomości, i bardzo się dziwią się, że nie chcą wiedzieć, jak to jest z Gagauzem.

Co innego Wasia z Chirsovej. Ten był jakby oderwany od rozpuszczonego świata zabaw w jego wieku. Nawet gdy oprowadzał mnie po mieście, to kiedy mijaliśmy jakąkolwiek knajpę rzucił: „A tu zachodził nie nada”. Darzył mnie jakimś nabożnym szacunkiem, więc gdy dowiedział się, że chadzam do „Vodoleja”, to była informacja kalibru: „no tak, niestety pracowałam w burdelu, ale to już przeszłość”. Chciał się ofiarować, że będzie mi towarzyszył. Miałoby to wyglądać tak: ja coś jem, wypijam herbatę i wychodzimy.

Wasia nie miał w zwyczaju chodzić gdziekolwiek. Głównie ze względu na brak funduszy. Dlatego szybko skończyłam wątek knajp.

Do Wolewiczów zawitała gagauska krewna. Ania – tak mówił do niej Pan Sławek. Była bodajże córką kuzynki Ludy. Jakoś tak to szło. Na pewno była Gagauzką. Młoda, około 20-letnia, filigranowa, prawie zawsze w czerwonym sweterku. Ania sprzedawała napoje na dworcu w Komracie – dowiedziałam się o tym, sprawdzając pewnego ranka rozkład jazdy autobusów. Kiedy oglądałam tablicę z odjazdami, ona podbiegła do mnie, żeby zapytać, czy mi w czymś nie pomóc. Siedziała przez cały dzień koło boksu z napojami i jak ktoś wyraził chęć, wyjmowała butelkę czy puszkę i pobierała pieniądze. Po pracy gotowała dla Wolewiczów, a jak wyjeżdżała Luda – dla Pana Sławka (i siłą rzeczy dla mnie). To chyba była jej „zapłata” w zmian za mieszkanie albo po prostu zwykły obowiązek tutejszej kobiety.





CHIRSOVA



Chirsova (Kirsovo) to bułgarska wioska w Mołdawii. Trzeba jej poświęcić więcej czasu, bo to miejsce, gdzie niegdyś pobratali się Gagauzi z Bułgarami, no i jest tam winzawod.

Marszrutka do oddalonej o 10 km od Komratu Chirsovej to zaledwie 5 lei.

– Dla was jest tanio, dla nas nie – podsumował Wasia.

Co prawda, to prawda.

Była sobota, dzień wolny od pracy i Wasia zaprosił mnie do Chirsovej. Już widziałam fabrykę wina, miałam poznać i resztę wsi. Aby pokazać jej bogactwo, trzeba zacząć od ludzi. Niecałe 7 tysięcy mieszkańców. Bułgarów jest tam około 3300, Gagauzów – około 3100, potem są Mołdawianie, Rosjanie, Ukraińcy, Romowie i naliczono jeszcze 24 inne narodowości. W jednej wiosce 29 narodowości! Są takie wsie w Polsce?!

Wasia zaprowadził mnie pod swoją dawną szkołę, gdzie uczył się jako dzieciak. Było tam mnóstwo młodych drzew pobielonych na biało. Jedno z nich było jego – każde dziecko z rocznika Wasi posadziło swoje.

W Chirsovej jest nawet szpital; z zewnątrz wyglądał jak zwykły budynek, tyle że cały pomalowany na niebiesko. Taki nieduży oddział komracki. Jest i kościół. Prowadzi do niego rozpierniczona, niezałana asfaltem droga, na której leży sterta gruzu. Przy domach stoją motocykle, duża część z przyczepą boczną – można się poczuć jak na filmie z okresu III Rzeszy. Bo tu większość rzeczy wygląda jak sprzed lat, jak zbitka pracy wielu nacji, jakby każdy coś doniósł ze swojego kraju, regionu.

Nikołaj Daniłowicz Brasnibrada jest Bułgarem z Chirsovej. Opowiada, że najpierw była walka między Gagauzami i Bułgarami. Do połowy Chirsova była bułgarska, od połowy gagauska. Kto wchodził na obcy mu teren, dostawał po mordzie. Ale i tak chłopcom udawało się przemykać do dziewczyn innych narodowości. Im więcej pojawiało się mieszanych par, tym bardziej mur między Gagauzami a Bułgarami zmniejszał się. Teraz jest *fifty-fifty*. W prawie każdym domu są Gagauzi i Bułgarzy, a ich dzieci znają oba ich języki i rosyjski. I choćby Wasia jest pół Bułgarem, pół Gagauzem. W końcu w Chirsovej to norma.

Jak powstała Chirsova? Koloniści w Budżaku pojawili się pod koniec XVIII wieku. Rosyjski badacz A. Skalkovsky opisywał, że przez stepy Budżaka w 1811 roku jechał pociąg, a w jednym z wagonów było 53 bułgarskich imigrantów z Półwyspu Bałkańskiego. Kiedy pociąg zatrzymał się w dolinie dopływu rzeki Jałpuh, chorzy z wyczerpania i niedożywienia Bułgarzy zostali i założyli kolonię. Nazwali ją Chirsova.

Tutaj, tak samo jak i w wielu innych miejscach, dużo osób nie ma bladego pojęcia o mołdawskim. Żyją tutaj, ale nigdy nie uczyli się tego języka. Nigdy nie musieli.

U Wasi zdejmuję się buty jeszcze przed domem. Nie jest to zbyt miłe, bo potem wkłada się okrutnie zimne buty na i tak wychłodzone już stopy. W pokoju pełnym



Chirsova – droga do cerkwi



dywanów mama Wasi postawiła na stół gar z zupą mięsną, ogórki, ostre papryczki, smażone ryby, śledzie z cebulą, chleb, słoje ze śliwkami i wino. Stół rozmaitości.

Nagle Wasia mówi: – Poczekaj, jeszcze mamałyga!

Pomyślałam: „O Boże, znowu ta breja...”

Peany pochwalne na cześć tego „dodatku” do mięsa, które słyszałam, wcale mnie nie zachęcały do konsumpcji. No powiedzcie, wytłumaczcie, jak może być dobre coś, co było stosowane zamiast ziemniaków, kasz i chleba tylko dlatego, że mączka kukurydziana jest tańsza. Czyli jedzono ją tylko ze względu na niską cenę, a nie kulinarne doznania. A teraz coś, co było przymusem, urosło do rangi dania narodowego. Wielka żółta lurowata plama na talerzu! Już sama nazwa „mamałyga” mamląca jakaś taka.

I nagle wchodzi do pokoju mama Wasi z parującymi talerzami z bryndzą, okraszoną cebulką i ze skwierczącymi jeszcze skwarkami. Do tego oczywiście kieliszek gęstej, puszystej śmietany. Tłuste, ciężkie, ale to było coś, co chciało się jeść. Niebo zaczynające się na języku. O to chodziło, o te skwarki, bo bez nich pyzy to nie pyzy i kopytka też nie smakują tak jak powinny.

Nastąpiło oczyszczenie stosunków między mną a mamałygą!



Wasia pokazał mi swój pokój i komputer, jego narzędzie komunikacji ze światem. Zgrał mi kilka filmów i powiedział, że idziemy dalej. No i poszliśmy. Do sąsiadów. Tam jego kolega zgrał mi kolejne filmy. Kolega był niepełnosprawny, siedział na fotelu, obok stał prowizoryczny wózek. Właściwie nie wózek. Chciało mi się wyc na myśl, że chłopak jest uwięziony w czterech ścianach na gagauskim zadupiu gagauskiej wioski i zgrywa jakieś dziewczynie z Polski filmy, żeby miała urozmaicony czas. Jednak najgorsze są dobre chęci bez pokrycia. On był zadowolony, że może pomóc, że coś się dzieje. Nie chciałam stamtąd wychodzić. Wasia powiedział, że nie wypada mi siedzieć u chłopaka po zmroku, zwłaszcza że jestem stanu wolnego. Znowu pozory.

Poszliśmy do chirsovskiej knajpy, bo tam był już jego kolega, 21-letni Ilija, student prawa na Uniwersytecie w Komracie, więc o zgrozo nie sam na sam. Zachowanie Wasi w kontaktach z kobietami stanowczo odbiegało od natarczywości, która charakteryzowała bawidamka Jurę.

Pieniądże mołdawskie nie od razu się pojawiły, najpierw były... takie specjalne kartki. Wasia z Iliją mówią, że one takie duże były... – O takie na pół kartki – Waśka kreśli na swoim udzie spory prostokąt. – Ludzie mówili, że z *tualetnoj bumagi* i jak trzeba było kiełbasę kupić, to cały plik takich *tualetnych bumag* trzeba było ze sobą do sklepu brać. To nie było bardzo dawno temu.

Wasia mówi, że w 1993, 1994 roku.*

– A potem przerobili toaletną bumagę i tak powstały leje – mówi Wasia. I dlatego leje wyglądają jak papier toaletowy, tyle że z facją Stefana cel Mare.

Fakt, forsa jest tu jakaś taka miękka, miąka i wyliniała jak papier toaletowy. I nie trzyma się rąk, ciężko się na nią pracuje, ale łatwo wydaje. Nawet tutejsi mieszkańcy za nią nie przepadają. Za choćby wynajmowanie mieszkania chcą, by płacić im w euro.

Za chwilę zaczepia nas jakiś dziadek, posmyrał chłopców, poszturchał nie-dbale, puścił oko, pokiwał się z nogi na nogę i poszedł. Żadne tam podrywy. To ojciec właściciela baru, w którym siedzimy. Chłopaki mówią, że bardzo lubi się napić (a jak mówią to Gagauzi, to znaczy, że jest nawalony jak sama nazwa baru

* Lej mołdawski został wprowadzony jako oficjalna waluta Mołdawii 29 listopada 1993 roku. I tu znowu oprócz języka też nawiązanie do Rumunii – zanim Mołdawia została włączona w 1940 roku do ZSRR, funkcjonowały tu rumuńskie leje!

wskazuje – non stop), a że czasem skończą mu się fundusze, to zaczepia klientów, by coś postawili. Ilia nie daje się długo prosić i kupuje mu piwo. Wprawdzie syn pijaka bywalcom knajpy powiedział, by nic ojcu nie kupowali, „no, ale tak ładnie prosi”, niech mu będzie. Dostał butelkę i przysiadł do dwóch młodych, lokalnych dam. Syn nie powinien mu mieć tego całkowicie za złe, w końcu pieniądze chirsowian zostawia u niego w knajpie, a nie u konkurencji.

Nagle Wasia gdzieś dzwoni. Pytam, o co chodzi, nie odpowiada, potem rzuca: „nieważne”. Telefonuje, odbiera kolejne rozmowy. Wychodzi z knajpy. Wraca. Cisza. Jest zasada, że jak faceci coś kombinują, to kobiety nic na ten temat nie wiedzą.

Niedługo przyjeżdża kolega Wiktor, ma mnie odwiedzić do Komratu. W tym celu wydzwaniał Waśka. To tylko 10 km dalej, ale po godzinie 18.00 nie jeżdżą marszrutki, a on jako mężczyzna musi o mnie zadbać, i to bez mojej wiedzy! Dlatego nawet nie zamierzał odpowiadać na pytanie: co się dzieje? Takie gagauskie dżentelmeństwo, bardzo urocze zresztą. Gdy już wiedziałam o co chodziło, powiedziałam, że mógł chociaż zadzwonić z mojego telefonu, w końcu w mojej sprawie. Niemal się obraził na tę propozycję.

Przy stole chłopcy przygadują Wasi, że taki posunięty w wieku (25 lat) i nadal bez żony. Wasia sprytnie odwija się, że nie ma i przynajmniej nie musi okłamywać jej tak jak to robi Wiktor. Tak, tak, 33-letni Wiktor chwilę wcześniej zadzwonił do żony i powiedział, że wróci później, bo jest z kolegami. Żona dopytuje, czy jakaś kobieta jest z nimi? On: „Och, nie!”

Wiktor przyznaje się, że gdyby żona dowiedziała się, że siedzi i rozmawia z kobietą w knajpie, miałyby niezłą musztrę. Nieistotne, że w towarzystwie innych kolegów i przy herbacie.

Dojeżdżamy we czwórkę do Komratu, sceny konspiracyjne powtarzają się: chłopcy ciągle gdzieś się zatrzymują, wybiegają. Pytam, o co chodzi? Mówią, że znajdują odpowiednie miejsce to przystaną. I stanęli w centrum przy tutejszej słynnej knajpo-pizzerii. Byli zbulwersowani, że chcę zapłacić za swoją część rachunku. Oni są w swoim kraju i to oni zapraszają! A jak będą w Polsce, to ja za nich zapłacę!

Odwieźli i pożegnali. Kobieta ma nie wiedzieć o rachunku i ma się nie martwić jak dojechać. To oni, mężczyźni o to dbają, ale też o wszystkim decydują. Oni – Wasia, Ilia i Wiktor, którzy żyją w Gagauzji, a żaden z nich nie zna mołdawskiego.

Następnego razu u Wolewiczów mówię, że byłam na obiedzie u rodziny Wasi.

– Byłaś u kolegi w domu? Jego matka dla ciebie gotowała? – pyta Pan Sławek.

– Tak – odpowiadam.

– To jak jego matka dla ciebie gotowała, to znaczy, że ty już jesteś mężatką! – wykrzyknął Pan Sławek.

– Gorzej. Wygląda na to, że bigamistką – mruknęłam pod nosem.

Pan Sławek zmarszczył brwi.

Dziś Dima z drugiej grupy znowu zapytał, co jest napisane na tablicy, bo nie może rozczytać. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Cisza! – krzyknęłam.

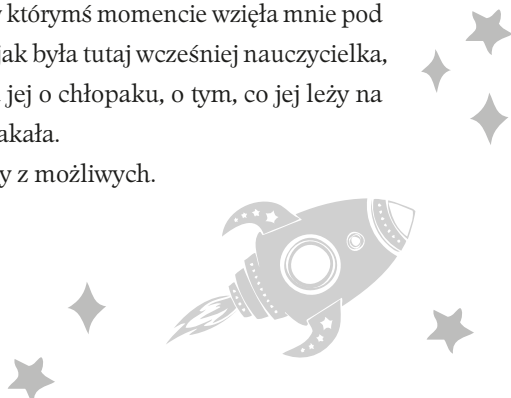
Nikt już nie zarechotał.

Po lekcji podeszłam do Dimy. Pakował książki do plecaka. Zapytałam, czy był z rodzicami u okulisty. Odpowiedział, że tak. Skłamał. Po szkole widziałam go, jak pomaga ojcu przy budowie domu i nie wyglądało to jakby rodzice specjalnie się nim przejmowali. Miał być użyteczny, a nie zwracać na siebie uwagi.

Obiecał powiedzieć rodzicom. Pewnie nie powiedział. Tu nadal pokutuje, że chłopcy przystojniejsi bez okularów. Na lekcji tylko ja je wkładałam. W ogóle nie przypominam sobie, bym widziała jakiegoś Gagauza w okularach.

Dzieciaki szybko się przywiązują, zwłaszcza nastoletnie. Gdy wracaliśmy ze szkoły ze starszą grupą, Julia, która szła obok mnie, w którymś momencie wzięła mnie pod rękę i zapytała, czy tak może. Opowiadała, że jak była tutaj wcześniej nauczycielka, to bardzo się zaprzyjaźniły. Julia opowiadała jej o chłopaku, o tym, co jej leży na sercu, a potem, jak ta wyjechała, strasznie płakała.

Wiedziałam, że dystans to wybór najlepszy z możliwych.





KIELONEK ZA WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Pierwszy listopada przypaść w niedzielę. Zresztą tutaj nie jest obchodzony. Ale zanim nadszedł, kilka dni wcześniej zaczęłam szukać w sklepach zniczy. Nikt nigdzie ich nie widział. W małych sklepikach nie słyszano, w dużych na półkach nigdzie nie było. Po wielu próbach zajrzałam i na targ Budżak, też bez rezultatu. Znalazłam stoisko Ludy.

– Znicze? A co to takiego? – zapytała.

Trochę mnie to zdziwiło, że nie słyszała. Chwilę później przypomniała sobie, że coś takiego istnieje i kazała spróbować w „tym sklepie, gdzie reklamówki sprzedają”. Nie było. W innych też. Tu takich świąt nie ma, to i zniczy też. Tu dominacja prawosławia, więc są tylko smukłe, chudziutkie świece, ale taką to wystarczy lekko dmuchnąć i gaśnie. Dymi i nic już z niej. Przy wiecznym odpoczynku to nie ma co takiej brać pod uwagę.

Przyszła niedziela i pomyślałam, że chociaż nie znoszę tego święta w Polsce, idę poszukać polskich grobów i choć popatrzeć, zmówić: „Ojczy nasz...”. Tak, tak. Agnostyk na zesłaniu nagle staje się wielce pobożny. Nawet trudno mu zarzucić kłamstwo czy udawanie, powstaje jakaś taka wewnętrzna potrzeba kultywowania starych nawyków. I nie ma co z nią walczyć. W końcu to nic złego.

Ubrałam się i idę do Wolewiczów. Drzwi zamknięte. Dzwonię. Okazuje się, że właśnie dochodzą na cmentarz, bo tam mają groby rodziców.

– Zaczekajcie na mnie, zaczekajcie! – krzyknęłam do telefonu i ruszyłam na cmentarz. Dobre 20 minut drogi pokonałam w dziesięć.

Cmentarze w Komracie są dwa. Jeden stary niedaleko centrum, drugi nowy za miastem. Ten w centrum, do którego tak się spieszyłam, to właśnie stary.

Zaczęły padać pojedyncze, małe płatki śniegu. Tutaj to się nie zdarza. Zwykle o tej porze roku jest kilkanaście stopni. W końcu jeszcze tydzień temu wychodziłam z domu w krótkim rękawku. Dobiegłam. Luda w dużym, śliwkowym berecie a la mother i w ciepłym płaszczu, z Panem Sławkiem pod rękę, stali pod furtą cmentarza.

Mogła zbiorowa to po tutejszemu... sklep. Na cmentarzu też są takie nieduże nagrobki. Coś w stylu amerykańskich, tyle że mniejsze. Ludzie na cmentarzu mówią, że to carskie. Dominują groby bezguścia. Na szczęście nie ma tu jak u nas takiego nagromadzenia sztucznych kwiatków, listków, badyła. Ot, nie za ładna krzywa płyta. Krzywe tu jest wszystko, nawet w łazience mimowolnie zsuwają mi się nogi w kierunku wanny, bo płytki nierówno położone. Zapytałam Pana Sławka, czemu i u niego nagrobek taki nierówny (kilka centymetrów nachylony na lewo, jak się postawi nań donicę, to zjeżdża, ogrodzony jest płotkiem, ale zamknąć się go nie daje, bo zaczep jest tak wysoko, że haczyka nijak nie da się w niego włożyć), podirytowany moim węszeniem stwierdził, że pomnik był postawiony prosto i nie ma pojęcia, dlaczego teraz coś nie tak.

Ale o co ja pytam. Tu krzywe chodniki (o ile są, bo tu półtora metra płytki, półmetrowa dziura, potem błoto, jakaś połamana płytka, trochę betonu, kawałek płytki), niesymetryczne, dziurawe drogi (z pewnym niepokojem piszę „droga” – bo za przeproszeniem, ni diabła drogą nazwać tego się nie da). Ulic nie ma.

Przy tym trzeba podkreślić jedno: te wyrwy, połatanne płyty są nieoświetlone. Domy i obejsia, podwórka jasności zaznają jak zaświeci słońce. Na dwóch głównych ulicach miasta zaledwie parę ledwie tłących się latarni. Piszę o tym, bo trzy dni przed świętem zmarłych stało się: w pięknym stylu walnęłam na chodnik. Lewe kolano natrafiło na płytę, prawe tylko na jej kawałek. Sine są do dziś, zwłaszcza lewe. Już wiem, czemu tu wino takie tanie, tylko ono może uśmierzyć ból upadku.

I na zakończenie odpowiedź, czemu lepiej umierać młodo? Na płytach nagrobnych były namalowane postacie leżących tam zmarłych. Jeśli ktoś umarł w zaawansowanym wieku, była starsza baba w chustce, na sąsiednim nagrobku postać wyglądała jakby szła na dyskotekę: młoda dziewczyna z wciętą talią, ściśniętą paskiem, w obcisłych džinsach, z rozpuszczonymi włosami.

A potem poszliśmy z Ludą i Panem Sławkiem do Mariny. Luda bawiła się z małym Edikiem, a Marina nakryła do stołu. Andriej połał koniak, Pan Sławek pogonił mnie bym szybciej jadła, bo moja kolejka. I tak kieliszek wędrował. Tak, tak, tu kolejka cię nie ominie, czy jesteś 50-kilową kobietą, czy stukilowym facetem. Pijesz po równo.

Takie zasady, a tych trzeba się trzymać. Musisz być jakaś chora albo coś z tobą nie tak, jak odmawiasz. Zbierasz wtedy tyle spojrzeń i pytań, że już lepiej się napić.

Jak wracaliśmy od Mariny, Pan Sławek powiedział, żeby wpaść do nich wieczorem, bo przychodzi kierowca Ilia i trzeba wypić za dusze zmarłych. Tu taki obyczaj. I tak łagodnie w tym roku. Normalnie to chodzi się z wódką z zakąską i z łakociami do znajomych.

Wróciłam z butelką wina. Luda zrobiła pieczone ziemniaki, takie z cebulką i panierką, marchewkę i lokalne gołąbki plus marynowana papryka i kabaczki, a Pan Sławek polewał „za dusze zmarłych”. W ferworze picia Pan Sławek zaczął mówić do Ilii po polsku, Luda do Ani po gagausku. Ilia zamachał rękami w celu doproszenia się o rosyjski, ale i tak wyglądało, że wszyscy się rozumieją.

Jesienią szybko robi się ciemno. Idę w zamyśleniu do szkoły, ścieżką obok ulicy. Nagle słyszę przed sobą jakieś ciężkie kroki, stąpanie, szeleszczą liście, jakby męczennicy... Co do licha? Nic nie widać. Nie mam latarki, ale mam aparat z lampą, pstrykam zdjęcie, patrzę i nie dowierzam. Przedemną stoi wielka, tłusta... krowa.

Gdyby nie aparat, weszłabym na krowę w środku miasta!

Tu zostać nie chce nikt. Za 10 lat nie będzie tu nikogo prócz rządzących – tak tu mówią.

Sasza Szukanow, rocznik 1983. Tak samo jak i jego ojciec, Sasza kolekcjonuje monety. Skończył historię na Uniwersytecie w Komracie, teraz uczy w szkole tzw. nauczania początkowego, czyli uczy wszystkiego po trochu.

– Głównie improwizuję, bo brakuje książek do nauczania – opowiada.

„Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie, zapytaj, co ty możesz zrobić dla swojego kraju” – to zdanie amerykańskiego prezydenta przyświeca Saszy, choć, jak twierdzi, był patriotą, ale się z tego wyleczył. Bo patrzy, jak każdego roku wyjeżdżają ludzie i potem już tylko wysyłają dolary swoim rodzinom tutaj. Mówi, że nacjonalizm jest dla niego niezrozumiały.



NERKI, ABORCJE I JAN PAWEŁ II



Deszcz siąpi. Wiatr jest silny, liście z drzew tańczą dookoła pomnika Lenina. A on tak sobie w pozycji kroczącej stoi na postumencie, w pochmurnej poświacie. No nie traci chłopak rezonu!

Przeszłam się na jedyny na świecie gagauski uniwersytet. Komrat Devlet Universiteti przyciąga głównie studentów ze stolicy Gagauzji, Vulcănești, ale też z Turcji czy Bułgarii, bo koszty edukacji są tutaj niższe. Gagauzi są szczególnie dumni właśnie z uniwersytetu – jedynego takiego na świecie, a do tego z filologią gagauską.

Uniwersytet w Komracie wykształcił tysiące studentów, problem jednak w tym, że jego dyplomy uznawane są tylko w Mołdawii, Turcji i Rumunii. Dalej droga zamknięta. Mimo to studiują i mimo że zdanie egzaminu najczęściej zależne jest od łapówki. Tak mówili mi wszyscy, którzy tam studiowali, tak mówił i Sasza. To samo i Ilia z Chirsovej – twierdził, że jego studia prawnicze to wydatek ponad 700 dolarów za rok.

Nadal jest dla mnie zagadką, że w kraju, gdzie średnia wypłata wynosi 100 euro, takie kilkuletnie studiowanie to około 3 tysiące euro, więc skąd na to biorą? Wygląda na to, że Mołdawia to największa szara strefa zarobkowa świata.

Fakt, pracujących za granicą i przysyłających pieniądze rodzinie jest około miliona, fakt – czasem można zarobić sprzedając siebie lub sprzedając kawałek siebie. Sprzedaż nerki to też rodzaj pracy, zarobku. Oddanie jej za pieniądze, kiedy ma się drugą, z którą można w miarę normalnie funkcjonować, wydawałoby się, nie jest niczym złym. Chłopaki w „Vodoleju” śmiali się z kumpla, który okazał się

frajerem, bo sprzedał nerkę za bezcen. Był jednym z setek, a może nawet i tysięcy mołdawskich mężczyzn, którzy ulegli pokusie szybkiego zarobku.

Mołdawianie, Gagauzi wyjeżdżają na zarobek za granicę, często do Turcji, bo tam mają mieć „zaklepaną” pracę. Na miejscu okazuje się, że „koszta ich podróży” były tak duże, że to oni muszą wyłożyć pieniądze; zabierane są im paszporty. A skoro nie mają czym zapłacić, a nie mają, w końcu pojechali za chlebem, to są zmuszeni oddać to, co mają. W prywatnych tureckich klinikach, zwłaszcza Stambułu, już czekają przygotowani do operacji lekarze. Mołdawianie za nerki dostają grosze, a z jedną często ciężko chorują. Po sprzedaży organu delikwent wraca do ojczyzny, zgodnie z obietniczkami dostaje grupę inwalidzką i płynącą z niej rentę. Ale wiadomo, że jest mała, więc przy poważnych kłopotach ze zdrowiem nie starczy nawet na leczenie.

– Nie można ubijać w Polsce? No jak to? – zdziwiła się Swietłana podczas zajęć na Kartę Polaka, kiedy to zajęliśmy się znanymi Polakami i ich poglądami.



– Nie można, ot tak. Tylko w szczególnych wypadkach, choćby zagrożenia zdrowia, życia, czy gdy ciąża jest wynikiem gwałtu – tłumaczę.

– I naprawdę papa rymski mówił, że nie można zrobić abort? – zdziwiła się raz jeszcze, a reszta westchnęła.

Nie byłam od tego, by mówić, co jest złe, a co nie, ale jak jest w Polsce. Och, czemu rozpoczęłam ten temat. W kraju, gdzie aborcje są na porządku dziennym, a na każdą kobietę przypada kilka zabiegów. Aborcje są tu traktowane jak wycięcie wyrostka robaczkowego albo wyrwanie chorego zęba. Nie wiążą się w tym żadne inklinacje moralne czy wyrzuty sumienia. Po prostu jest problem i trzeba go usunąć. Jediną przeszkodą mogą być pieniądze. W jednych szpitalach za aborcję żądają 10 dolarów, w innych 20–30 i więcej. Można i za darmo, ale wiadomo, jak płacisz, jest lepsze traktowanie. No i potrzebna jest zgoda rodziców, kiedy nie ukończyło się 16 lat. W kraju, gdzie 1/4 obywateli jest za granicą, dostarczenie takiej zgody to nie lada wyzwanie. A przecież dzieci zostawione same sobie albo dziadkom mają niebywały luz.

Szukam w internecie informacji na temat aborcji w Mołdawii. Odkrywam tajemniczą stronę... Misja Przyjaciół Dzieci w Kaliszu, gdzie można modlić się za... Mołdawię. „Aborcja to prawdziwy dramat Mołdawii. Niczym niezwykłym są tu dziewczyny, które w wieku szesnastu lat mają za sobą już kilka aborcji. Niedawno poznałem kobietę która dokonała 18 takich zabiegów...” – MPD przywołuje słowa Swietłany Makari, dyrektorki Misji „Liora” zajmującej się przeciwdziałaniem aborcji w Mołdawii. Kobieta ma w swoim biurze nad biurkiem zdjęcia uratowanych dzieci. Makari mówi, że według oficjalnych statystyk 419 kobiet na 1000 przerywa ciążę, czyli w rzeczywistości ta liczba jest znacznie wyższa.

Wieczorem pogadaliśmy sobie z Wiktorem w „Vodoleju” o niewolnictwie, handlu narządami, prostytutkach. Z jednej strony dziwiliśmy się, że takie rzeczy istnieją, z drugiej, było w jakiś brutalny sposób neutralne, zrozumiałe, bo przecież obok. Nie masz co do garnka włożyć, oddajesz to, co masz. Siebie. Proste? Proste. Ta prostota uzależnia.

Wiktor opowiadał o dziewczynie z Chirsovej, która wyjechała do Turcji za chlebem. Tam skończyła w burdelu, uciekła do Włoch, tam też trafiła do burdelu. Stamtąd nie chciała wrócić do domu, choć podobno miała wybór – chciało jej

pomóc parę osób: jakaś koleżanka, klient, któremu się wygadała. Wróciła do Turcji. Gdzie? Do burdelu. Wiedziała, co ją czeka, że na nią czyhają, mimo wszystko pojechała właśnie tam, jakby nie wierząc w inną drogę wyjścia, a może po prostu bała się wracać, tłumaczyć. Bała się, że sobie nie poradzi.

Mołdawskie kobiety, którymi się handluje, przypominają mołdawskich mężczyzn, którzy oddali nerki. A może to mołdawscy mężczyźni przypominają mołdawskie kobiety?

Człowiek, który zawsze był od kogoś zależny, który tkwił w rodzinie, gdzie wystarczy minimum i tego należy się trzymać, nie wychylać, który to, co widzi w telewizji, uznaje za nierealną bajkę – nigdy nie będzie chciał walczyć o inne życie. Jego umysł jest zniewolony. Jest „od... do...”.



Siadłam do komputera i napisałam mail do Justyny, która uczyła gagauskie dzieci przede mną. Tańczyła z nimi, robiła z nimi jasełka, wyjazdy, znała je i ich rodziców. Dwa lata. Wiedziała, jak się z nimi obchodzić. Luda mówiła o niej „urodzona nauczycielka”. Skoro tak, to pewnie kilku rad udzieli. Justyna odpowiedziała dwa dni później.

„Cieszę się, że ktoś przyjechał do Komratu. (...) Myślę, że w zasadzie przyjdą do Ciebie na zajęcia grupy z poziomu A1 – początkowy i A1/A2 – troszkę wyższy. Dla dzieci proponuję gry edukacyjne i książkę *Ach, ten język polski* z dyskiem. Dla trochę zaawansowanej młodzieży: *Stare rzeczy, nowe słowa* – bardzo ciekawa książeczka z planszami – nie napracujesz się tak strasznie przy jej studiowaniu (-:

Inne książki są już bardziej specjalistyczne. Na zajęcia indywidualne proponuję przyjąć tylko (...) – wszyscy mają potwierdzone polskie pochodzenie i może coś z nich dla Polski wyrośnie (-; Rozmawiaj na różne tematy z nimi. Mów o historycznych faktach i podawaj przyczyny, ale w dyskusje polityczne radzę się nie wdawać. Osoby zdające na Kartę Polaka muszą mieć po pierwsze pochodzenie polskie, o co od razu zapytaj, albo (jeśli nie mają tego pochodzenia), muszą szczególnie zasłużyć się dla Polonii tamtejszej – o co też zapytaj. Interesownych ludzi, którym Karta jest potrzebna do pracy w Polsce, na zajęcia nie wpuszczaj... Egzamin na Kartę są dość proste – podstawowe pytania o dane osobowe, pracę, zainteresowania, elementy historii

i geografii Polski, święta i tradycje. Ale dla mnie najważniejsze było zawsze to, by oni czuli się związani z polskim interesem narodowym, by w jakiś sposób czuwali się, chociaż w kilkunastu procentach do polskości. Nie pozwól wykorzystywać swojej osoby i naszej ojczyzny – powołaj się na mnie, zawsze z tym walczyłam. Bądź animatorem polskiej kultury... Może 11 Listopada, Andrzejkki, Mikołajki... Rozmawiaj na różne tematy, możesz jakiś film obejrzyć z nimi. Musisz też wlać w te zasuszone moralnie serca (niestety, pół wieku zrobiło swoje) trochę »balsamu moralności i ducha«, jak ja to nazywam. Dziewczynkom warto czasem wspomnieć o szacunku do samej siebie, chłopcom też nie zaszkodzi pół śmiechem, pół żartem coś o moralności powiedzieć. Posucha duchowa tam jest straszna. Małe dziewczynki zabijają milionami swoje dzieci, do trzydziestego roku życia mogą mieć już do kilkunastu dzieci na swoim sumieniu. Zaczynają od około 13/14 roku życia. Oni o tym nie powiedzą, ale dwa lata mojego tam pobytu wystarczyło, bym tę straszną prawdę odkryła. I to jest dla nich normalne. Wiele wartości zdewaluowało się strasznie, z dziećmi nie ma kto rozmawiać. Do mnie często przychodziły dziewczynki, a nawet chłopcy – do domu, po radę, po to, by po prostu porozmawiać. Rozmawiaj, Judytko, z nimi. Pokazuj im jasne strony życia, ucz głębokiego szacunku do wszystkich. Uwrażliwaj na drugiego człowieka...”



Gra w nogę,
czyli zamiast piłki plastikowa butelka



Przeczytałam. Zamiast poczuć się lepiej, kołatały mi w głowie „miliony aborcji”, „polski interes narodowy”, „zasuszone moralnie serca”... Kim ja jestem, by mieć prawo ingerowania w ich świat?! Mówić im, jak żyć?! Mówić, że są źli, niemoralni, mają zasuszone serca?! Rozmawiaj, rozmawiaj, rozmawiaj...

Odchodzę od komputera. U Wolewiczów jest Marina z Edikiem. Maluch patrzy na moje jasne oczy swoimi dużymi ciemnymi i gdyby mógł, to swoją delikatną łapką by mi je zabrał, żeby się pobawić. Wprost niemożliwie piękne dziecko. – Współczuję tym wszystkim dziewczynom, które pozna, jak będzie już duży – mówi Marina.

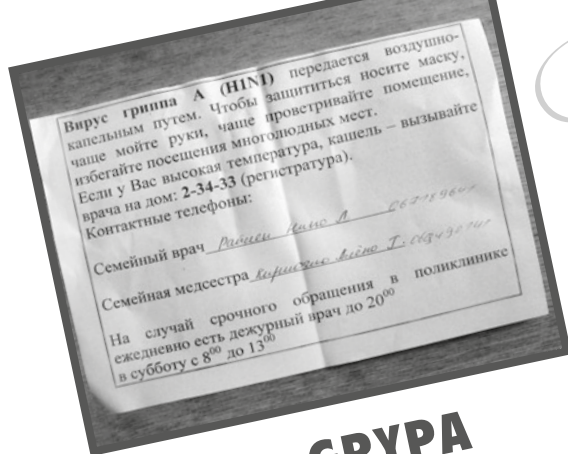
Patrzę na nią i lekko kiwam głową na znak porozumienia.

Tu dziewczyny chłopców lubią. A chłopcy dziewczyny jeszcze bardziej. Luda opowiedziała mi, jak wyrzuciła z zespołu dwoje dzieci. Występowali gdzieś w obcym mieście i tam nocowali, to oni przy innych dzieciach, w jednym łóżku „jak mąż z żoną”. Mieli po 13 lat.

Piastując raptem drugi miesiąc godność nauczycielki, kiedy jechaliśmy na występy do Grigorówki, widziałam jak dzieci obmacywały się w marszrutce. Takie to było naturalne. A potem wszyscy zasiedli do śniadania, a Pan Sławek zapytał: „rączki umyte?!”. W ogóle nieświadomy dwuznaczności pytania. W końcu opiekunowie, którzy zajmują miejsca na pierwszych siedzeniach, zwykle nic nie widzą.

Wysłałam od Wolewiczów skołowana, z karuzelą myśli, wróciłam do domu, nalałam sobie w szklankę malbeka i zapuściłam dysk: *Ach, ten język polski.*





GRYPA

Więcej na: www.ebook4all.pl

Na przełomie października i listopada wylała się fala epidemii A/H1N1 – świńskiej grypy. W drzwiach mieszkania zastałam wciśniętą kartkę z informacją o szczepieniach przeciw grypie. Akurat dwa miesiące wcześniej pierwszy raz w życiu zaszczepiłam się, więc nie reflektowałam, obstawiając, że tutejszy specyfik to z pewnością nie jest coś bardziej zaawansowanego.

Grypa szalała na całego. W ciągu zaledwie pierwszych dwóch tygodni od wybuchu epidemii zachorowało na nią ponad tysiąc osób. Zaraziło się nią też 24 żołnierzy, ale im nie szczepienia, ale mołdawskie ministerstwo obrony miało pomóc. Nakazało bowiem uzupełnić dzienny jadłospis wojaków... o małą cebulę i kilka ząbków czosnku. Mołdawska armia jest niewielka – 6,5 tysiąca żołnierzy. Przy takiej liczbie nie można sobie pozwolić na starty, a już na pewno nie z powodu świńskiej grypy.

Szkoły i uniwersytet zamknięte. Jedyne zajęcia, jakie się odbywają, to lekcje polskiego. Tak, chodzę na lekcje z dziećmi. W czasie pandemii to jedyny moment na spotkanie z ludźmi, choć to obowiązek. O dziwo, wszyscy chodzący na język polski są zdrowi.

Dzisiaj zgąsło światło w szkole. Brak prądu. Była już postępująca szarówka, ledwie widziałam litery.

– Chyba dziś wcześniej skończymy – poinformowałam.

– Nieee, pani Judito!!! – krzyknął Dima i przesunął się do ławki zaraz obok okna.

Reszta dzieci poszła w jego ślady. Zrobiła się kompletna cisza, spojrzwały na mnie z nadzieją na kontynuację. Ja, która przyjechałam z kraju, gdzie nauczycielom wkładają kosze na głowę, powiedziałam: „OK, jeszcze kwadrans”.

– Dziękujemy – rzuciły chórem.

Po lekcjach idę do Wolewiczów na internet. Są w garażu, przesypują ziemniaki do worka. Pan Sławek jest w swoim zwyczajowym dresie, Luda w szlafroku w panterkę.

– Luda, co jest z tymi dziećmi? – pytam, gdy już siedzimy przy stole.

– Te dzieci to skarb – mówi krótko.

To by tłumaczyło ich chodzenie na polskie tańce – w sobotnie, niedzielne i poniedziałkowe wieczory. Jakim dzieciom w Polsce chciałoby się tak? Przychodzą z własnej, nieprzymuszonej woli. One jakby wiedzą, że muszą zapracować na lepsze życie, a nie, że im się należy. To jest wyższość nad rozszczeniowością krajów mających się za lepsze.

Polskiego uczą się chętnie, bo Polska kojarzy im się bogato. Kraj unijny, wyzwolony. Na Karcie Polaka zapytali mnie o ceny mieszkań w Warszawie, o przejazd taksówką, o obiady, o cenę czekolady czy gazu.

– Dlaczego pani podaje ceny w lejach? – zapytał zdziwiony Oleg.

Nawet nie to, że zależało im na polskiej walucie, lubią wiedzieć, ile co kosztuje w euro. Euro brzmi magicznie, w euro płacę nawet za wynajem mieszkania.

Żyją wielkimi liczbami. Sądzili, że w Polsce jest wyższa średnia pensja, że wszystko to tysiące euro. Bogactwo.

Odczytuję maile z Polski: „wracaj, tam bieda i choroba, co wyrabiasz?”

Odpisuję: „złego nawet Gagauzja nie bierze” i ruszam do „Vodoleja”. Tam kwitnie życie. Na miejscu zastaję Jurę z obstawą. Jest też jakaś dziewczyna. Starsza chyba od niego, dość zaniedbana. Wieczór. On trzyma ją za kolano, sunie ręką coraz wyżej, ona udaje, że nic się nie dzieje. Wychodzą na kwadrans, wracają, ona ma potargane włosy, on zasuwą rozporek. Usiedli. On trzymał rękę między jej nogami, ona spokojnie piła piwo. On ponownie naznaczał swój teren i rozpoczął rozmowę, jak gdyby nigdy nic. Wiadomo: zarobki, skolko stoit gaz, prawie zawsze to samo. Jednak szybko przerywa, wychodzi, rzuca mi obrażoną minę. Pytam jego kolegi obok, o co chodzi. Odpowiada, że Jura jest wkurzony, bo nawet na zazdrość mnie nie może wziąć.

Wirus A/H1N1 masowo wystąpił i na Ukrainie. Kraje ościenne zaczęły się bronić utrudnieniami przy przekraczaniu granic. Kiedy wreszcie zostały otwarte, Luda z dziećmi mogła wyjechać (jakby dla grypy istniały jakiekolwiek granice).

Luda pakowała się w kilka wielkich toreb, jakby nie na kilka dni, ale kilka miesięcy jechała. Bus zabierał ich spod domu Wolewiczów, więc tylko czekała aż dojdą dzieciaki i ruszą. Pierwszy z uczniów wpadł Wasia.

– Wszystko zabrałeś? – pyta go Luda.

– Tak. Dwa litry wina, dwie butelki samogonu, wystarczy? – zamyslił się Wasia.

Tak czy inaczej Waśka znowu opuszczał lekcje polskiego, na mój widok spieszył się, zaczął tłumaczyć, że bardzo chce dojechać na polski, ale ten wyjazd, ale...

– Twoja sprawa Wasia – przerwałam mu. – Mniejsza grupa, inni skorzystają.

– A ja chciałbym uczyć się indywidualnie – odparł w akcie obrony.

– Nie ma takiej możliwości. Sami ustaliliście dzień i godzinę i żadne sympatie tego nie zmienią – odpowiedziałam i wyszłam, bo napierały kolejne dzieci, a nie chciałam wiedzieć, ile w ich torbach jest wina, i dostać kolejnego zestawu pytań „do pani nauczycielki”. No i pojechali. To była sobota, a w środę mieli być już z powrotem.





PREZYDENT I KURY



Gdyby to dotyczyło Włoch, można byłoby napisać „premier i kurwy”, ale jest o Mołdawii, więc będzie o prezydencie i kurach.

Dziś 10 listopada 2009 roku. Mołdawia wybiera prezydenta, podejście numer dwa. Ale nikt tego nie przeżywa. Nikt specjalnie nie ogląda z tego powodu wiadomości, a że i tak dominują stacje rosyjskie, to wiadomo, gdzie pojechał Putin, co robi Dmitrij. O wyborach w Mołdawii nie mówi się.

Nawet jak wpadłam do Pana Sławka z pytaniem, czy wiadomo, czy wybrali prezydenta, odpowiedział, że „nie wybrano”, tonem, jakby to było tak samo istotne jak to, czy do sklepu na rogu dowieziono świeży chleb, czy nie. O przepraszam! Chleb byłby ważniejszy!

Trudno dziwić się ludziom, że olewają wybory skoro od wiosny 2009 roku trwa tam permanentny kryzys polityczny. Wtedy to ekstrakomunistyczny prezydent Mołdawii Vladimir Voronin przekazał władzę oponentom o jakże innych zapatrywaniach od jego: prounijnych, prozachodnich, prokosmopolitycznych.

Jakkolwiek sam Voronin szalonej sympatii nie wzbudzał, to jednak sprawował dwie czteroletnie kadencje – mołdawska konstytucja mówi, że ta sama osoba może sprawować urząd prezydenta maksymalnie dwa razy. Wiosną chcąc nie chcąc musiał zakończyć ośmioletnie rządy. Na domiar złego zgodnie z konstytucją musiał osobiście rozpisać nowe wybory parlamentarne. Stała się rzecz zabawna, bo kilka partii było tak zdeterminowanych, że aby zwyciężyć, czwórka z nich: Partia Liberalna, Liberalno-Demokratyczna Partia Mołdawii, Demokratyczna Partia Mołdawii i Sojusz „Nasza Mołdawia”, które wcześniej ostro się zwalczały,

stworzyły koalicję: „Sojusz na Rzecz Integracji Europejskiej”. Mimo że komunistyczny Voronin nie wydał jej pozytywnej opinii, nowa proeuropejska partia odsunęła od koryta partię komunistów i stworzyła rząd na czele z Vladem Filatem.

Nie ma wątpliwości, że chodzi o władzę. W końcu jak nie chodzi o pieniądze, to chodzi właśnie o to. Czy można się im dziwić, że zrobiły wszystko, może nawet na przekór sobie, żeby ratować kraj, który trwał w kokonie komunizmu, który coraz bardziej uwierał?

Gdy 11 września 2009 roku Voronin przesłał do parlamentu swoją rezygnację z funkcji p.o. prezydenta Mołdawii, funkcję tę objął z urzędu Mihai Ghimpu jako nowy przewodniczący parlamentu. W oświadczeniu pożegnalnym Voronin nie krył niechęci do „następców” władzy, której się pozbywa: „Nie sądzę, by politycy, którzy byli w stanie zjednoczyć się jedynie po to by szkalować własny kraj i objąć główne urzędy, byli w stanie zaoferować społeczeństwu jakikolwiek pozytywny program”.

Opozycja odwdzięczyła się Voroninowi. Gdy ten na dobre pożegnał się z władzą i opuścił prezydenckie włości, prozachodni liderzy zarzucili mu, że ustępując ze stanowiska, zabrał z rezydencji pod Kiszyniowem... kury, indyki, a nawet krowę! (Trudno się dziwić, skoro mięso takie drogie. Wiedział, jakie ceny go czekają jako zwykłego obywatela).

W Mołdawii prezydenta wybiera parlament. W dwóch kolejnych rundach wyborów prezydenckich: majowej i czerwcowej parlament nie wybrał nowego przywódcy państwa. A dlaczego? Bo Partii Komunistów Republiki Mołdawii (PKRM) zabrakło... jednego głosu do wyboru jej kandydatki.

Koalicja ma 53 miejsca w parlamencie, który liczy 101 osób. To wystarczy, by zatwierdzić rząd – do tego potrzebne są 52 mandaty, ale już nie wystarczy, żeby wybrać prezydenta: tu już liczba mandatów sięga 61.

Dziś odbywają się drugie wybory prezydenckie w ciągu roku. Niestety prezydenta nie wybrano. 10 grudnia zapowiedziano ostateczne starcie (tych ostatecznych starć będzie jeszcze parę).

Gdyby prezydenta wybierali obywatele, z pewnością już byłby wybrany. Władza leży w rękach garstki, a ci nią szafują, myśląc o tym, co sami mogą zyskać, a nie o tym, że spychają własny kraj w europejski niebyt.

Jak się potem okaże, Mołdawia nie miała prezydenta jeszcze przez następne dwa lata. Jest tylko pełniący obowiązki, wszystko jest tymczasowe.

– Im to nawet na rękę – mówi Tolik. – Gdy wybiorą nowego prezydenta, będą zmiany i oni zostaną odsunięci od stanowisk, stracą źródło dochodu.

Skuteczną metodą perswazji przy konfliktach politycznych są strajki seksualne. Były one już z powodzeniem wykorzystywane podczas wielu protestów, m.in. dotyczących zasobów wodnych, polityki imigracyjnej, zmniejszenia przestępczości czy przyspieszenia decyzji politycznych. Pierwszy taki strajk opisał w trakcie wojny peloponeskiej w 411 roku p.n.e. Arystofanes w komedii antycznej *Lizystrata*. Bardzo skuteczna metoda. Zwłaszcza że Mołdawianie podobno są bardzo namiętni. Jednak w przypadku tego kraju bardziej skuteczne byłoby odcięcie od funduszy, a nie łóżka. Obecni politycy tkwią w marazmie, ale też i na stanowiskach, a ewentualny wybór nowego rządu zaowocowałby utratą poselskich gaży. Tak więc mają zerową motywację do pomocy swojemu krajowi. Tak, bo na kiszyniowskich stołkach kwitną interesy indywidualne, brak demokracji i wpływu obywateli na to, co się dzieje w rządzie. To powoduje, że ci pierwsi mają gdzieś los Mołdawian, a ci drudzy już dawno przestali interesować się polityką. A może właśnie o to chodziło? Im mniej się interesują, tym mniej węższą, *status quo* zachowane...

Demokracja nie jest doskonała, ale byłaby rozsądnym wyjściem z impasu. Byłaby, bo nikt nie pokusi się o zmianę konstytucji.

Stan tymczasowy jest w Mołdawii stanem stałym. Część młodych w Kiszyniowie nie zna rosyjskiego, starsi nie znają rumuńskiego, Gagauzi nie chcą się uczyć mołdawskiego, Naddniestrzanie też nie. Co dystrykt, to nowe obyczaje i język. Taki czas stagnacji pozwala parlamentarzystom brać pensje i trzymać stołki. Kurczowo, wbrew dobru kraju. Na arenie międzynarodowej Mołdawia niemal się nie liczy. W Polsce jedyne doniesienia ograniczają się do notek z PAP-u.

Mama Silvii była zbulwersowana, że nie uczyłam się w Komracie rumuńskiego.

– Ale tam się nie mówi po rumuńsku, tylko po rosyjsku! – po moim nawet nie wytłumaczeniu się, ale oświadczeniu była zasmucona i zła. Dla nich, mołdawskiej inteligencji był to cios. I podkreślmy, mołdawska inteligencja mówi, że nie zna mołdawskiego, ale zna rumuński.

– U was, jak zamkną zakład czy tną pensje, to wychodzą na ulice i walczą o swoje. U nas dowiadują się, że jest zmiana, że jest jak jest i idą do domów. Jak

jest praca to pracują, jak nie ma to nie pracują i nie pytają, dlaczego – wyjaśnia zaś krótko ojciec Silvii, pan Mosneaga.

Ot, Mołdawia. Tu wszyscy robią wszystko powoli. Nigdzie się nie spieszą. Nie należy się dziwić, że sklep zamkną wcześniej. Jeden klient więcej, mniej, to przecież biznes nie upadnie, skoro wszystko i tak leży.

Spółeczeństwo mołdawskie stało się amorficzną magmą. Socjalnie, życiowo, pogładowo, kulturalnie. Żyją, istnieją obok siebie, ale osobno, nie angażują się, bo nie mają tego w genach, bo nikt ich tego nie nauczył.

W Rosji o Mołdawianach mówi się: „Mamałyga nie kipi”. Spokój, łagodność, usłużność, brak wiary w siebie i swoich ziomków, dbanie głównie o swoje podwórko. Mało co ich interesuje, a najmniej polityka. Państwo mieszkańców Besarabii miało do niedawna ksywę „poczekalnia”, w której czekało się, jeśli nie na przewóz do lepszego świata, to choćby na bilet do niego.

Wielu Mołdawian zna na pamięć rumuńską legendę o jasnowidzącym jagniątku *Miorița* (co po rumuńsku dosłownie oznacza ‘jagnię’). Akcja dzieje się podczas wypasu owiec na halach. Bohaterów jest trzech: Mołdawianin, mieszkaniec Wołoszczyzny i Transylwanii, no i owce i psy pasterskie. Kiedy Mołdawianin śpi, dwóch pozostałych naradza się, że można się wzbogacić, zabijając go. Potem łup: owce i psy podzielą między sobą. Miorița ostrzega Mołdawianina o planach pozostałych i każe mu uciekać pod osłoną nocy. Ten jednak mówi jej, że woli niebios trzeba się poddać i jedyne, co robi, to przekazuje jagnięciu swoją ostatnią wolę: chce być pochowany koło swojego stada, a matce ma przekazać, że jest szczęśliwy, ożenił się i pasie owce*.

Ta legenda to pokaz mołdawskiej uległości i zgody na fatum. Bo w to wierzą. I nie zaprzeczają swej naturze. Mołdawianin to ktoś, kto pokornie zgadza się na wszystko, a milczenie ma wyssane z mlekiem matki.

* Dokładny opis rumuńskiej legendy *Miorița* zob. „Etnografia Polska”, Instytut Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2007, t. LI, z. 1-2, s. 116–117.





BYŁY NAJLEPSZE, CZY NIE BYŁY?



Dziś Pieti na lekcji zadzwoniła komórka.

– Jeszcze raz odbierzesz telefon na lekcji, możesz już nie przychodzić na język polski – powiedziałam.

Zrobiła się cisza. I już na żadnej z kolejnych lekcji nie usłyszałam nawet dźwięku SMS-a. Potem raz Dima cicho tylko powiedział:

– Pani Judito, pani to jest taka bardzo asertiw.



Ledwie Luda wróciła z dziećmi z Ukrainy, ruszyli na występy do Zielonej Góry. Swoją drogą, muszą mieć zdrowie, by tyle kilometrów w napchanej marszrutce przemierzyć, a potem wesoło kicać na scenie. Ale w końcu mołdawskie wino to samo zdrowie, więc i siły są.

Powrót Ludy z Zielonej Góry wyglądał jak przyjazd ciotki z Ameryki, kiedy w Polsce były kolejki. Bus odjechał, a Luda została na poboczu z torbami wypchanymi pętami kielbasy, baleronami, łakociami, serami... Stała tak z opuszczonymi rękami, pilnując towaru, a ja i Pan Sławek nosiliśmy te toboły do domu.

Luda miała, nie wiedząc czemu, bardzo zatrzwożoną minę, a dodatkowo widok stojących obok niej zapasów spowodował, że wybuchnęłam śmiechem.

– Czemu ty Judyta się śmiejesz? – zapytała Luda, patrząc na mnie zaspanych oczami.

– Dobrze, że już wróciłaś – powiedziałam tylko i wzięłam kolejną torbę, by zataszczyc ją do domu. I ja i Pan Sławek zmęczyliśmy się tym noszeniem.

Jak i sama Luda doszła już do domu, to opowiedziała, że dzieci z Komratu zajęły pierwsze miejsce.

Przez kilka następnych dni Wolewicze chodzili na siebie obrażeni. Luda mówiła, że spać nie może, a Pan Sławek rzucał nerwowe spojrzenia. Nie wiedziałam, o co chodzi, bo zwykle zgodni są ponad normę. Wreszcie pytam Ludę, co się stało, a ona ze łzami w oczach odpowiada, bo „Pan Sławek nie wierzy, że nasze dzieci były najlepsze”.

Tak, to mógł być jedyny powód, żeby poróżnić Ludę i Pana Sławka. Dzieci! No, żeby jeszcze ich, a to cudze. A może i nie. Te od tańców mówiły do Wolewiczowej per ciocia Luda. Prawie jak ich, a niedobry Pan Sławek nie wierzył, że „ich” dzieci są najlepsze.

To nie zmienia faktu, że Pan Sławek nie wierzy. Sytuacja stawała się ciężka. On nerwowo grał na komputerze, wyraźnie mu nie szło, ona w kuchni coś siekała i co chwila wychodziła z nożem, z zaczerwienionymi oczami i mówiła: „widzisz... no widzisz... On nie wierzy, że nasze dzieci najlepsze...” Pan Sławek nawet się nie odwrócił, a zwykle żywo reagował na każde chrząknięcie ukochanej Ludy.

Włączyłam komputer i zaczęłam szukać w internecie czegokolwiek na temat występu komrackich dzieci w Zielonej Górze. Niezawodny Youtube miał w swych zasobach występ dzieci. Zawołałam Ludę i Pana Sławka. Przybiegli i zaczęliśmy oglądać film. Dzieci tańczyły poloneza.

– Pokaż coś jeszcze! – zawołał Pan Sławek.

Był jeszcze film z sądeckiego.

I tak oglądali, a na twarzy Pana Sławka rysował się z każdą sekundą coraz szerszy uśmiech, na Ludy zaś duma i zadowolenie.

– I tyś mi nie wierzy! – wykrztusiła Luda.

Potem już cieszyli się oboje. Luda była szczęśliwa, że został dostarczony dowód na to, że dzieci z Komratu są najlepsze, a Pan Sławek był dumny, że jego żona tak ładnie wyuczyła dzieci.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że tam naprawdę nic nie zostało udowodnione. Na filmikach dzieci tańczą polskie tańce, owszem, ładnie wywijają rączkami i nóżkami, ale nigdzie nie ma mowy o tym, że zajęły pierwsze miejsce, że jakieś wyróżnienie, cokolwiek. Ale kto by się tam czepiał, ważne, że u Wolewiczów nastąpiła zgoda, a powietrze nie było tak gęste.



KIEDYŚ WRÓCISZ TU



Obejścia domostw trochę przypominają o tym białoruskim zamiłowaniu do świecidełek. Do srebrnego. Tam nazwy ulic na chatach świeciły, tutaj worki na śmiecie srebrne i złote.

Na każdym podwórku, w każdym domu nagromadzenie wszystkiego. Rzeczy stare, nowe, potrzebne i nie. Są. Nic się nie marnuje. Już po zmroku, gdy Gagauzi zapalają światło, widać, że na ich stołach jest wszystko: mikrofalówki, puszki, kosmetyki, samowary, narzędzia, jakieś druty, paski, kosmetyki. Jakby wszystko na opak, bez ładu, porządku. W każdym zakamarku stare łączy się z nowym. Po domu chodzą dziadkowie, małyse (czyli szkraby, „małyse” krzyczy się na małego wnuka i na małego psiaka) czy brzemiennie żony synów lub wnuków. W domach, w których przeszłość łączy się z przyszłością, gniotą się pokolenia, spotykają różne języki, międzynarodowe zwyczaje i małe przyzwyczajenia.

Komrat to miasto, którego nie powinno być: szare, zapyziałe, z rozwalającymi się drogami i chodnikami, prowizorycznie skleconymi blokami i chatami, sforami bezdomnych psów, dużymi, puszystymi kotami, kurami, perliczkami, targiem Budżak i fabryką wina. Jak tak popatrzeć na to miasto z boku, to można by pomyśleć, że zbudowało je ze trzech robotników. Żaden nie znał przepisu na beton, ale przypadkiem wpadło im w ręce trochę cementu, piachu i wody. Nie wiedzieli, jak to mieszać i w czym, no ale razem mieli w sam raz tyle, by zbudować byle jakie miasto, z byle czego. Zbudować Komrat. Stolicę Gagauzji.

Postsowiecka estetyka. Te dywany na ścianach. Jezus na makatce. Stare ziły wypełnione kukurydzą, arbusami, papryką, zaporozce, lady żiguli. W niedzielny

poranek w stolicy Gagauzji kogut pieje, kury gdaczą. Pranie sąsiadów rozwieszane na sznurach. To Komrat. Moje tymczasowe miasto, moje tymczasowe zadupie. Jak wszystkie mołdawskie miasta, jest okrutne, szare i zaśmiecone. I nikt tu nie mówi, że jest brudno. Na porządku dziennym jest porównywanie się do gorszych – tak, by stać wyżej.

– Z Ukrainy jak przyjeżdżają, to mówią, „ale u was czysto!” – opowiada Wasia z tańców.

Jedynym, który „przyznał” mi rację, był Wasia z Chirsovej. Kiedy skończył oprowadzać mnie po mieście, stanęliśmy na jego obrzeżach, a on powiedział: „a w tamtą stronę to nie nada smotrieć”, a tam było bezpieczne wysypisko i Jałpuh, prawdopodobnie najbrudniejsza rzeka świata.

Przez pierwszy tydzień czy dwa można się cieszyć, że tak tu swojsko. Co przechodzisz, to ktoś cię woła na obiad czy wino, koniaczek, bimberek. Jednak po pewnym czasie boli cię wątroba od wody, soku z winogron i samogonów. Problem w tym, że jak przestajesz pić, widzisz prawdziwą szarość obejść! Wszystko jest szare: domy, bloki, chodniki, płoty. Szare i rozwalone! Białe są tylko talerze satelitarne. Gdy liście opadną z drzew, z resztek orzeźwiającego krajobrazu nie ma już nic.

Jak na rasowego pesymistę przystało, od czasu do czasu, z większą lub mniejszą regularnością muszę sobie urządzić doła i inne harce. Napić się, powyć, ponarzekać, poutyskiwać na zło tego świata, jaki podły wiodę żywot i w ogóle, że jest tak, jak być nie powinno. Co ciekawe, w Polsce zdarza mi się to nader często, a tu proszę, w mieście, w krainie smutku i biedy niemal nie występuje. Czyżby odezwała się polska natura, że jak innym gorzej, to mi lepiej? W końcu nie taka ja zła Polka jak myślałam. Tradycja i kultura we krwi.

Jednak nadszedł i ten podły dzień. Przeżycie go w Gagauzji, w wynajętym mieszkaniu, w którym zostały pozostałości po polskich nauczycielkach, jest dość traumatyczne. Wyobrażcie sobie: macie roślego doła, zmanierowaną duszę, łeb jak jeden wielki odchył, dwa litry piwa, butelkę wina i chcecie rzucić wszelkimi pięknymi, rasowymi bluźnierstwami, wyuzdanymi przekleństwami, nieprzyzwoitościami i tymi polskimi, i lokalnymi, i wylać łzy wielkie jak krople rosy – niech już nastąpi oczyszczenie. A jak rzucać się światu w amoku, to przy tzw. odpowiedniej muzyce. Najlepiej takiej, co by dała ujście grzechom niejawnym i smutkom bolesnym. Napocznacie butelki, miksujecie, rośniecie w siłę smutku, otwieracie

szafkę z płytami i tu wasz „dramat”, wasza rzekoma depresja, wasze nadęte łąki, rozświetlone alkoholem oczy rosną i rosną patrząc na dyskografię... No to proszę państwa, w kolejności znajdowania: Czerwone Gitary, *Łódź – prezentacja gospodarcza, Przeboje przedszkolaków, Hej sokoły i inne biesiadne hity*, orędzie Kaczyńskiego, Majka Jeżowska cz. I, Jan Paweł II mówi, *Pięknie żyć. Śpiewają uczniowie Mołdawii*, podręcznik do nauki języka polskiego dla średniozaawansowanych – *Kiedyś wrócisz tu...*

Na domiar złego wraz z moim kacem, któremu towarzyszył tupot białych mew i dzikie skoki tak samo umaszczonej myszy, nad Komratem pojawiły się sfory czarnych ptaków. Latały całymi zgrupowaniami. Nagle ruszały z jakiegoś budynku i latały, latały, latały... po czym lądowały dokładnie w tym samym miejscu, z którego wyruszyły.

W Komracie jest dużo ptaków. Małe, czarne, szybkie. Jesienią robią okrażenia nad miastem. Siedzą sobie cicho na drzewach, a potem nagle zrywają się całym tumanem. Spuszczają ptasie kupy niemal wszędzie, ale nie na pomnik Lenina, który stoi w centrum, tuż przed Urzędem Gagauzji. Naprawdę. Ten pomnik zawsze jest czysty.

Najlepsze winogrona
to te najbliższe domu



Kiedy wracałam ze spaceru, zadziwił mnie widok nierzadki, ale zważając na temperaturę bliską zeru, dość wstrząsający: kilku mężczyzn nadal siedziało przy stolikach pod parasolami należącymi do speluny stojącej obok cerkwi. Rozluźnieni jak w ciepły wiosenny dzień.

To się nazywa determinacja.



Wasia pokazał mi jakąś knajpę w centrum, przy parku, dotąd nie znaną mi. Był wieczór. Siedliśmy z piwem i patrzyliśmy się na towarzystwo. Kelnerka postawiła przed nami talerzyk z tafelkami czekolady.

– Palisz? – zapytał Wasia.

– Nie.

– Dziwne, jak byłem w Polsce to tam wszystkie dziewczyny paliły – spojrział na mnie podejrzliwie.

Patrzyliśmy na trzech mężczyzn w średnim wieku. Jeden był bardziej zalany od drugiego, a drugi od trzeciego. Jeden śpiewał karaoke, drugi przygrywał na keyboardzie, trzeci tańczył – podnosił powoli rękę, trzymał ją nad głową w tym czasie miarowo przytupując i robiąc zgrabnie okrążenia. Potem nagle opuszczał rękę wydawałoby się zawisłą w powietrzu, pewnie stawiając ją na kościstym biodrze, które nierówno rysowało się pod materiałem spodni i sfałdowanej od harców koszuli.

– Ten pracuje w urzędzie, ten jest policjantem, ten... Przychodzą rozluźnić się – rzuca Wasia, który chyba nie pierwszy raz ich widzi.

W przerwach mężczyźni siadają, zarzucają ręce na ramiona kolegów, głośno mówią, jeszcze głośniejszą się śmieją. Sami ze sobą, z siebie. Panowie w średnim wieku. Bez młódek, bez kompleksów, bezpretensjonalnie.

Był środek nocy. Dochodziliśmy już na Sportivną, gdy nagle przed nami, na środku jezdni usłyszeliśmy jakieś jęki, okrzyki: „No stanął! Stanął!”. Hm. Popatrzyliśmy. Ja na Wasię, on na mnie, tak naprawdę niewiele widząc w tych mołdawskich ciemnościach, a tym bardziej, co czało się przed nami.

– Wasia?! To ty??? – rozległo się z ciemności.

– Ja? Kto mówi – zapytał Wasia, który najwyraźniej został rozpoznany po głosie. Zaczęliśmy zmierzać w stronę damskich głosów.

– Ej, to ty! – ucieszył się zaskoczony Wasia.

No proszę, grubo po północy, a tu tuż przed moim domem rozklapała się fura kuzynki Wasi i jej koleżanki.

Kuzynka Wasi jest prawnikiem, pracuje głównie w Kiszyniowie. Tym większe zaskoczenie, że po długim niewidzeniu nagle zjawia się w Komracie i to w środku nocy.

Do głównej ulicy było z 200 metrów, samochód ugrzązł pod górką, więc solidnie spociliśmy się pchając go.

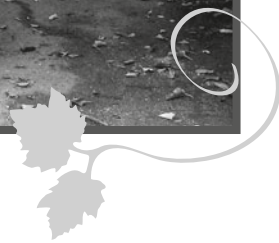
– Nie mógł wam zgasnąć za górką albo przynajmniej na niej? – sapał Wasia.

– Przepraszam, nie planowałam! – chichotała kuzynka.

Wreszcie upragnione wzniesienie. Kuzynka Wasi wskoczyła za kierownicę, a my zaczęliśmy pchać z jeszcze większą siłą. Maszyna zafurkotała raz i drugi, i trzeci, i wreszcie ruszyła! Biegliśmy za nią rozweseleni jak dzieciaki.

– Wskakujcie! – krzyknęła.

Przewóz drewna,
czyli łąda z gałęziami



Gdy już byliśmy wszyscy w środku, dodała gazę i z piskiem skręciła w Lenina.

– Jedziemy na kawę do Chirsovej!

Nikt nie zaprotestował, choć wszyscy wiedzieliśmy, że nikt w środku nocy nie łoł kawy, a jeśli już się taki znajdzie, to w Komracie jest o wiele większy wybór i kaw, i knajp.

Pojechaliśmy.

Chirsova choć ma winzawod, to straszna dziura. Trochę kiosków, parę brzydkich knajp, które bardziej przypominają sklepy z czasów PRL-u. Jest małowarowo, towary na półkach blade, parę stolików i już knajpa.

Wchodzimy do pierwszej, właściwie klubu. Dochodzi 1.00 w nocy, a połowa towarzystwa w oparach dymu papierosowego, młode twarze, 13, 14 lat. Co oni tu robią? Dlaczego nie śpią? Przecież rano muszą iść do szkoły.

Wychodzimy. Kuzynka Wasi podobno zna inne knajpy. Lepsze. Ta, którą obsta-
wiła, że najbardziej nęcąca, była zamknięta, w drugiej i trzeciej też pocałowaliśmy
klamkę. Powoli zaczęliśmy dokuczać dziewczynie, że tak naprawdę nie wozi nas
do knajp tylko jakichś bud.

Stanęliśmy w ciemnościach przy samochodzie, po czym w ciszy wróciliśmy do
auta i ruszyliśmy bez słowa na Komrat.

Dziewczyna była uparta i choć już przysypialiśmy, wywoziła nas na koniec
miasta do jakiejś minimalistycznej kawiarenki, gdzie jedynym towarzystwem
były dwie panie w średnim wieku, jedna w kapeluszu. No jak pić kawę w środku
nocy, to z klasą!

Kuzynka Wasi dużo mówiła, właściwie szczebiotała non stop o wszystkim, ale
o czym to było? Doprawdy żadnych informacji nie pamiętam. Strzeliłam herbatę
i poszłam spać.

Andriej, zięć Wolewiczów rzadko chodził na Kartę Polaka, ale jak już, to robił wokół
siebie szum. Głównie brakiem jakichkolwiek podstaw. Ale co tam, chłopak radził
sobie. To raz podwiózł mnie do Wolewiczów swoją ładą 007, puszczając *Biełyje*
rozy Jurija Szatunowa, to w połowie listopada rozpoczął z kolegą remont polskiej

klasy. I tyle w sumie go widziałam, bo takich dwóch robotników to ze świecą szukać. Już ani pracy nie skończyli, ani też Andriej nie dał rady przychodzić na Kartę Polaka. To przyszli malować, a tu farby nie ma, to wpadli podłogę kłaść, a tu woźnego nie ma, nie otworzył klasy, postali i poszli do domu. Biorąc pod uwagę standard klasy polskiej i tych gagauskich, mogli darować sobie ten remont – no, ale skoro Polska płaci, Polska poczeka.

Przeniosłam się do klasy mołdawskiej. To już zupełnie inny poziom: stare, brzydkie mury, stara tablica, stare szafki z małą liczbą książek, ale za to z wieloma świętymi obrazkami i sztucznymi kwiatami. Brak kredy, ciągle brudna i lodowata woda w wiaderku na moczenie gąbki.

Do grudnia w szkole nie było ogrzewania. Uczniowie przynieśli grzejniki, ale zanim klasa w miarę się nagrzała, był już koniec lekcji, a i mój zapach coraz mniejszy.



Następnego dnia wracaliśmy z Olegiem ze szkoły, nierównym chodnikiem, właściwie po omacku.

– Pani Judyto, ja mam takie pytanie do pani?

– Tak?

– Tylko niech pani nie pomyśli, że ja coś złego myślę, ale po co tu pani przyjechała?

O mało nie potknęłam się na ciemnej drodze.

– Przecież tu nic nie ma – dodał Oleg.





MORDERSTWO W CONGAZIE



Congaz (gag. Kongaz) ma 13,5 tysiąca mieszkańców. W „Księdze rekordów Guinnessa” zapisano, że to najludniejsza wieś na świecie. Przynajmniej taką była. Na pewno najwięcej jest tam Gagauzów, bo aż 95 procent mieszkańców wioski.

W ogóle wioski w Mołdawii, Gagauzji są o wiele większe niż w innych krajach. To wioski, a prawie jak miasteczka. To ewenement, biorąc pod uwagę, jaka mała jest sama Mołdawia.

Na terenie Congazu zarejestrowanych jest aż 300 mniejszych i większych firm, jest też 12 przedsiębiorstw przemysłowych, w tym oddział fabryki „Assen Tekstylija”, winiarnia „Tekka”, masarnia KSTEG, producent mebli firmy „Karif Mobila”, firma odzieżowa „Magvild”, piekarnie, maślarnia. Każdego roku Congaz obraca 100 milionami lei brutto, czyli około 25 mln zł*. Suma jak na mołdawskie warunki ogromna.

W tej wsi-mieście jest sześć przedszkoli, szpital, biblioteki czy teatr. Jest i oddział szkoły muzycznej z Komratu – bo w Mołdawii wszyscy potrafią na czymś grać. W prawie każdym domu jest telefon i gaz, a tylko w co drugim bieżąca woda.

Marszrutka do Congazu odjeżdża z dworca głównego w Komracie. Koszt 8 lei. Mija się brzydkie, odrapane wioski i nagle pojawia się wielka błękitna tafla. Jezioro! Potem dziesiątki, setki metrów stojaków z suszoną tabaką! No, co za widok! I to w Gagauzji. Krzyknęłam do kierowcy, by się zatrzymał! Na widok mej zdesperowanej miny zahamował z piskiem opon. Ruszyłam nad jezioro, na

* za: <http://ru.wikipedia.org/wiki/Кохраз> (j. ros.)

przełaj, przez pola suszącej się w żywym, rdzawym kolorze tabaki. Całe połacie nad czystym jeziorem.

Nagle od strony ulicy dobiegł mnie krzyk mężczyzny, który machał do mnie i wrzeszczał. Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Oddalałam się coraz bardziej w stronę tabaki, a on ciągle biegł wzdłuż ulicy, wymachiwał rękami i krzyczał. Ale na pole nie zszedł. Pomyślałam: „dziwak” i poszłam dalej.

Teren obok wyglądał na opuszczony, stała tylko jakaś ławka. Przy polach z tabaką spotkałam stado owiec i dwóch ich opiekunów. Jeden tylko mi się przyglądał, drugi krzyknął, bym zaczekała, bo chce porozmawiać.

Owczarz Pasza jest bardzo miły, wstydliwy. Nie uśmiecha się, bo jak wiosną łapał owieczki z kolegami, to jedna młódka tak wierzgnęła kopytkiem, że poszła mu jedyńka. Nawet prawie krew nie poleciała, tylko poczuł coś twardego w ustach. O mało się własnym zębem nie udławił. Potem go schował do kieszeni, a po pracy włożył do filiżanki i przykrył spodkiem. I tak leży już ta jedyńka cztery miesiące. Pasza ma ważniejsze problemy niż brak zęba. Żona już jest, turystów mało, a owcom wszystko jedno, czy pasterz ma wszystkie zęby.

Pasza opowiada, że były tu kiedyś fajne łagier, przyjeżdżała młodzież.

– O tam, za jeziorem, za tym białym domem. Tak, kiedyś to były łagier, nigdzie indziej nie można było otdachnuć tak jak tam! I pola z orzechami też były... – rozrzewnia się Pasza.



Owczarz

– A teraz co jest? – dopytuję.

– A teraz nie ma nic – odpowiada, opierając się o kostur i przymyka oczy.

Zaraz przed napisem „Congaz” stoi bar „Olga”. Wygląda trochę jak zajazd. Drewniane, lakierowane stoliki, krzesła, płotek, stacja benzynowa obok. Przy wejściu kuszą zdjęcia parujących talerzy z baraniną, ziemniakami, krewetki, panierowane papryki... Przy stoliku siedzi siedmiu rośłych panów. Podchodzę do baru prosząc o menu, kobieta odpowiada: tylko pizza. I czar prysł.

Po drodze spotkałam osła. Stał przywiązany do jedyne drzewa. Wokół pustka. Osioł nie mógł się ruszyć, nawet ugryźć trawy. Nie dlatego, że miał za krótki łańcuch, ale musiał chodzić dokoła drzewa, tylko w jednym kierunku, aż skończył się sznur, a on sam przytwierdził łeb do drzewa i tak stał smutny. Gdy zobaczył mnie, wystraszył się i odskoczył od drzewa. Traf chciał, że nadeszłam z odwrotnej strony jego zaplątania. Jak już odskoczył, przegoniłam go kilka razy wokół drzewa tak, że rozplątał się zupełnie. Mina osła wskazywała jednoznacznie, że jest zdziwiony, ile ma nagle swobody, jakie pole manewru do skubania trawy! Zadowolona z akcji ruszyłam dalej, rzucając mu ostatnie spojrzenie, i co? Osioł ruszył dookoła drzewa! Niemo patrzyłam jak kończy przechadzkę z chwilą, kiedy znowu skończył mu się sznur. I kolejny raz stanął. No osioł.

Kupiłam napitek z congaskiej fabryki wina i ruszyłam obejrzeć cerkiew.

Na przystanku w Congazie stał młody chłopak w kożuszk, bystrooki, garbaty. Prawie się na mnie obraził, gdy nie chciałam kupić od niego biletu. A było to tak: przyszedłam na przystanek, obejrzałam rozkład jazdy i rozejrzałam się, gdzie moja marszrutka. Podszedł do mnie ów młodzieniec i mówi: „sprzedam bilet, zapraszam” – wskazała jakaś kanciapę. Do tej pory kupowałam u kierowcy, taka była zasada, więc wzięłam go za natręta i podziękowałam. Stał i patrzył na mnie. Ja, że dziękuję. Pomyślałam sobie, skąd się wziął ten nadgorliwy naciągacz z garbem. – U kierowcy kupię – zrozumiał pan?!

Jego oczy były coraz większe.

Wchodzę do marszrutki, a kierowca pyta: – Dziewuszka, a gdzie bilet?

– To pan mi nie sprzeda? – dziwię się.

– Nie, w kasie się kupuje – spokojnie oświadczył.

No ładnie, kilkanaście kilometrów od Komratu, a już zupełnie inne zasady podróżnicze.

Kurcze, ale wstyd. Wracam do garbatego młodzieńca. Z ogromnym uśmiechem sprzedaje mi bilet, oznajmiając: „i co, nie miałem racji?!”

Okazuje się, że jego mała kanciapa w betonowym budynku to kasa dworcowa. Kilka metrów kwadratowych na krzyż, stolik z biletami. Obok prowizorycznie skłcone wyro, czyli twarda decha, a na niej trochę koców i skór z owcy i królika, żeby było miękko i ciepło podczas drzemki. Sprzedawca nachyla się, zapisuje kolejny



wydany bilet i w takiej pochyłej pozycji, gdy nie widać jego oczu, pozwała sfotografować liczydła.

Wracam z biletem do marszrutki, a tam dziewczyna, którą kilka dni wcześniej widziałam mizijającą się z Jurą. Tym razem siedziała na kolanach kierowcy i dość krewko obściskiwali się, z jazdą rękami tu i tam. Prawie jej nie poznałam, bo była tak ubrana i uszmiękowana (dnia poprzedniego była *sauté* i wyglądała jakby ktoś oderwał ją od garów, jak zniszczona życiem i troskami kobieta). Teraz była w pełnej klasie. Widocznie kierowca z marszrutki relacji Komrat – Congaz miał większe wymagania niż Jura.

Rzuciła mi uśmiech i zapytała: „co tam?” W zasadzie nie wiedziałam, co powiedzieć, bo nie zamieniłam z nią tamtego wieczoru nawet zdania. Byłam nawet lekko zażenowana. Nie wiedziałam, kto z kim i na jakiej zasadzie. Widocznie nie znam praw marszrutkowo-knajpiarskich obmacywanek Gagauzów.

Przytuliłam policzek do szyby i patrzyłam na jesienny krajobraz. Cieszyła mnie wyprawa do Congazu, choćbym w kółko miała jeździć tym mołdawskim busikiem. Kawalek jeziora, a jak kojąco wpływa.

Wieczorem w klasie opowiadam grupie z Karty Polaka, że byłam w Congazie i nad jeziorem.

Zrobiła się cisza. Oleg wytrzeszczył oczy.

– To, tooo pole przy jeziorze?! – zapytał.

Ja: – Tak.

On: – Tam zastrzelili tydzień temu człowieka, bo tam wchodzić nie można, pani niech już nam nigdzie nie wyjeżdża, ja w ogóle pierwszy razysłyszę, żeby tak kobieta sama jeździła... Pani Judyto, wszędzie są i dobrzy, i źli ludzie!

Przy kolacji u Ludy dowiedziałam się od męża Swietłany, policjanta, który prowadził śledztwo w Congazie, że nie zastrzelili, ale połamali ręce i nogi, a potem już do końca zaszlachtowali. I nie dlatego, że biegał sobie po trawie, ale że łowił ryby bez zezwolenia. I sprawcy nie pozostali bezkarni. Okazali się nimi: właściciel stawu i dwóch jego kuzynów. Traf chciał, że łowiący nadział się na nich kiedy, byli w ostrym stanie upojenia. I właśnie w tym stanie postanowili wymierzyć sprawiedliwość na własną rękę.

Nie zmienia to faktu, że wszędzie są dobrzy, i źli ludzie.



Na koniec dnia wpadam do „Vodoleja” na *zarionnyje*. Przy wyjściu stoi Jura z kolegami. Mówi, że jedzie do centrum, może mnie podwieźć. Wygląda trzeźwo i schludnie. Zgadzam się, ruszamy. Nagle zatrzymuje auto przy parku.

– Czemu się tu zatrzymaliśmy?

– Bo będziemy się całować – nachylił się ku mnie i przycisnął mą dłoń do swej gagauskiej piersi.

Takie akcje to były w amerykańskich filmach, lata 70. Beatlesi, jedziemy na skraj miasta i dajemy sobie buzi. Nic nie odpowiedziałam, za to wybuchnęłam szaleńczym śmiechem. Jura chyba się obraził, bo ruszył z piskiem opon.

Potem nadal niezniechęcony dzwonił wielokrotnie z pytaniem: – Jestem w centrum, to co zaprosisz mnie do siebie?

Jego natarczywość graniczyła z bezczelnością. Dostał kosza, więc zapytał, czy nie potrzebuję szofera. Za drobną opłatą może podwieźć do jakiegokolwiek miejsca sobie zażyczę.

No tak jak nie ma seksu, to może chociaż zarobi.





CAHUL, CANTEMIR



W Komracie nie ma kina. Było kilka lat temu. Ale Luda mówi, że jego prowadzenie nie opłacało się. Właściciele zwinęli interes i kina nie ma. A tu ciągle ktoś mówi o tym, żeby pójść na film, ale nie może, bo nie ma gdzie. Najbliższe kina to te w Kiszyniowie – odległość duża, ceny europejskie, rozrywka taka raz na rok. Jednak lepiej to brzmi: „obejrzałam film w kinie, w Kiszyniowie” niż „obejrzałam film w kinie, w Komracie”.

Albo można odwiedzić Cahul.

Cahul (gag. Kahul, pol. Kaguł) – miasto w dolinie Prutu znane z gorących źródeł i muzyki ludowej. No i ma kino! Jak dojechałam do Cahulu, rzuciłam się na nie jak wygłodniały pies. Magia ciemnej sali, wielkiego ekranu, zawsze pozwalała mi się odewać od rzeczywistości. Dwie godziny w innym świecie, dźwięki, migające obrazy.

Weszłam do kina. Z zewnątrz wyglądało bardzo wystawnie, jak wielkie centrum, coś na kształt multipleksu, bo miało trochę boksów targowych, sklepików z odzieżą. Pewnym krokiem idę do kasy. Zamknięta. Na małej kartce, małymi literami napisana informacja, że grają trzy filmy, same romantyczne gnioty trzeciej kategorii, i nie najnowsze, i dopiero od 18.00. Ostatnia marszrutka do Komratu odchodziła o 16.00. Oglądanie filmu równało się z pozostaniem na noc. Kino plus hotel oznaczałoby wysoką cenę za bardzo słaby film. Za kiepski wieczór.

Ale czego mogłam się spodziewać po 40-tysięcznym miasteczku na skraju Mołdawii.

Cahul od granicy z Rumunią dzieli zaledwie 6 kilometrów. Wokół pola, owczarze, ktoś wypala trawę w środku miasta – największego na południu Mołdawii:

uniwersytet o socrealistycznej budowie, sobór św. Archanioła Michała, teatr, no i dające Cahulowi prawo do nazywania się miastem kurortowym – sanatorium „Nufărul Alb” (Biała Lilia). Pod tą samą nazwą odbywa się tu co dwa lata letni festiwal folklorystyczny.

Obejrzałam teren targu. Przypominał ten komratowy. Poszłam na obrzeża, na jakieś pustki, rozlewiska, nikt nie wołał... Wsiadłam w marszrutkę do następnego miasteczka-nic: Cantemiru.

Niektóre miejscowości trudno zapamiętać, są jakieś takie nijakie. Taki jest Cantemir (wym. Kantemir) – mały, głuchy, szary. Taki zrobiony naprędce, pospiesznie, na chybcika. Prowizorycznie skonstruowane domy, obok puste pola po zbiorach. I chyba pierwszy raz widziany ugór. Późna jesień, bezlistna, mokra i wietrzna zabiera temu miastu namiastki, a może i nawet resztki wdzięku. Resztki życia. Widziany wiosną pewnie by zyskał barwę, zapachem, liście na wielkich drzewach przykryłyby architektoniczne niedostatki, bylejąkość Mołdawii. Teraz nic jej nie kryje, jest goła i wesoła. Jak ludzie, którzy tu żyją, grają, piją, śpiewają i cieszą się.

To, że miejscowość się „zaczyna”, zapowiada duża studnia, potem spory napis „Cantemir”, potem nic, dwa kilometry pustki, wreszcie pierwsze domy, znów



Obrzeża Cahulu

nic, cerkiew, studnia, nic, park, szkoła i willa z anteną satelitarną. I znowu nic. Przystanek autobusowy jest na samym końcu tego wypłowieńca miasteczka. I nic do niego nie prowadzi oprócz dróg pełnych wyrw, na których rzeżą marszrutki. Minęły lata, a one nie zmieniają się. Niby coś budują, ale te budowle tyle wytrzymują, co kolor na produktach z Chin.

Kiedy tu jechałam, byłam wkurzona, że mam ledwie półtorej godziny do przesiadki na marszrutkę do Komratu. Gdy ruszyłam prostą drogą na Cantemir i po wejściu do miasta nie zobaczyłam nic, zastanawiałam się, kiedy minie czas do odjazdu.

Zaczęłam szukać jakiegoś sklepu, gdzie rozmienią mi 200 lei (około 50 złotych), bo wiedziałam, że nie mając drobnych, biletu nie kupię i nie pojedę. Bo to mój obowiązek mieć małe nominały, nie kierowcy czy ekspedientki. Najpierw podziękowano mi w kiosku, a potem w każdym kolejnym sklepie: spożywczym, z bielizną, z duperelami... Pomyślałam, że to jak w Polsce – nie chcą rozmienić, trzeba najpierw coś kupić, a reszta wnet się znajdzie. Ale ta metoda też nie była skuteczna. Chyba naprawdę wydanie reszty z 200 lei graniczy z cudem – to w końcu banknot o największym nominale.

Udało się dopiero na stacji benzynowej. Wróciłam do kiosku z papierosami i poprosiłam o parę paczek mołdawskich. Kioskarka, chuda jak szczapa stara baba w chu-

ście, zaczęła liczyć na ogromnych liczydłach. Przesuwała duże brązowe paciorki po drutach i powiedziała cenę. Ja jej na to, że minus 3,5 leja i się zgadza. Znowu zaczęła liczyć i bardzo niekontenta przyznała mi rację. Zapłaciłam i zapytałam, czy mogę zrobić zdjęcie liczydłom. Uśmiechnęła się, że tak. Nie zdążyłam wyciągnąć aparatu, gdy zmieniła zdanie, schowała je za pazuchę, wyszczerzyła złote zęby i zaczęła kręcić głową, że nie, że nie!



Nie to nie. Trzeba było tak od razu.

Na marszrutkę czekała też starsza kobieta. Stała bez ruchu. Wreszcie przyjechał załadowany po brzegi bus. Wygląda na to, że to trasa szkolna, bo było pełno dzieciaków, jedno siedziało drugiemu na kolanach, miejsca na stojaka też pozajmowane. Co drugie przygrywało komórką albo jakieś lokalne piosenki albo Beyoncé. Komórki były nowoczesne i na pewno nie tanie, ubrania też miały modne, markowe. Czułam, jak wlepiają we mnie wzrok. Chyba dlatego, że nie miałam na sobie nic połyskującego, żadnych spineczek, lakierów, lakierków, różu. Odbiegałam jakoś od tutejszej normy. No i gagauskiego typu urody to ja nie mam.

Minutę później znowu było słychać dźwięk komórek, które zagłuszały gagauską muzykę puszczaną przez kierowcę. Marszrutka wypchana była po brzegi, na oko 30 osób. Mimo że głównym zadaniem kierowcy było trzymanie kierunku jazdy, to pamiętał, kto mu zapłacił za przejazd zaraz po wejściu do pojazdu, a kto nie, kto gdzie wsiadł i dokąd jedzie, i ile od niego żądać.

Po jakichś czterdziestu minutach pasażerów ubyło i kobieta, z którą stałam w Cantemirze na przystanku, przywołała mnie, bo znalazła i dla siebie i dla mnie wolne siedzenie. Byłyśmy z jednej cantemirskiej drużyny, więc miejsce



Najładniejszy obiekt
w Cantemirze. Park

zatrzymała właśnie dla mnie. Nawet podzieliła się ze mną kocem patrząc dobrotliwym, matczynym wzrokiem. To w tych ludziach bardzo mi się podoba – lojalność. Nawet taka wobec osób, które znasz chwilę, ale stanęły na twej drodze, na twoim terenie.

Nagle w marszrutce zrobił się harmider. Kierowca przywołał jednego dziecka do siebie, wręczył mu plik papierków, a ten nie pytając, o co chodzi, zaczął je zwinnie rozdawać wszystkim pasażerom. Obejrzałam dokładnie skrawek papieru, który i mi się dostał, to było nic innego jak bilet – stary i wymiętoszony. Dziesięć minut później wszyscy zaczęli podawać bilety do przodu, aż te wróciły do kierowcy. Nikt o nic nie pytał, wszyscy wiedzieli, jak się zachować, wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Nikt słowem się nie odezwał. Podobno stała policja i gdybyśmy nie mieli biletów, kierowca za każdego z nas dostałby karę. Dość dziwne jak na kraj, gdzie pieniądze idą z ręki do ręki i tak też się płaciło kierowcy. Dziwne, bo wcześniej dostałam tylko raz bilet, od garbatego sprzedawcy w Congazie.

Kwadrans po akcji z biletami kierowcę zatrzymuje policja. Ten wyciąga 20 lei, daje pieniądze, rusza, przeklina pod nosem i jedzie dalej. Też nikt o nic nie pyta. Nawet kierowca policji: „dlaczego?”, „za co?”. Ale po co pytać, przecież i tak coś znajdą. Nie zechcesz zapłacić 20 lei, to będziesz musiał dużo więcej. Gdzie jak gdzie, ale w Mołdawii sprawdza się powiedzenie „pokorne ciele dwie matki ssie”.

To musiała być jakaś podła trasa ten Cantemir – Komrat, bo kierowca cały się spocił z nerwów.

W Cahulu, Kiszyniowie i Czadyr-Łundze są szkoły tureckie, trzy na całą Mołdawię. Wstęp tylko dla chłopców. Internat, stołówka, interaktywne tablice, wszystkie zajęcia prowadzone po angielsku przez wykładowców z Turcji, wszystko na polysk, wysokie chesne – 1000 euro za semestr. Luda mówi, że jest tam pięć osób na miejsce. To najlepsze licea w kraju.

Po co taki kawałek edukacyjnego rajy w minimiasteczku wypełnionym po brzegi bezrobociem i brakiem perspektyw? Najwidoczniej Turcy wiedzą, gdzie inwestować i jak sobie wychować przyszłych pracowników.

– Po co to robią? – pytam Ludy.

– Bo ich ludzie nie są zdolni, uważając się za lepszych, często biorą ślub i płodzą dzieci we własnym krugu rodzinnym, potem rodzą się potomkowie, często chorzy na różne genetyczne choroby – tłumaczy Luda, która kilka lat pracowała w Turcji i mieszkała u tamtejszej, bogatej rodziny. – Dlatego inwestują za granicą. Jedna szkoła kosztowała ponad milion euro. Szkoda, że Polska nie inwestuje w szkoły w Mołdawii – zaczęła kwękać.

– Polska to i za bardzo nie ma funduszy na szkoły w Polsce... – odpowiedziałam.

Ale szybko ucięłam temat, bo Luda była innego zdania. Nie chciałam jej urazić. Weźmie to za złą monetę, że dzieci gagauskie niegodne zakładania drogich szkół przez Polskę...

– Mam kolegę, niedawno wyjechał do Turcji... – rzucam temat na inne tory.

– Ale tam nie ma kościołów – przerywa mi Luda.

No tak, jak Polak to katolik.

21 listopada mołdawska agencja informacyjna Moldpres podaje niepokojące wieści: „Produkcja wina w porównaniu z zeszłym rokiem zmniejszyła się dwukrotnie!” Otóż w okresie od stycznia do września 2009 roku wyprodukowano 280,4 tysięcy dekalitrów koniaku, co w porównaniu z tym samym okresem w 2008 roku dało 48,7 procent mniej! Zaś produkcja naturalnego wina z winogron spadła o 31,9 procent, a wina musującego o 28,3 procent. Mołdawscy eksperci wiążą spadek produkcji napojów alkoholowych z wpływem światowego finansowo-ekonomicznego kryzysu.





SPRZĄTANIE GAGAUZJI, CZYLI PIESKIE ŻYCIE



Psy z każdym dniem robiły się coraz bardziej nerwowe. Wcześniej przechodziły spokojnie obok, wręcz ufnie ocierały się o nogę. Teraz na widok człowieka odskakiwały albo opuszczały łby i szły obojętnie. Warczały, biegały bez celu. Miały nadwyżoną psychikę. W końcu każdego dnia traciły starych kumpli. Na widok aparatu, błysku, szmeru rzucały się nerwowo albo uciekały. Już dwa tygodnie przed „akcją” w Komracie ogłoszono, że właściciele psów mają zamykać pupili.

Zaczęli strzelać. Strzał za strzałem, aż drobne szyby zaczęły drżeć. Szybko wciągnęłam buty, zarzuciłam kurtkę, wybiegłam jeszcze z czapką w rękę. Na dworze wiało, sfory gawronów przelatywały nad głową, bo pogoda była psia, zimna, bura i słotna. Zaczęłam podążać za odgłosami strzałów. Nie spotkałam martwego psa, bo trupy od razu były wrzucane do przyczepy. Zapytałam jakiegoś gospodarza: gdzie teraz strzelają? Ale tylko popatrzył na mnie dziwnie, machnął ręką i kazał się nie interesować, bo jeszcze sama śrutem dostanę z tej ciekawości.

Mijałam kolejne zabudowania. Przy drodze grupki dzieci, kałuże, następne budynki. Gnałam przez zablokowane pola i łąkę, przez kładkę na stronę DSU już dość rozsierzona, bo miałam ubłocone buty i nogawki. A ciągle nie wiedziałam, skąd dochodzą strzały. Nagle zatrzymałam się... Mężczyzna miał wycelowaną lufę w kundla. Ten drżał, chował się, skamlał, warczał, jakby chciał jeszcze walczyć, do ostatniej chwili zachować resztki psiego honoru. Mocny, wprawny strzał uderzył w psi tułów, ten aż się wygiął i padł niemal od razu. Jak ledwie narodzone szcenię, które nie jest w stanie wstać o własnych siłach. Chwilę tylko kulił się, drżał.

Rozpruty kulą psiak jeszcze leżał, w oddali słyhać było skamlenie psów, wycie, przeraźliwy skowyt, smutek. Prawo natury. Prawo przetrwania.

Tego dnia nie zrobiłam ani jednego zdjęcia.

Porządkowi, ot zwykli faceci, co jakiś czas dostają strzelbę, trochę kul, wózek, i po sprawie. Pozamiatane.

W Mołdawii są dziesiątki tysięcy wygłodniałych psów, często chorych i rozdrażnionych. Nigdy nie lubiłam, gdy wracałam w nocy i w ciemnościach słyszałam psie charczenie, skowyt, albo jak któryś idzie za mną. Nigdy nie było wiadomo, czy jest wściekły i nie ugryzie w nogę, czy tylko chce poprosić o trochę jedzenia. Podobno zabija się je w jednym celu. Żeby nie zdychały całe pieskie życie. Znaczący, robi się porządek.

W Komracie wyposzczone, chude, skundlone psy chodzą całymi stadami. Ma się wrażenie, że jest ich więcej niż mieszkańców. W czasie krótkiego spaceru można zobaczyć kilkanaście sztuk. Żerują głównie koło śmietników. Pan Sławek mówił, że kilka razy w roku władze każą zamykać na kilka dni psy, bo wtedy jest polowanie na bezdomne. Łapie się je, a potem rozstrzeliwuje. A i tak jest ich ciągle dużo. Dlatego proceder jest powtarzany w miarę potrzeby. Schronisk nie ma, więc potrzeba jest dość częsta.



Odwieczna walka kotów i psów ma tutaj swoje siedlisko. Koty są tłuste, nakarmione, z pięknym futrem. Psy wychudzone, z przetłuszczoną sierścią, która owija się wokół ich ciała, dodatkowo podkreślając ich wątłość. Do kotów nikt nie strzela. Do psów strzela się regularnie.

To, że zbliżało się 15-lecie istnienia Gaguauskiej Republiki można było rozpoznać nie tylko po zmniejszonej liczbie bezdomnych psów, ale i po białych pniach młodych drzew. Wszystkie krzewy, bo jeszcze nie drzewa, rosnące wzdłuż ulic i uliczek zostały pomalowane wapnem. Taki stary, ludowy obyczaj. Przypomniało mi to babcię, potem mamę i ojca, którzy żeby chronić krzewy przed przymrozkami, bielili je wapnem. Za to na wiosnę pod pędzel szła też przydrożna kapliczka, zwłaszcza przy okazji kościelnych wydarzeń, jak choćby procesja.

Tu w Komracie pnie drzew były bielone, nie żeby chronić przed niską temperaturą, ale żeby po prostu ładnie wyglądały. Jak opalone nogi radzieckich pionierów w białych podkolanówkach.

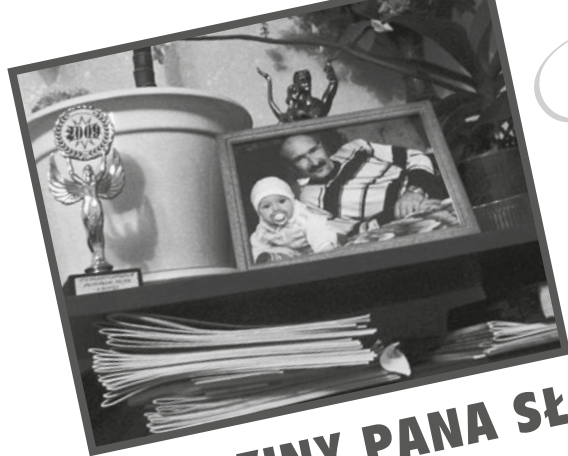
Akcja „sprzątanie miasta” obejmowała też zamiatanie brudnych ulic, usuwanie mniej lub bardziej śmierdzących zawartości koszy i śmietników.

Po powrocie z poszukiwań martwych psów miałam całe buty w błocie. Kiedy wróciłam do centrum, widziałam uśmieški na twarzach. Dziwiłam się, jak oni omijają to wszędobylskie błoto. Lata doświadczenia? Ich wychodne stroje są pastiszem elegancji. Karminowe, połyskujące usta, grube ciapy cieni na powiekach, futerka i czyste buty!

Przed domem stoi sąsiad, tępo patrzy na ogród przed blokiem.

- Malowanie drzew, sprzątanie, to tak przed wyborami tylko – mówi.
- A co będzie po wyborach? – pytam.
- Znowu bród, smród i bezdomne psy – odpowiada.





URODZINY PANA SŁAWKA



Zbieram się do wyjścia od Wolewiczów, pani Luda zatrzymuje mnie w progu i mówi: „Poczekaj!”, po czym woła Pana Sławka: „Powiedz jej!”

Luda patrzy na mnie: „Ja ci nie mogę powiedzieć, Pan Sławek to musi ci powiedzieć”.

Ale, że niby co? Stoję lekko zatrzwożona, przebłyскуje mi przez myśl, że już nie mogę przychodzić na internet, a może w szkole coś nie tak.

Podchodzi Pan Sławek z tajemniczą miną i mówi: „Jutro są moje urodziny. Zapraszam cię!”.

Idąc spać, biłam się z myślami, co też Panu Sławkowi wręcę. Co można wręczyć facetowi po 40., który pracuje w Urzędzie Gagauzji, w mieście, w którym prawie nic nie ma, a jak z niego wraca, to do końca dnia gra na komputerze?

Rano 24 listopada ruszyłam do fabryki z winem i kupiłam szampana z Chirsovej, prazdnicznowego. Potem przeszłam się od jednego zakładu fotograficznego do drugiego. Wcześniej na fleszkę zgrałam zdjęcie Pana Sławka z małym Edikiem. Wybrałam najmniej inwazyjną, drewnianą ramkę (prawie wszędzie były pstrokate, świecące, brokatowe, kiczowate).

Zaraz po lekcjach wsiadłyśmy ze Swietlaną do jej auta i podjechałyśmy najpierw po jej męża, a potem pod dom Wolewiczów. Oni weszli do środka. Ja jeszcze wpadłam do swojego mieszkania po prezent. Jak weszłam, już wszyscy siedzieli przy stole, a nierozpakowane prezenty leżały w pudełkach obok. I stało się. Pan Sławek spojrzał na mnie zawiadaczko i rzucił się otworzyć podarek. Zadowolony przeszedł się po pokoju i machał wszystkim przed

oczami oprawionym zdjęciem. Przyznam, i on, i mały Edik są wyjątkowo fotogeniczni.

Potem Pan Sławek połączył się przez Skype'a z synem, który studiuje we Wrocławiu, i powiedział: „Patrz, co dostałem!”. I już mogliśmy kontynuować biesiadowanie.

Czekało na mnie miejsce między dwoma nieznanymi mi mężczyznami. Okazali się celnikami pracującymi przy rumuńskiej granicy. Bycie unijnym granicznikiem jest miłą profesją. Jeden już zbudował dom, drugi buduje kolejny. Jeden nie ma żony, drugi ma od lat. Ponieważ wypłata jest spora, stęskniona żona czeka w Polsce i godzi się na to, by mąż jeszcze kilka miesięcy popracował.

Celnicy wpadli z żubrówką. Nie wiem, skąd ją wzięli, ale od polskiej różniła się wyblakłą nalepką – taka nasza żubrówka, ale etykieta w zgniłej zieleni. No i smak jakby inny.

Tak więc piłam żubrówkę z polskimi celnikami na urodzinach Pana Sławka.

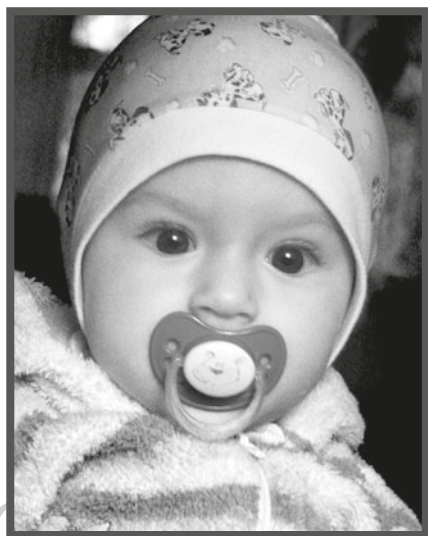
W końcu zebrało się wszystkim na toasty. No, prawie wszystkim. To kierowca Iliia podnosi kieliszek za zdrowie jubilata, to Swietłana, to teść córki Wolewiczów, Mariny... No i przychodzi kolej na samego jubilata. Wszyscy unoszą kieliszki w górę, Pan Sławek nie zdążył zacząć, bo przerwała Luda i mówi: „żeby nigdy nie zabrakło nam ludzi, którzy odwiedzą nasz dom, którzy pomogą w potrzebie, zawsze

wyciągną pomocną dłoń, będą przy nas, służą radą, my im pomożemy, oni nam, kiedy jest dobrze i kiedy nadejdą gorsze dni, kiedy...” I mówi, i mówi... Już łyzy wzruszenia są w jej oczach i nagle Pan Sławek wstaje i rzuca: „No to za Sławka!”, i wychyla kielonek.

Po drugiej stronie stołu siedział ojciec Andrieja z żoną. Cały czas spoziierał na mnie, aż czułam się nieswojo. To otwierał usta i już prawie przemówił, ale cisza. Przymierzał się tak kilka razy, w końcu nie wytrzymał i zapytał:

– Skolko stoit u was gaz?

Urodzinowy gość



1 grudnia do Komratu przyjechało „Comedy Street” z mołdawskiej stolicy. Widowisko kabaretowe, trochę żartów, trochę przygrywania, piosenek. Od razu widać, że Kiszyniów jest pomieszany językowo. Żarty były głównie po rumuńsku, co też jakoś specjalnie mnie nie rozbawiało. Wszak jak ma bawić, gdy brak znajomości języka. Kiedy po serii skeczów doszło do bezpośredniego kontaktu z publiką, przeszli na rosyjski. Kabareciarze zaproponowali narodowi, któremu los poskąpił prezydenta, zabawę: widownia zadaje pytania, a oni odpowiadają. I się zaczyna.


Ktoś z sali pyta: – Kiedy w Komracie powstanie pierwszy McDonald?

Kabaret odpowiada: – Kiedy w Mołdawii wybiorą prezydenta!

Siedzę po lekcjach przy komputerze, wraca Pan Sławek. Odburkuje coś Ludzie. Czyżby Wolewicze znowu obrażeni?

– Co się stało? – pytam Pana Sławka.

– Ona przyszła dziś do mnie, do urzędu i zapytała przy wszystkich: „gdzieś ty chodził? Czemu masz takie brudne spodnie?”. Przy wszystkich tak do mnie powiedziała!





MOŁDAWSKA WARSZAWKA



Do Grigorówki ruszyliśmy o 5.00 rano. Miały tam być spóźnione uroczystości z okazji 11 listopada, Narodowego Święta Niepodległości. Imprezę organizowało lokalne Koło Polskich Rodzin. Takie daty bardzo spajają nie tylko tutejszą Polonię. Nasze dzieciaki jechały pokazać kilka narodowych tańców, zaśpiewać pieśni i zadeklamować wiersze. Marszrutka była wypchana po brzegi i uczniami, i ich strojami. Nie można było nawet przybrać żadnej wygodnej pozycji, bo tak mało było miejsca i wszędzie te fatałaszkę, te wieszaki, coś spadało na głowę.

Koło 7.00 Ilija zatrzymał busa przy zakręcie, zaraz przy jakimś krzyżu. Wyglądało na stałe miejsce postojowe, bo każdy wiedział, w które krzaki ruszyć albo pod jaki murek. Luda rozdała wszystkim kanapki, potem wyjęła butelkę i zaczęła polewać herbatę. Zrobiłam szybki łyk i mało się nie zachłysnęłam... To było wyjątkowo mocne wino! Ale czemu o takim herbacianym kolorze? Dzieciaki popatrzyły na mnie jak na mięczaka, widocznie tylko ja nie znałam zwyczaju picia o świcie.

Kto miał się napić – napił, kto chciał skorzystać z pobliskich krzaków, skorzystał, i na leciutkim rauszu ruszyliśmy dalej.

Grigorówka jest na północy Mołdawii, niedaleko Bielic, w drodze na Kiszyniów. Kiedy wiek temu zakładali ją Polacy, nazwali ją... „Warszawka”. Wtedy żyli w niej niemal sami Polacy, teraz jest tam około stu rodzin z polskimi korzeniami. Większość byłej „Warszawki” w ogóle nie zna polskiego. Znają rosyjski, ukraiński.

W busie nawalone dzieci, które były w parach, dały sobie buzi, kto kogo mógł potrzywał za kolanko, reszta spała. Tuż przed Grigorówką, już w miejscowej

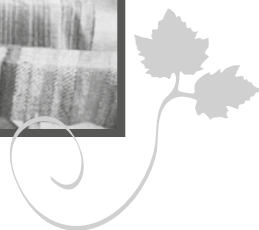
restauracji czekała na nas gorąca zupa, a na drugie schabowe. Tak, polski tradycyjny obiad w Mołdawii o 9 rano, na śniadanie.

Kiedy dojechaliśmy, dzieci pobiegły do sali, gdzie miały się przebrać. W drugim pomieszczeniu stały rzędy ławek niczym wstawione z kościoła – co było w sumie bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że nieopodal snuł się ksiądz proboszcz Daniel. Był i sołtys Grigorówki, pan Anatol i tutejszy policjant. Na ławkach siedziało już trochę starszych kobiet w chustkach. Z każdą minutą napływali nowi mieszkańcy wsi oraz Polonia z Bielic i Kiszyniowa.

Mała polskość za granicą to folklor, tańce ludowe, *O mój rozmarynie*, chleb i sól.

Najpierw na scenę wyszedł weteran II wojny światowej, Iwan Żelawski, któremu głos rwał się ze starości i wzruszenia, potem Konsul RP w Kiszyniowie, Aleksandra Czapiewska, która dziękowała przedstawicielom polonijnych organizacji, a zwłaszcza Paulinie Statkiewicz, przewodniczącej Koła Polskich Rodzin w Grigorówce.

Zaczął się koncert: dzieciaki z Komratu tańczyły poloneza, sądeckiego, mówiły wiersze, a dziewczyna z Vulcănești, która przyjechała z nami, śpiewała piosenki. Jak się potem miało okazać, nie spodobała się, bo po pierwsze była w nieodpowiednim stroju – czerwonej mini (występowała już w niej na wyborach Miss Gagauzji i Bóg wie, gdzie jeszcze), a po drugie, zamiast patriotycznych pieśni śpiewała jakieś



popowe kawałki po rosyjsku. Ludziom, którzy czekają na polskość jak głodny na kromkę chleba, nie podeszła jej twórczość, czuli się wręcz urażeni.

A potem na scenę wyszła i Luda, która dziękowała zespołowi, Polonii, pani Konsul, pani Paulinie... i podziękowała... nauczycielce języka polskiego Judycie, która specjalnie przyjechała z Polski, by uczyć gagauskie dzieci. – Pisałam listy i do ludzi w Polsce i do premiera Donalda Tuska, i nikt nie pomógł. Dałam ogłoszenie w internecie, że poszukujemy nauczycielki i napisała do mnie, i mamy nadzieję, że tu już zostanie z nami na lata. Spadła nam prosto z nieba, prosto od Boga... – snuła swą opowieść Luda.

Stałam pod ścianą, wszyscy skierowali wzrok na mnie, a ja myślałam, że zaraz się osunę: „to, przepraszam do mnie?? O mnie??? O co chodzi, przecież nie jestem żadną nauczycielką!! Ja tylko pomagam! Nie kocham gagauskich dzieci i jakie ogłoszenie?! Z jakiego do diabła nieba???!” Od jakiego Boga???!

Z każdym kolejnym rzewnym słowem Ludy, płynącym ze sceny, kiedy to dzieci obok stojące wpatrywały się we mnie, ja czułam jak ulatuje ze mnie powietrze...

Kiedy Luda raczyła wreszcie zostawić mikrofon i zejść ze sceny, zdenerwowana zapytałam: – O co chodzi? Co ty mówisz, o jakim ogłoszeniu?

Weteran Iwan Żelawski
schodzi ze sceny



Spojrzała na mnie zdziwiona: – No to, na które odpowiedziałas! Dziwne pytania zadajesz – rzuciła i zniknęła gdzieś w tłumie.

Poczułam, jakbym traciła tożsamość, z chorą świadomością, że tkwię w czyjejś historyjce, nie znam scenariusza, nie wiem, na co kiedy się zapisałam, realizuję czyjś plan, nie mając o nim pojęcia, a jak go nie zrobię, zawiodę... Przeraziłam się, bo rozumiałam teraz te wszystkie pytania rodziców dzieci: czy będę długo uczyć? Czy mogę spotykać się indywidualnie? Czy można przychodzić do mnie do domu na lekcje? Czy zrobię przedstawienie? Co z jasełkami? Zostałam pasowana na nauczycielkę jeszcze zanim się pojawiłam. Wszyscy tutaj o tym wiedzieli, tylko nie ja. Teraz ci ludzie oczekiwali ode mnie więcej i więcej i nie byli niczemu winni. Po prostu Luda narobiła im nadziei, a ja miałam być tą Nadzieją.

Po koncercie siadłam i tępo patrzyłam jak przebierają się dzieciaki, kłóć, który pokrowiec na czyj strój. „Pani Judito, czy może mi pani pomóc?”. Zasuńłam Julce suwak w sukience. „Dziękuję pani Judito!”. „Pani Judito, a pójdzie pani z nami...?”, „Pani Judito...” – szczebiotały dzieci.

No, a potem przy wielkim stole było picie i obżarstwo. Ciągłe ktoś podchodził i mówił, jakie mam dobre serce, że tu przyjechałam, a Ludzie gratulowali, że mimo przeciwności, że rząd Polski nie pomógł, ona sama znalazła nauczycielkę. Nie był to czas ani miejsce, żeby rozprawić się z Ludą, ale też nie po drodze była mi ta zabawa w udawanie.

– Mówię ci, że tu zostaniesz. To wciąga – opowiada mi Staś, który w Bielcach uczy polskiego.

Potem podchodzi i konsul, i sołtys, i policjant, wszyscy gratulują mi odwagi i chęci. Pan Sławek nakłada mi kolejne kawałki mołdawskich przystawek, Staś polewa, policjant wychyla. Popatrzyłam na niego i zrobiłam to samo.

Jak się czuje taki sceptyk poklepywany za coś, czego nie zrobił, to tylko on może powiedzieć.

W podróży powrotnej mimo nawoływań i zachęceń nie wyszłam na żadnym postoju, na żadne picie i podskoki, miałam wszystko gdzieś, i nie miałam zamiaru tego ukrywać.

Już Komrat. Dzieci wybiegły zapalić papierosy, inne na wino i siusiu, jeszcze inne, abstynenckie pognały prosto do domu. Stoję na zaśmieconym chodniku,

niemrawo gapiąc się na rozbawioną resztkę. Zagaduje mnie dziewczę, które śpiewało w Grigorówce:

- A jak ty masz na imię?
- Judyta.
- O gospodi, a czemu tak?!
- Bo jestem z Polski.

Zrobiła minę jakby bolał ją brzuch, a potem żeby wyjść z opresji, poprosiła o numer telefonu. Nastąpiła wymiana. Miała tylko numer stacjonarny do rodziców – miałam zadzwonić. Jak się potem okazało, naszła mnie taka chwila tydzień później, odebrała jej matka, na moje imię zareagowała tak samo jak córka. W końcu ją poprosiła do słuchawki. Ta długo szczebiotała jak jej miło, że zadzwoniłam. Obiecała dać znać, jak będzie w Komracie. Nie zadzwoniła. Takie są kobiety.

Wróciłam do domu, dorwałam się do internetu sprawdzić, gdzie jaki znak dałam, że odpisuję na jakiegokolwiek ogłoszenie, o co chodzi? Odgrzebałam stare maile.

Pierwszy mój mail do Ludy z 8 września 2009 r.:

„Pani Ludmiło,

piszę do Pani, jak sądzę, dość niecodziennego maila. Zacznę od tego, że nazywam się Judyta Sierakowska i jestem dziennikarzem »Przekroju«, a właściwie niedługo już nie będę, bo pracę w tygodniku kończę z końcem września. Właściwie już jestem wolna. Teraz będę miała przerwę w pracy, jeszcze nie wiem jak długą, czy będzie trwała ona kilka miesięcy, rok, a może dłużej. I wybieram się do Komratu.

Dlaczego? Bo chcę pożyć w innym miejscu, z inną kulturą, z innym językiem, właśnie tam gdzie Pani, czyli w Gagauzji. Nie jest to jakiś mój wybrzyk, bo długo zastanawiałam się gdzie chcę pojechać.

Najbardziej zaskoczył mnie w Komracie tygiel kulturowy, nie wiem czy gdziekolwiek na świecie jest tyle skupionych narodowości jak tu, na tak małym obszarze. (...)”.

Itđ. itd. grzeczności, dziwności

Luda do mnie (17 września):

„Witam Judyto!

Koszt mieszkania wynosi (...) za miesiąc plus usługi za wodę, prąd, gaz, jest możliwość związku telefonicznego. Internet można załatwić bezpłatnie.

Dojazd albo pociągiem z Warszawy czy Przemysła do Kiszyniowa potem autobusem z dworca Południowo-Wschodniego do Komratu (100 km), drugi wariant (tańszy): do Lwowa (jakimkolwiek transportem) dali autobusem do Kiszyniowa i dali autobusem do Komratu, można przez Czerniowcy – Kiszyniów.

Ale najtańsze to do Przemysła, przejście graniczne na piechotę, do Lwowa autobusem, dali autobusem do Kiszyniowa, dali autobusem do Komratu*.

Pozdrawiam

Ludmila”

Ja: „Mam jeszcze jedno pytanie: czy lepiej zabrać ze sobą do wymiany euro czy dolary? pozdrawiam j”

Luda: „Obojętnie. EURO lepiej ze dollar wciąż spada i spada. Można przyjechać z karta bankowa.

Pozdrawiam”

Znowu ja (22 września):

„Witam,

(...) A jak to mieszkanie wygląda? Rozumiem, że to jest po prostu jeden pokój z kuchnią i łazienką?

Wygód specjalnych nie potrzebuję, na miejscu chcę jak najwięcej przebywać z ludźmi, mogę też pomóc uczyć dzieci polskiego. Czy to prawda, że Pani córka jest w Komracie? (...)”.



* Do Mołdawii tanie linie lotnicze nie latają. Więc jak ktoś nie chce zbankrutować, trzeba się thuc przez Ukrainę albo Słowację, Węgry i Rumunię.

Dalej zapytałam jeszcze Ludę, czy życzy sobie coś z Polski, a ona napisała: „Nam potrzebny męskie kapelusze 8 sztuk dla tańca lubielskiego”, na pytanie, jakie to kapelusze, odpowiedziała: „O tym wie nasza córka, znamy tylko ze słomy, a więc trzeba pytać”. Zamówienie dość egzotyczne. Ale te kapelusze, ta pomoc w nauce (propozycja z cyklu „mogę pozmywać naczynia, ale i tak wiem, że nikt mnie o to nie poprosi”), to poznawanie kultury, że to niby były jednoznaczne z odpowiedzią na ogłoszenie????!! Nawet nie mam pojęcia, gdzie je zamieściła, o ile zamieściła. Jakiej treści? Dla niej było proste, że jak już jedzie jakieś dziewczę z Polski, to na pewno dlatego, że ona o to prosiła. Wpisałam się w jakiś czeski film w scenerii polsko-mołdawskiej. I trochę za długo trwa, by móc gładko go przerwać.

Musiałam to wszystko przemyśleć, znaczy napić się.

Skołowana chwyciłam za telefon, zadzwoniłam do Jarka. Był to już przedostatni dzień jego pobytu w Komracie. Powiedziałam: idziemy pić. No i poszliśmy. Do „Vodoleja” oczywiście. Poskarżyłam się mu jak dzieciak. Słuchał i rozumiał. Najzabawniejsze, że i on wiedział o tym słynnym ogłoszeniu. No, ale jak mógł mnie powiadomić, gdy kilka dni temu poznał mnie, przeświadczony, że istotnie jestem nauczycielką.

Zaczęły się męczące dni. Luda siadła naprzeciwko mnie – ja na taborecie, ona na taborecie, ze łzami w oczach powtarzała: „co teraz z naszymi dziećmi?”

– Ale dzieci cię tak lubią! – Luda w kółko.

– Luda, ale ja nie mogę tak codziennie bawić się w wolontariusza, bo muszę się do tych lekcji przygotowywać, ich poziomy są tak zróżnicowane, to pochłaniania za dużo czasu – mówię. Luda nie rozumiała.

– I nie zrobisz z nimi jasełek? – zapytała patrząc mi głęboko w oczy.

Siedziałam przed nią jak zbity pies, ale nie, nie byłam aż tak znudzona, żeby codziennie być Konopielką, w międzyczasie próbować zarabiać na życie, a to wszystko w imię misji nauki gagauskich dzieci. Nikt z nich nie zapytał, z czego żyję, były tylko oczekiwania. Chcesz pomóc chwilę, a ktoś żąda poświęcenia mu lat. Przesadzili!

Włożyłam kurtkę, nasunęłam czapkę prawie na oczy, bo trudno mi było mierzyć się z proszącym spojrzeniem Ludy. Dobrze, że nie jestem facetem, bo bym

ciągle miękła na widok takiego wzroku. A jako kobieta, po prostu wolę zwać, żeby choć chwilę zdjąć go z siebie. Rzuciłam więc „dobrej nocy”, Luda odpowiedziała miękko, płaczącym głosem. Prawie wybiegłam, tak mi się spieszyło. Poszłam na długi spacer, co chwila potykając się o te pieprzone, wszędzie wystające płytki i dziury, i jeszcze bardziej wkurzając się niż znajdując spokój, którego potrzebowałam.

Bardzo chciałam pomóc, a jednocześnie nie byłam w stanie, nie przekwalifikuję się nagle, a dzieci potrzebują solidnego, regularnego nauczania metodyka. Że też musiały się urodzić na takim zadupiu, gdzie o wszystko trzeba się dopraszać! Powiedziałam Ludzie, że doprowadzę do egzaminów grupę na Kartę Polaka, ale z dziećmi nie dam rady. Luda najbardziej ubolewała właśnie nad nimi.

Po tygodniu buntu, że nie będę uczyć, i włóczenia się po Mołdawii, przyszłam do Ludy, siadłam przy komputerze i zaczęłam pisać listy, do znajomych dziennikarzy zajmujących się szkolnictwem, do Ministerstwa Edukacji, do Wspólnoty Polskiej. Napisałam, jaka jest sytuacja, że dzieciaki potrzebują nauczyciela, zapytałam o radę, co zrobić, by go przysłali. Im więcej maili wysyłałam, im więcej dostawałam podziękowań, że robię dobrą pracę, że to patriotyczne, ale... nie ma pieniędzy, nic nie można zrobić, tym bardziej rozumiałam Ludę i jej niemoc.





DO GIURGIULEȘTI PRZEZ VULCĂNEȘTI, CZYLI JASNOWIDZĄCA MARIA

11 grudnia. Mrozu jeszcze nie było, ale w marszrutce o ósmej rano przy każdym słowie para buchała z ust. Niewyspana zwinęłam się w kłębek w celu uskutecznienia drzemki, ale szczebiot bab w chustach i ciągłe podskoki marszrutki na nierównej drodze skutecznie mi to uniemożliwiały.

Na pierwszy rzut oka Vulcănești jest ładniejsze niż Komrat, ale może to ta atmosfera przed rocznicą Autonomii: ciągle ktoś zamiata. Zgarnięte liście, czyste samochody, wypucowane okna, przyszyrzyżone trawniki, drzewa. Muzeum stoi w pięknym parku. Nawet budynki wydają się inaczej zbudowane, jakby ładniejsze. No i kury w tym mieście jakieś okazalsze, a może tylko spasiono na okoliczność święta.

Wygląda na to, że w całej Gagauzji została wprowadzona akcja „czyste miasto”, zwiastująca zbliżające się 15-lecie Autonomii, bo na każdym rogu można było spotkać sprzątacza z wielką miotłą albo z grabiami usuwającego z chodnika jesienne liście.

Na drzewie wisało ogłoszenie. Zdjęcie ciemnowłosej baby w chuście i napis: jasnowidząca Maria: „wróży, pomaga pozbyć się problemów, rozwiązuje kłutwę bezzenności, rodziny i pary, przeprowadza rytuał na pomyślność w biznesie”. Potem jej adres i numery telefonów: stacjonarnego i komórkowego.

Jak w każdym mołdawskim mieście, tak i tu nie ma nic szczególnego. Wał Trojanów – mała kupka gruzów. Nie wiem, czy bardziej zadziornie, czy impertynencko nazywana wałami.

Na wczesny obiad poszłam do restauracji reklamującej się jako gagauska. Jak na lokalną knajpę, dość atrakcyjna, jasna. Dekoracja stylizowana na pole kwiatowe:

grube witki osadzone jedna koło drugiej, a między nie powtykane słoneczniki. Na dobry początek drogi zamówiłam *ciorbę de miel*, zupę na baraninie, sytą, tłustą, rustykalną, gęstą ciecierz z mięsem. Jakby tego było mało, zrobiłam kolejny krok w zaprzyjaźnianiu się z mamałygą i zamówiłam *tokana z garnirom* – czyli wieprzowina, mamałyga, bryndza i śmietana na jednym talerzu. Chciałam dobrze, a wyszło jak zwykle. Kawalki świni były suche, a mamałyga bez smaku.

Patrząc na mapę. Droga do Giurgiulești to około 40 km, przez Cahul to spory skok w bok i wydłuża się do 90 km. Nie widziałam sensu jechania na okrężkę... Nie wiem, dlaczego, bo to była jedyna opcja komunikacyjna – z Vulcănești do Giurgiulești nie jeżdżą autobusy; ale ktoś tam musi jechać! Choćby autem!

Ruszyłam drogą prowadzącą za miasto. Było coraz mniej domów, w końcu zniknęły i pojawiły się same pola, owce i pasterze. Ci zamiast na zwierzęta patrzyli się na mnie – pustą drogą mógł przecież iść tylko głupiec albo turysta, też najpewniej idiota. Patrzyli więc jak na pół-wariata, który ruszył drogą donikąd. Nawet nie próbowałam ich zagadać, bo wiedziałam, że jedyną odpowiedzią będzie: „tutaj nikt nie jeździ!”.

Dobrze, że nikogo nie słuchałam, ledwie podniosłam rękę zatrzymała się osobówka. Nie jechali tam gdzie ja, ale powiedzieli, że siedem kilometrów podwożą. Jak powiedzieli, tak i zrobili. Zatrzymali się przy skręceniu na Giurgiulești. Akurat



z prostej drogi skręcało tam jakieś auto, więc „moi” nagle zaczęli machać na nie. Samochód zatrzymał się, a ci co mnie podwieźli, zapytali: „weźmiecie dziewczuszkę do Giurgiulești”. Odpowiedzieli: „weźmiemy”!

Wszystko uzgodnili za mnie. Nawet nie zdążyłam się odezwać. Tak działają Mołdawianie.

Mężczyźni w małym aucie byli po trzydziestce i nie byli zbyt rozmowni. Właściwie to nie mówili prawie nic, przyglądali mi się tylko w lusterku. Po paru minutach skusili się na zadanie kilku standardowych pytań: Ile w Polsce stoi gaz? Po ile jest wędlina? No i co ja tu właściwie chcę zobaczyć, skoro tutaj nic nie ma?

– Jadę popatrzeć na Dunaj – odpowiedziałam.

Okazało się, że południe kraju to jedno z niewielu miejsc, gdzie w grudniu można podziwiać takie widoki, jak pasterze z owcami, małe wzniosłości terenu, jeziora. Droga z Vulcănești do Giurgiulești niby prosta, ale wiję się jak niesforna żmija.

– Gdzie twój pacan? – nagle zapytał kolega kierowcy.

– Dobre pytanie – odpowiedziałam. Zawsze ono – standardowe pytanie, dlaczego podróżuję sama, bez męża, chłopaka, jakbym była jakaś niepełna. A to, że tu pieszczotliwie mówią na narzeczonego pacan, dodawało temu pytaniu absurdu.

Podobno miałam dużo szczęścia, bo właściwie nikt tą drogą nie jeździ, choć jest dwa razy krótsza niż ta przez Cahul. Rzeczywiście nikt nas nie mijał. Wjeżdżaliśmy w Slobozia Mare, gdy kierowca zahamował tak, że wszyscy poleciliśmy na szyby, a potem wgnietliśmy się w siedzenia. Mężczyźni siedzieli ze spuszczoneymi głowami, gapiąc się na nogi.

– To przynosi nieszczęście, to przynosi nieszczęście, nie patrz... Śmierć przyciąga śmierć – chłopakom nie było do śmiechu.

W kondukcje szło jakieś 50 osób, na przedzie mężczyźni z krzyżem i chorągwią, potem pop, zaraz za nim niesiono trumnę. Zatrzymali się, jak na ironię, na wysokości naszego auta.

– Błać! – zaklął kierowca.

Mężczyźni postawili trumnę na drodze, a chyba wdowa podłożyła pod nią jakiś materiał w woreczkach. Pop przeżegnał się, poświęcił trumnę i ruszyli dalej. Cała gromada wyglądała jakby wyszli z domu w tym, w czym stali, oderwani od pracy,

w kurtkach adidasa, zniszczonych spodniach, czapach. Pierwsza z brzegu pulchna niewiasta miała na sobie obcisły męski sweter i byle jakie spodnie – jakby żywcem wycięta ze spotu wyborczego Kononowicza. I tak nas mijali na tym feralnym zakręcie na tle wałów.

W dwie trzecie drogi samochód zaczął prosperować jako taksówka (zapewne spore znaczenie miał fakt, że nic tędy nie jeździ). Auto zatrzymywało się w jednej wiosce kilka razy: raptem kilometr podrzucili jakiegoś chłopca, na następnym weszły dwie baby w chustach, które świergotały po tutejszemu, potem pojawił się następny chłopak, a na końcu matka z dzieckiem. Aby i te kobiety, i matka miały dość wolnego miejsca, wzięłam na kolana torbę z ciastkami, która była rzucona na tylne siedzenie. Jako pasażer na dłuższym etapie podróży czułam, że mam obowiązek się tym wszystkim opiekować.

Podrzucili mnie pod samą granicę, choć wcale nie była im po drodze, ba, wręcz tłumaczyli, że dalej to już przejście graniczne Bălți, i nie mogą wjechać. Wygrzebałam z plecaka pieniądze i chciałam im wręczyć, ale stanowczo odmówili: „Od ładnej dziewczyny nie weźmiemy. Nigdy!” – zaparli się. Czy od brzydkiej by wzięli albo średnio ładnej? Nie wiem. Umówmy się, że po prostu chcieli być mili.

– Szczęścia, szczęścia – odpowiedziałam i ruszyłam już samotnie.

Przy okazji pomyślałam, jak absurdalne byłoby podróżowanie z pacanem, o którego tak wszyscy pytają. Pewnie nikt by się nam nie zatrzymał, pewnie byłabym wtedy wyjątkowo brzydka.

Zaraz przy granicy mołdawsko-rumuńskiej stała stacja benzynowa. Odbywał się jakiś przeładunek, tankowanie, mnóstwo facetów. Gdy wyjełam aparat, zbiegli się wszyscy z pytającymi minami. Powiedziałam, że chcę tylko sfotografować Dunaj. Moja mina jednoznacznie wskazywała, że nie kłamię, patrzyłam na rzekę jak wyposzczony pies na kość. Jeden z nich powiedział, że najlepsze zdjęcia to można zrobić z dachu, bo ciekawsza panorama. Nie powiem, żebym się z nim nie zgodziła. Podsadzili mnie, pomaszerowałam po dachu i zepsuł mi się... obiektyw. I tyle było ze zdjęć. Po dachu chodziło się przednio. Tyle że zimno, bo grudzień. Śniegu nie było, ale wiało niemilosiernie.

Przeszłam jeszcze pustą drogą z Dunajem w tle do granicy mołdawsko-ukraińskiej, gdzie była następna celna zona i właściwie nic poza tym. Temperatura wahała się pomiędzy stopniem a dwoma ciepła.

Giurgiulești to najdalej na południe wysunięta mołdawska miejscowość. Tutaj Prut kończy swój bieg i wpada w Dunaj. Do małego, mołdawskiego Giurgiulești przytula się i kawałek Ukrainy, i kawałek Rumunii. Taki trójstyk mołdawsko-ukraińsko-rumuński. Wyglądają jak kawałki różnych ciast na plastikowej tacy, którymi ciotka obdarowuje biesiadników zaraz po urodzinach. Te z masą kleją się do tych suchych. Nie pasują do siebie, ale są blisko, każdy kawałek z innego domu.

Mołdawia jest jak biedna ściśnięta sierotka pomiędzy dużo większymi i mocniejszymi od niej sąsiadami. Nie ma gór, nie ma własnego gazu, do niedawna nie miała dostępu do słonej wody. Tu, w Giurgiulești rysuje się kawałek przyszłego bogactwa Mołdawii. Dostęp do morza! Do przewozu, do eksportu! Giurgiulești to nie dość, że jedyny mołdawski port, to jeszcze o znaczeniu międzynarodowym. Dzięki Giurgiulești, choć bez linii brzegowej z morzem, Mołdawia jest krajem morskim!

Giurgiulești to taki ewenement, pewnie nikt by o nim nie usłyszał, gdyby w 1999 roku ówczesni prezydenci, Mołdawii, Petru Lucinschi, i Ukrainy, Leonid Kuczma nie podpisali protokołu uzupełniającego o wymianie strategicznie ważnych odcinków południowej granicy (został on zatwierdzony przez komunistyczną większość parlamentarną w 2001 roku w Kiszyniowie). Na jego mocy Mołdawia dostała od Ukrainy 450 metrów wybrzeża Dunaju, sama w zamian oddając Ukrainie odcinek o długości 7,77 kilometra drogi łączącej Besarabię z Odessą (kawałek spajający południowo-zachodnią część Ukrainy z obwodem odeskim przez terytorium Mołdawii). Następnie ruszył wieloletni proces, najpierw zatwierdzania umów, potem wdrażania, rozbudowy, powstały terminale: naftowy, zbożowy i port pasażerski z bezpośrednimi kursami do Stambułu. Na inwestycje w dunajski port poszło około 300 mln euro, a to niewiele jak na fakt, jakie korzyści ma Republika Mołdawii z dostępu do Marea Neagră – Morza Czarnego.

Słabiej wyszli na tym Ukraińcy, bo nie dostali jeszcze zgody na eksploatację drogi. A jeszcze gorzej jest mieszkańcom wioski Palanca, przez którą przebiega szlak komunikacyjny na Ukrainę. Ta przez brak zgody na korzystanie urządziła sobie w Palance strefę graniczną (Palanka-Majaki). I co z tego? A to, że mieszkańcy Palanki codziennie chcąc choćby przejść na drugą stronę drogi, na swoje pole, działkę... muszą nosić ze sobą paszporty! Nie mogą też prowadzić jakże popularnego i dochodowego tam handlu przydrożnego. Zrozpaczeni

Palańczanie oskarżają władze Mołdawii o zdradę i sprzedaż ojczystej ziemi! I pomstują, że mniej kłopotu jest z dostaniem się z Giurgiulești do Sztambułu niż na własną działkę*.

Wykocypowałam, że wrócę w ten sam sposób jak się pojawiłam – na stopa. Wysłałam więc na główną ulicę na obrzeżach Giurgiulești i zrobiłam powtórkę z rozrywki. Zatrzymanie samochodu poszło równie sprawnie jak kilka godzin wcześniej. Mężczyzna w średnim wieku rozmawiał przez telefon, przerwał tylko, by poinformować, że do Vulcănești nie jedzie, ale może mnie podwieźć do krzyżówki ze Slobozia Mare i kontynuował rozmowę.

Kiedy zatrzymał się w umówionym miejscu, skinął, żebym pocze kała aż skończy rozmowę. Zaczekałam, a on zapytał mnie, po co chcę jechać do Vulcănești. Gdy usłyszał, że to tylko miejsce tranzytowe, by sprawnie przesiąść się do Komratu, mało nie zszedł, tak był zdziwiony, i rzekł:

„Proszę pani, jest 15.00, tą drogą prawie nikt się nie porusza. Może pani wysiąść, ale jestem pewien, że nikt dzisiaj tędy nie będzie jechał. O ile rzeczywiście o 16.00 jest z Vulcănești do Komratu autobus, jak pani mówi, to gwarantuję, że pani na niego nie zdąży. Mieszkam tu i wiem, co mówię”.

Pokornie zamknęłam drzwi, które uchyliłam gotowa do wyjścia i zapytałam, gdzie jedzie? A on – do Cahulu.

– To czemu nie mówił pan od razu?

– Bo rozmawiałem przez telefon! – wydusił odkrywczco.

Z Cahulu do Komratu, mimo że odległość większa, marszrutki jeżdżą niemal co godzinę. Ruszyliśmy na Cahul, a mężczyzna nie ukrywał radości, że udało mu się



Wróżka Maria reklamuje swoje usługi

* Morską victorię Mołdawii i ciężkie życie mieszkańców Palanki opisuje Ion Macovei na stronie: www.radiownet.pl/publikacje/moldawia-jest-krajem-morskim.

mnie przekonać, że ma rację, a właściwie wystraszyć, że gdzieś utknę w szczerym polu i tyle z mojego pomysłu ze skracaniem drogi.

Gadaliśmy o Voroninie, Kaczyńskim, wyborach.

Facet nazywał się Petru Donea i był szefem służby celnej. Donea zachęcał mnie do podziwiania widoków za oknem. Tak, widoki stanowczo lepsze niż w Gagauzji, przynajmniej wreszcie były jakieś bajora. Zaraz za Slobozia Mare było jezioro Beleu, 20 km dalej Manta. Do polskich Mazur jednak się to nie umywało, ale jak na Mołdawię – czysta krasota.

Petru odkrył, że jestem w wieku jego córki i sympatia do mnie wzrosła. Wyjął z wizytownika plik kartoników, poczęstował jednym z nich. Strasznie grzał swoim małym autkiem po nierównych drogach. Tylko podskakiwaliśmy. Miał sygnety na palcach, więc gdy co chwilę pokazywał jakiś nowy dom albo machał znajomym, migotały mi przed oczami.

– Kiepsko z tą Mołdawią, ani gór, ani morza – Petru tak przyhamował, że niemal poleciliśmy przez szyby do Cahulu wcześniej niż jego samochodzik.

– Wkurzyć mnie pani chce?

– A co, nieprawda? Pan pracuje na kawałku morskim, jest styczność ze światem, ale chyba nie powie pan tego o całej Mołdawii.

– Ukraina trochę wody dała! – powiedział Petru.

– No tak, całe 450 metrów i tylko dzięki sąsiedztwu z Rumunią, bo to przez nią idzie tranzyt.

– Ty, dziewczuszka, nie wkurzaj mnie – Donea grzał dalej i tylko spoglądał na mnie. Kilka kilometrów dalej cicho zapytał:

– Od kiedy to kobiety interesują się takimi rzeczami?!

– Od kiedy mężczyźni wożą je samochodami – odpowiedziałam krótko.

– Ha, ha, dziewczuszka, lubię cię, ale pogadajmy o czymś wesołym!

– O winie? Może być?

– Może być...

Dwudziestopięcioletni syn Donei, tak jak i większość młodych, wyjechał. Pracuje we Włoszech. Donea nie dość, że podwiózł mnie pod sam dworzec, to czekał, gdy sprawdzałam rozkład. Gdy miał sto procent pewności, że jeszcze dziś dojadę do Komratu, pocałował mnie w czoło i odjechał. Pobłogosławiona poszłam

kupić bilet powrotny. Donea miał rację. Nawet z większych miast ostatnie autobusy odjeżdżają około 16.00 i potem szukają wiatru w polu.

Każdego dnia, w każdym miejscu kraju łapiesz się na tym, że dziś gdzieś nie pojedziesz, bo albo już coś nie pojedzie, albo nigdy stąd nie odjeżdżało.

Miałam kwadrans do odjazdu marszrutki, zapytałam dziewczynę, która przysypiała na dworcowej ławce w pozycji siedzącej, czy jest tu gdzieś toaleta? Według jej instrukcji toaleta była na zewnątrz, z 50 metrów za dworcem.

Dziewczyna jakby pobudzona tym, że coś się dzieje, nagle wybiegła za mną i zapytała, czy mi pomóc? Zaskoczona pytaniem zastanowiłam się, w czym niby miałyby mi pomóc podczas wizyty w toalecie. Pewnie moja twarz i akcent zdradzały, że nie jestem stąd i pewnie mogę sobie zrobić krzywdę w sanitarnym przybytku. Podziękowałam.

Zdanie zmieniałam po wejściu do postsowieckiego kibla. Wtedy to zrozumiałam, że nie będzie łatwo. Trzy brudne, betonowe dziury, pooddzielane półmetrowym murkiem. Sikanie do dziury jest tu normą, ale zasyciony wokół teren, posypany wapnem nie ułatwia sprawy.

Gdy wyszłam z „toalety”, dziewczyna nadal na mnie czekała i zapytała, czy sobie poradziłam.

Przypomniało mi się, że i Wasia w Chirsovej i Wasia w Komracie, gdy udawałam się do toalety, wychodzili za mną i stali obok, czekając aż skończę. Jak wychodziłam, pytali, czy wszystko w porządku. Widocznie to jakiś dziwny rodzaj troski – słusznej, ale też i zbędnej, bo to jednak intymne, wzbudza zażenowanie, gdy ktoś czeka obok i siłą rzeczy podsłuchuje jak siusiasz. Lepiej by zbudowali normalne toalety, a nie ciągle pytali, czy wszystko OK.

Tutaj w Mołdawii zaznałam wszelkiego rodzaju toalet: zwykłej ze spłuczką, wychodka, dziury w ziemi (posypane wapnem dla zabicia bakterii) i dziury w podłodze z drzwiczkami jak w salonie – swobodnie nie da się ani kucnąć, ani usiąść. Właściwie, żeby uchronić choć kawałek swej intymności, trzeba non stop być w pozycji narciarskiej. Jak kucniesz, widać ci pupę, uda, spuszczone spodnie, jak wstaniesz, widać głowę, jak u strusia. Tutejsze kible powodują, że choćbyś nie wiem jak się starał, czujesz się i wyglądasz idiotycznie. Takie toalety są nie tylko w knajpach, na dworcach, domach, ale i w operze, filharmonii, teatrze... W pięknej sukni, perłach na szyi kucasz na narciarza i lejesz w dziurę, martwiąc się, czy

podczas tej urynowej bitwy oszczędzisz swoje srebrne pantofelki. Ot, pozostałość po sowieckiej, permanentnej inwigilacji obywateli.

Wsiadłam do marszrutki z myślą, dlaczego to Mołdawia nie wykształciła słynnych skoczków, przecież wszyscy od dzieciństwa mają wyrobioną pozycję i mięśnie „na narciarza”.

Jedyne wolne miejsce zostało na końcu marszrutki. Siadłam obok kobiety, która na kolanach dzierżyła kosz z jajami.

– Jadę do córki, do Bender – zdradziła.

Córka wyjechała tam na studia jak miała 17 lat i już została. Zakochała się, założyła rodzinę. Teraz ma 41 lat, a matka jak to matka, z jednego krańca kraju na drugi, z zachodu na wschód, wciąż do niej jeździ.



Po całym dniu szwendania wracam do domu, włączam światło. Ciemność. W kuchni nie ma, w łazience nie ma. Kurcze! Po omacku idę do Wolewiczów. Nie dość, że mrok, to jeszcze zimno się robi. Zbliżam się do domu Wolewiczów i słyszę:

– Chlebuszek, lubisz ty chlebuszek, charoszaja...?

– Wkuszaj, wkuszaj, krasiwaja... No chto ty tak na mienia smotrisz?! No chto???!!!

Nasłuchuję, chto za czort? Zatrzymuję się, oświetlam drogę komórką, patrzę, a to Luda w swoim nieprzyzwoitym szlafroku w panterkę stoi z kawałkiem chleba, a zza rogu wyskakuje z szybkością rakiety Bobi.

– Luda! Nie strasz mnie! – mówię.

– A tobie co?! – dziwi się Luda.

– Bo tutaj ani ulic, ani ciepłej wody kiedy trzeba, ani światła... – odezwał się we mnie element cywilizacyjny.

Wchodzę do Wolewiczów, mówię Panu Sławkowi, że u mnie i u sąsiadów nie ma światła. Niezmacony Pan Sławek: – No i co z tego? To posiedź sobie u nas. Jak włączą światło, to będzie, a jak nie, to nie będzie.





MIĘSNA MAFIA



„Najważniejszym osiągnięciem autonomii przez lata jej istnienia był i jest: spokój i harmonia, dialog i współpraca” (fragment przemówienia baszkana Gagauzji, Mihaïła Formuzala, 21 listopada 2009 roku, z okazji 15-lecia Autonomii). I to w sumie na tyle z osiągnięć.

Nie powiem, że nie. Denerwuje mnie, że kraj, który mógłby być bogaty, albo gospodarz, żeby być dobrym, nie może sobie zakupić więcej zwierząt hodowlanych, a jak dorosną, będą się rozmnażać, wykarmi rodzinę, sprzeda mięso, zarobi. W końcu świn w rolniczym kraju nie sprowadza się z kosmosu. Choć kto tam ich wie, ta ich miłość do ruskich może być taka właśnie, kosmiczna i nieobliczalna.

Pytam Wasię, w końcu jego Chirsova to spora, ale wiesz, jak to jest u nich z mięsem, dlaczego nic nie hodują – na jego podwórku, choć wiejskim, też nie widzę zwierząt. Wasia mówi, że się nigdy nad tym nie zastanawiał.

– No kury i indyki są wszędzie – odpowiada.

– A gdzie są świny?

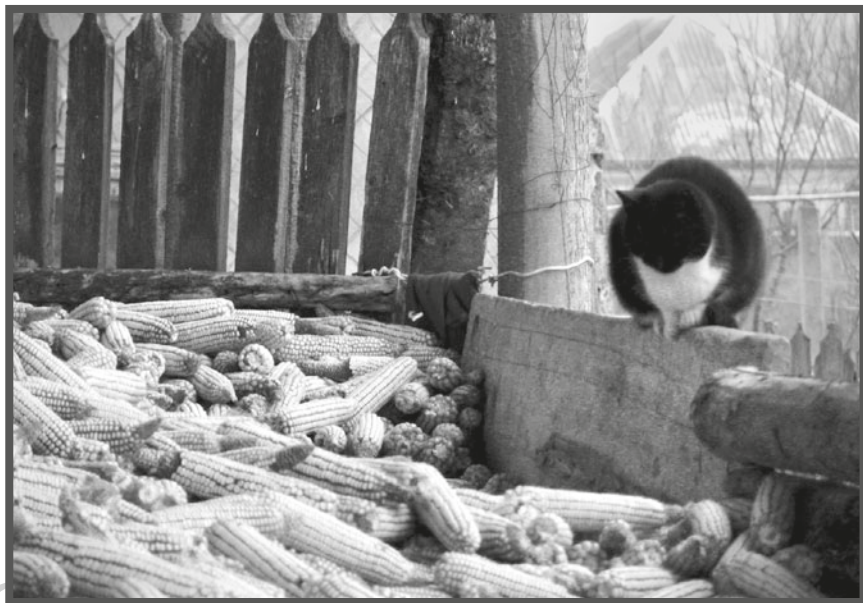
– No u niektórych są.

Dziwne, że chłopi na wsi raczej nie zastanawiali się jak być dobrymi gospodarzami. Jak w ogóle nimi być. To efekt prowadzonej przez lata gospodarki kolektywnej, komunistycznej, a też i mentalności kołchozowej. Ta wieloletnia praktyka zwolniła ich z odpowiedzialności za wyniki swojej pracy. Mieli stwarzać pozory, że pracują, a nie patrzeć z zachwytem na efekty pracy. Wszyscy pracowali na jednego, nie zależało im na zbiorach, bo i tak wypłacano im pieniądze niezależnie od plonów. Kiedy sprywatyzowano kołchozy i sowchozy, gospodarze, którzy tak dobrze mieli

się pod kuratelą *predsiedatieli* („dyrektorów” gospodarstw kolektywnych), gdy już sami uzyskali ziemię, nie wiedzieli, co z nią zrobić, nie zainwestowali w sprzęt rolniczy, nie mieli odłożonych pieniędzy, a też bali się zaryzykować. Wcześniej mieli pewność, że co miesiąc, choć nie kokosy, to mają płacę. Jak zostali sami na swoim, nie wiedzieli, „co dalej”.

Choć wokół żyzna gleba, z której przy odrobinie wysiłku i dobrej woli można by było zbierać duże plony, nikt nie garnął się do pracy. Jeszcze z czasów kołchozów zostało myślenie, że najważniejsze to, co na wierzchu: jak uprawiali ziemię dla *predsiedatiela*, to po bokach uprawy były najpiękniejsze, a po środku byle jak – no bo przecież tam nikt nie sprawdza. Kołchozy nie wychowały rolników, ale leniwych poddanych, którzy bez polecenia nie wykonują pracy. Trudno potem, jak nie doświadczyło się inaczej, podjąć samemu inicjatywę i nagle zatroszczyć się o to, skąd wziąć nawóz, jak wydzielić pole. Jaki wóz kupić? Czy traktor potrzebny? Gdzie dzieci pójść do szkoły? Gdzie się leczyć? Gdzie kupić ser, cukier, masło czy mąkę? Tym wszystkim zajmował się *priedsiedatiel* kołchozu. On troszczył się, on organizował, on rozdawał, a oni jak dzieci w szkole mieli wyznaczone zadania i funkcjonowali dopóty, dopóki wypełniali zadania.

Kot pilnuje jesiennych zbiorów



Gospodarka kolektywna wyprodukowała bezradność. Gospodarze nie musieli martwić się o siebie. Nadal się nie martwią. Wspominają, że było lepiej. Nie rozumieją, że może być tak i teraz, ale to zależy od nich. Ludzie, którzy zawsze dostawali rybę, nigdy nie będą wiedzieć, co zrobić z wędką.

Mołdawianie nie są winni. Oni są bezbronni w swej bezradności.

Misza Sirkieli szefuje Centrum Młodzieży „Pilgrim-Demo”. Żeby dowiedzieć się, jak z tym mięsem, co z tą Gagauzją, postanowiłam skontaktować się właśnie z nim. Numer telefonu dał mi Jarek Derlicki, mówiąc, że warto z nim pogadać, bo to mądry facet, a i patriota lokalny.

Wystukałam numer i powiedziałam, że chcę się spotkać i porozmawiać. Umówiliśmy się u niego w pracy, po południu.

Oddział „Pilgrim-Demo” mieści się w centrum Komratu, zaraz za placem Pobjedy. Niby prosta droga, ale bez żadnych oznaczeń. Trzeba wejść na tyły Poczty Głównej, gdzie jest coś, co przypomina galeriowiec, tu schody, tam przejścia. Drzwi były jeszcze zamknięte. Kilka minut później zjawił się Sirkieli, średniego wzrostu, dobrze zbudowany Gagauz, w przylegającym swetrze, z romantycznie zrosniętymi brwiami.

– Rozmawiamy po rosyjsku czy po angielsku? – przetarł pierwsze komunikacyjne szlaki.

– Po rosyjsku – odpowiedziałam zdziwiona, że tutaj, w zapyziałej Gagauzji bez szemrania władają językami.

Zresztą w tym kraju, gdzie rodzice zwykle są różnej narodowości, każde z nich wnosi nowy język do rodziny i nie jest to rosyjski, w którym to ludzie rozmawiają na ulicy, w urzędzie, w sklepie. Po rosyjsku są też prowadzone zajęcia w szkole. Do tego dzieci obowiązkowo uczą się niemieckiego czy angielskiego. W efekcie łatwość komunikowania się w obcym języku (cokolwiek dla nich znaczy obcy) jest niezwykła. Tak samo jak i nabywanie każdego kolejnego.

Misza ma trzydzieści kilka lat. Opowiadał o swojej działalności, o współpracy z Ukrainą, Białorusią, Mołdawią, Gruzją, Polską, z którymi przeprowadza specjalne

programy integracyjne. Organizują kursy dla wykładowców, wymianę młodzieży. Misza mówi, że prowadzi taki *think thank*. Współpracują z fundacjami i ambasadami Europy, Królestwem Niderlandów, mają 8 tysięcy zarejestrowanych członków i 800 pracowników. Wyjeżdżali na wybory w Albanii, Macedonii.

– Dopiero od 18 lat żyjemy w nowych warunkach i nikt tu nawet nie słyszał o prawach człowieka, nikt nie wie, co to jest demokracja – denerwuje się Sirkieli.

Misza wychował się w Chirsovej, miał etap kiszyniowski, studia na tamtejszej politechnice, ale znowu wrócił do rodzinnej Gagauzji. I to tutaj używał sformułowań typu „system boloński”, których tu pewnie nikt nie rozumiał. Pionier gagauskiej edukacji. Jego wiedza w tej małej mieścinie na południu Mołdawii robi wrażenie.

Mieszkanie w krainie zwanej Gagauzją i bycie Gagauzem, a jednocześnie nie-
używanie ojczystego języka, musi być frustrujące.

Przypomniały mi się słowa Ludy, jak mówiła, że gdy odebrała telefon podczas jakiejś imprezy w Domu Kultury, rozmowa odbywała się po gagausku. Gdy skończyła, zobaczyła, że wszyscy dookoła patrzą na nią ze zdziwieniem, że „zna nawet gagauski”! Jakby w Gagauzji znajomość gagauskiego była jakimś ewenementem.

– Po co się uczyć gagauskiego, skoro wszystko: napisy, książki, podręczniki, gazety, informacje są po rosyjsku – tłumaczyła Luda.

– 15 lat Autonomii Gagauskiej, pewnie zapyta pani, co się udało? – powiedział Sirkieli, wyrywając mnie z zamyślenia.

– No więc..., to co się udało? – zapytuję.

– Praktycznie nic – odpowiada Sirkieli z rozbrajającą szczerością. – Miała to być autonomia kulturalna. Miały być prawa dla kultury gagauskiej. Kiedy w 1994 roku obradował parlament Gagauzji, to jako główny cel postawił zrobienie z Komratu kulturalno-ekonomicznego centrum. I co? Tendencja jest, że ludzie tutaj mówią po rosyjsku. Nie było ani jednego zebrania, które zostało poprowadzone w języku gagauskim, ani jeden dokument urzędowy nie został podpisany w języku gagauskim. Absolutnie wszystko jest tłumaczone na język rosyjski. To jest niepokojące, bo rosyjski zastąpił też mołdawski. A przecież co wyróżnia dany naród, jak nie język? – denerwuje się Misza.

Niegdyś nad językiem gagauskim pochylił się XIX-wieczny oficer ruskiej armii, Walentin Moszkow. Poświęcił on 20 lat na badania Gagauzów. Nawet Szwedzi i jeden Duńczyk zajmowali się tym językiem.

Misza jest zadowolony, że przyjeżdżają obcy badacze i prowadzą badania nad gagauskim, ale dziwi się, że nie robią tego sami Gagauzi.

– W ogóle mało jest ludzi, którzy znają język gagauski, obyczaje, tradycję – mówi Misza. – W 1918 roku Besarabia weszła w skład Rumunii. Moi dziadkowie chociażby, mieli prawo wyłącznie do obywatelstwa rumuńskiego. A teraz jesteśmy od wszystkich zależni, a najbardziej od Rosji, która jest w doskonałym położeniu. Rosja dała nam 15 mln euro kredytu, żeby rozgromić kryzys. A płaca – ciągnie Sirkieli – 100 euro z małym kawałkiem to zarobki budżetówki, 2000 lei – 150 euro zarabiają medycy, urzędy. Polityka zabiła fabryki, produkcję, handel i przynoszące zyski przedsiębiorstwa. W 2001 roku przyszli komuniści, a ludzie zaczęli wyjeżdżać za pracę do Europy, do Rosji. Wtedy też powstała mięsna mafia. Komisja zbierała się i wydawała licencje, kto może produkować, a kto nie. Mieli bardzo dobre stosunki z Rosją.

Misza rysuje mi punkty, strzałki, procenty nakładane przez kolejne firmy – taki łańcuch łapówkarski, na końcu którego wędruje mięso do obywateli, które jest o 250 procent droższe niż być powinno!

20 listopada Jurij Muntian z Partii Komunistów Republiki Mołdawii (PKRM), były minister ekonomii i handlu oświadczył, że mięsna mafia to absurd. Co miał powiedzieć, gdy dzień wcześniej Wiorel Ketraru z mołdawskiego centrum walki z korupcją i przestępstwami ekonomicznymi oskarżył go, jego szefa byłego ministra Igora Dodona, innego ministra i wiceministra oraz grupę biznesmenów o monopolizację rynku mięsnego i produktów mięsnych. Byli ministrowie odgrazali się, że spotkają się w sądzie, bo oskarżenia są „rażąco niezgodne z prawem”.

Sęk w tym, że gdy rządzili, przy Ministerstwie Ekonomii była specjalna komisja, która wydawała pozwolenia na import na określonych warunkach. Jak się potem tłumaczył Muntian, to było uzależnione od tego, że spora część granicy Mołdawii nie była kontrolowana. Przy lewobrzeżnej granicy szerzyła się kontrabanda, a szła



z Brazylii, Chin czy Indii. Muntian twierdził, że nie można było wpuszczać towaru wątpliwej jakości.

Sirkieli jest jednym z niewielu, który przyznał, że w Mołdawii istnieje mięsna mafia. Wielu innych rozmówców zapewniało, że żadnej mięsnej mafii nie ma. To pytanie wręcz ich oburzało. Jednak wysokich cen wędlin i mięsa nie byli w stanie wyjaśnić. Podejrzewam, że było im po prostu wstyd, że w ich kraju dzieją się takie rzeczy. I najprościej było zaprzeczyć.

Na koniec rozmowy Sirkieli daje mi parę książek informacyjnych, które wydaje „P-D”. Takie broszury właściwie. Głównie dla dzieci, młodzieży: co to jest integracja europejska, jak funkcjonuje państwo, jakie są prawa człowieka, co to jest wolność... Otwieram jedną. Ma tytuł *Wybierz bycie wolnym*. Pełno tam rysunków, wierszy i dziecięcych rozprawek. Jest i rozdział z wypracowaniami na temat: „Miejsce, w którym chciałbym żyć”. Dieli Grimma z 9 klasy pisze: „Na świecie jest mnóstwo krajów: rozwiniętych, i tych pięknych i tych nudnych, jednak żadnego z nich nie zamieniłbym na swoją ojczyznę – Mołdawię”. Paweł z 9B, Licem im. D. Karaczobana, rozwodzi się na temat wyborów: „Na prezydenckim krześle chciałbym widzieć człowieka młodego i energicznego, pełnego idei i zdecydowanego. Człowieka, który potrafi podnieść Mołdawię »z kolan« (...)”.

Telefon zdechł mi na amen, nie działa. Ruszyłam do tutejszego sklepu Orange. Wypasione modele za wypasione, europejskie ceny. Za kilkanaście dni wracam do Polski, kalkuluję, że mołdawska nówka nie jest mi niezbędna. Idę do Ludy, mówię, że umarł mój telefon. Patrzy na mnie szklanymi oczyma, bo akurat kroji cebulę, idzie do pokoju i tymi cebulowymi rękami wygrzebuje z szafy telefon – starą, ogromną Nokię. Dziesięćlatkę. Przekładamy kartę, i bach, działa! Wszystkie polecenia po rosyjsku! No co za egzemplarz! Później tylko wychodzę niepostrzeżenie do łazienki i szoruję moją piękną, mołdawską Nokię, aby pozbyć się cebulowej woni.

Okej, wygląd ruski może być, ale nie zapach!





MÓJ ADRES – SOWIECKIJ SOJUZ



Wizytę w gagauskim muzeum etnograficznym w Komracie zostawiłam sobie niemal na sam koniec. Jak się mieszka od niego 150 metrów, to przecież można wpaść kiedykolwiek. Ceny jak w Beşalmie, a i zwiedzających brak, więc ponownie zwiedzam indywidualnie: tylko ja i przewodniczka.

Muzeum usadowione jest w samym centrum, przy ul. Lenina. Ma dwa piętra, jedno obłożone książkami, pamiątkami, narodowymi strojami, glinianymi misami, zdjęciami gagauskich pisarzy, lekarzy, sportowców...

Na górze zaś jest dział historyczno-etnograficzny: pisanki, wypchane dziki, dziuple. W części z pamiątkami facjata Stefana cel Mare na makacie za 600 lei.

Nawet tu widać oszczędność na elektryczności. Światło nie jest ot tak po prostu włączone, ale pani, która oprowadza po muzeum, gdziekolwiek nie wchodzimy dopiero je zapala i jak tylko opuszczamy kolejną salę, gasi.

Muzeum założyli w 1969 roku Marinowie. On się nazywa Marinow Anatolij Aleksejewicz. Ona Marinowa Anna Fiodorowna. Anatolij urodził się 1 lutego 1928 roku. Ona w tym samym roku. Teraz dyrektorem muzeum jest ich syn, żonaty i dzieciaty Marinow Władysław Aleksejewicz. Wspiera go jego brat, Marinow Oleg Aleksejewicz, kawaler. Powiedzieli, że jak chcę, to mogę do nich wpaść. Jak się później okazało, skorzystałam już trzy dni później.

Włożyłam ciepłą kurtkę, grube skarpety, czapkę i wbiegłam na dwór. Mówili, że mieszkają tuż przy muzeum, ale po tej samej stronie, czy po drugiej, na lewo, na prawo, czy za budynkiem, nie wiadomo. Zaczęłam pytać ludzi, czy ich nie znają. Nikt nic nie słyszał. Nie wiedzieli nawet, kto to są ci Marinow. Wzruszenie ramion.

Muzeum zamknięte, na okolicznych budynkach nie ma domofonów z nazwiskami. Nic. Musieliby akurat wyjść na ulicę, zmierzać od domu, żeby ich złapać.

Poszłam do sklepu z napitkami, poprosiłam o kubek wina, wypięłam i wyszłam zmierzyć się z trzaskającym mrozem. Wracam drogą przy muzeum, patrzę... Drzwi uchylone. W środku Anna Marinowa i reszta.

– „Mój adres nie dom i nie ulica, mój adres – Sowieckij Sojuz...” – Anna Marinowa zaczyna śpiewać.

Patrzę na nią zdziwiona, a ona mówi, że nigdzie nie żyło się lepiej niż w Związku Radzieckim.

– On Gagauz – wskazała na męża. – Ja Rosjanka! – podkreśla z dumą.

– Ale teraz jest Mołdawia – mówię. – I co jest teraz?

– Jedni czekają na paszporty, drudzy na wizy, jedni do Rosji, inni do Turcji, Grecji, Włoch... Mołdawia to nie kraj, to jedna wielka poczekalnia – mówi Oleg.

– I moja rodzina, żona z córką wyjechały do Moskwy. Tam pracuje. Już dawno o mnie zapomniały – syn Marinowów, Władysław udaje szloch. – Jak chcesz do Moskwy, to możesz się u nich zatrzymać – Władysław zapisuje mi adres żony i córki.



Anna Marinowa to nauczycielka na emeryturze. Uczyla geografii i biologii. Ten rys nauczycielki, która nie da sobie w kaszę dmuchać, został jej do dziś. Przyniosła dzbanek z gorącą wodą i zalewała wszystkim herbatę. Syn zapytał: czy sprzątnąć ze stołu? Inna by odpowiedziała: nie, nie, poradzę sobie. Ona twardo, jakby z wyrzutem rzuca, że już dawno powinno być to zrobione: – Oczywiście!

Karcenie ma we krwi. I zasady też. Gagauzi są bardzo słowni.

Nikołaj Daniłowicz Brasnibrada jest Bułgarem z Chirsovej. Opowiada jak grali na weselu, zimą 1978 roku. Wrócił z tygodniowego kursu doszkalającego w Kiszyniowie, gdzie nabawił się 40-stopniowej gorączki.

– Po pierwszych zajęciach, spojrzeliśmy za okno, pada śnieg, profesor zobaczył naszą radość i rzucił: „dobra, chłopaki możecie wcześniej wyjść!”. Byłem zupełnie nieprzygotowany na zimę! W jesiennej kurtce, bez czapki, kilkanaście stopni mrozu, a przy domach wisiały półmetrowe sople. Śnieg pada gradami, jak otworzyć dłoń, po chwili cała garść była pełna puchu. Wyłączyli światło, nie jeździły autobusy. Całą drogę od poczty do *obszczeżitia* przeszedłem piechotę. A poszedłem tylko zadzwonić, że będziemy grali. Bo tego dnia graliśmy na weselu, a u nas „dogovor doroże dienieg!”. Szliśmy tunelami, bo tyle napadało śniegu. A panna młoda? W sukience bez rękaw, taka tradycja, jak ona wytrzymała, nie mam pojęcia!

Nad głową Koli wiszą zdjęcia uczniów – rok 1965/66 – w środku jest Anna Marinowa, ich nauczycielka.

Kola śpiewa po rosyjsku, gagausku, bułgarsku i mołdawsku. Na jeszcze większej liczbie instrumentów gra: bałajajce, syntezatorze, harmonijce, gitarze, a najlepiej na akordeonie. To z pokolenia na pokolenie. Mówi, że jego dziadek był w 96 państwach i w każdym śpiewał o Komracie. Teraz śpiewa on, jego wnuk. Śpiewa o mamie, co się martwiła o syna, że nie znajdzie na żonę dobrej dziewczyny. Następną piosenka była zaś o kobiecie, która czekała na swego ukochanego, i inne piosenki też były o miłości, mniej lub bardziej niespełnionej.

Kola zna bardzo dużo piosenek. Kończy grać jedną i zaczyna drugą. Jego kamrat z Chirsovej, Misza Pietrowicz, też muzykant nakłada na talerze konfitury – jabłka z miodem. Jak podkreśla, sam je robi i to bez grama wody.

Kiedy Władysław Marinow zaczął rozdawać druhom zaległe pieniądze bez pokwitowania, Anna Fiodorowna spojrzała na niego karcącym wzrokiem i powiedziała: „Diengi lubiat rascziot!”

Anna Fiodorowna Marinowa i Anatolij Aleksejewicz
Marinow – założyciele muzeum w Komracie



Syn Marinowów wypisuje mi zaproszenie na 40-lecie muzeum:

„Szanowna Judyta Sierakowska zaproszona jest na wieczór poświęcony »Pamięci muzyków Komratu XIX–XX wieku« w rocznicę 40-lecia komrackiego regionalno-krajoznawczego muzeum Gagauzji (Gagauz Yeri). W programie weźmie udział ludowy zespół założony przy muzeum »Gagauskie korobiejniki« (handlarze).

Impreza już w najbliższy piątek.

Tak samo jak Marinowa zachęciła wszystkich do pozostania w muzeum, tak samo i zakończyła posiedzenie słowami: – Już czas!

Nikt nie kwapił się do wyjścia, ale i też nikt nie postawił się Annie Marinowej. Na dworze było już ciemno i przejmująco zimno. Wiał porywisty wiatr, padał drobny, suchy śnieg, mróz ciął w policzki.





PRZEPYTYWANKA



Przed egzaminem na Kartę Polaka zrobiliśmy spotkanie u mnie, na Sportivnej. Nawet nie pomyślałabym, żeby w kilkunastopniowym mrozie iść kilka kilometrów do szkoły, a potem marznąć w klasie, patrząc jak grzejnik dopiero się rozgrzewa.

Najpierw przyszła Luda Łomacz, potem Swieta, Oleg, Wasia, ale tylko wszedł to i się zawrócił, bo zadzwonili do niego z pracy, a że była ona 200 metrów od mojego mieszkania, to nie mógł się wymigać.

Stawiając na stole łakocie i przegrzki, nie postąpiłam roztropnie, ale i Wasia nie był gorszy, bo zabrał ze sobą wino. Zastawiony stół miał być nagrodą za ciężką pracę tego wieczoru.

Uczniowie pozajmowali krzesła przy ścianie. Wyglądało to trochę jak zbiór bab na „zmiance” – czyli comiesięcznym spotkaniu kobiet na wsi, w czasie którego odmawiają różaniec (co miesiąc następuje zmiana tajemnic różańcowych, stąd i nazwa). Co miesiąc też członkinie zespołu różańcowego zbierają się w innym domu. Brakowało nam tylko ołtarzyka (no chyba że przyjąć, że był nim zastawiony stół), i chust na głowach. Pokutne miny mieliśmy wszyscy.

Ruszyłam z przepytywaniem. Przerobiliśmy polskie święta, królów, noblistów... I nagle słyszymy, jak ktoś szarpie za drzwi. Te otwierają się, wchodzi Luda. Żadnego „dobry wieczór”. Weszła jak na zbiorowe zebranie w wiejskiej remizie, otrzepała się ze śniegu, zdjęła buty i siadła przy stole, który już w pierwszej sekundzie zlustrowała wzrokiem. Namierzyła czosnkowe chrupki i dalej zajądać jednego po drugim, jak na półmisku zostało kilka, płynnym ruchem pulchnej dłoni przeszła do paprykowych.

– Co nic nie mówicie?! – prawie krzykiem wybiła nas z ciszy, bo patrzyliśmy na nią jak zahibernowani, nie wiedząc, o co chodzi.

– Dobry wieczór Luda, dobry wieczór – rzuciłam, nadal będąc w konsternacji.

Luda w tym czasie przeszła do cukierków, szeleszcząc papierkami. Jej wejście nieco wszystkich wybiło z rytmu, no i nie dało się udawać, że jej nie ma, no bo była i to w całej okazałości. Nie ma dwóch zdań, Luda rządziła.

Podparłam głowę ręką, by nie patrzeć w jej stronę, nie wybuchnąć śmiechem i przeszłam dalej...

– W którym roku podpisano Konstytucję 3 maja? – zapytałam.

– W 1791 – odpowiedziała Swietłana.

– Kto jest premierem Polski?

– Donald Tusk – odpowiada Ludmiła.

– Po ilu latach Polska odzyskała niepodległość?

– Po 123 – mówi Swietłana.

Jak wygląda godło Polski? Co Polacy jedzą w tłusty czwartek? Kim był Jan Matejko? Kim jest Andrzej Wajda? Jakie duże, polskie miasta są położone nad Bałtykiem? I kolejne, kolejne pytania, za każdym razem pierwsze zgłaszają się Ludmiła Łomacz i Swietłana Suhowa.

– Ale dlaczego odpowiadają tylko Ludmiła i Swieta? – wtrąca Luda.

– Bo znają odpowiedzi – odpowiadam.

– A dlaczego oni nie znają? – pyta, wskazując na chłopaków.

– Bo nie byli na wszystkich lekcjach – odpowiadam.

– A dlaczego nie byli? – pyta Luda.

– O tym to z nimi porozmawiasz później – przerwałam jej.

Czy Luda wpadła w zakłopotanie? O nie!

– A dlaczego nie chodziliście? Czemu nie pamiętacie nazw świąt? A dlaczego...??? – Luda zaczęła gnębić ich pytaniami. Chłopaki jak skarcone szczeniaki patrzyli w podłogę, zaczęli coś bąkać, że w tym czasie musieli być w pracy, co zresztą było prawdą. – Ale to nie mi się tłumaczcie, tylko pani nauczycielce – zaczęła ciągnąć Luda.

– Luda!!! – podniosłam głos. – To nie czas ani miejsce na karcenie! Za trzy dni mają egzamin. Skoro wszystkiego nie pamiętają, to niech chociaż skorzystają z ostatniej lekcji.

Niezwyężona Luda jeszcze trochę postraszyła ich, że nie zdadzą. Znowu jej przerwałam, bo bałam się, że chłopaki wykorują przed egzaminem zamiast spokojnie przespać noc i nieco podirytowana, ale zmobilizowana, pytałam dalej: o to jakie są polskie zwyczaje podczas Wielkanocy, jakie potrawy podaje się na Wigilię, jakie są zabytki w Krakowie, w którym roku był Chrzesz Polski. Itd. Itd. Itd.

Luda jest do rany przyłóż, zaopiekuje się, nakarmi, ale jak chcesz zachować tzw. strefę intymną, uciekaj jak najdalej.



Jeszcze tego samego wieczoru kolega z Kiszyniowa powiadomił mnie, że jest możliwość powrotu do Polski busem. Wracają nim nauczycielki polskiego z Kiszyniowa i Bielc. Wizja jazdy w marszrutce pełnej polskich nauczycielek, z kolanami pod brodą, w ścisku, z wielomiesięcznym dobytkiem nie była zachęcająca, tym bardziej, że bus dojeżdżał tylko do Przemyśla, o nieznaney godzinie (dojedzie jak dojedzie, może będą zasy i może będzie stał gdzieś w śniegu na Ukrainie, a może pójdzie sprawnie), może skończę w Przemyślu w środku nocy i będzie mnie czekać noc na wyiębionym dworcu. No i gdzie upcham ogromny, 30-kilogramowy plecak??

Postawiłam na pociąg. Ten w zaspie nie stanie.

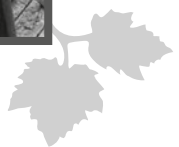
Kiedy Luda zapytała, czy jednak nie zostałam na święta, zapytałam, a jak one u nich wyglądają?

– Chodzimy od sąsiada do sąsiada i pijemy. Ostatnio Iliia woził nas, ile osób w busie, do tyłu my poszli (a wiadomo, jak to w Gagauzji – w każdym domu pije się na umór). Po ostatnich świętach nie mogłam przez trzy dni wstać z łóżka, tak bardzo bolała głowa – opowiada Luda.

Pomyślałam: o Jezu, tego to ja nie przeżyję!



Tutaj wino leje się strumieniem



Spotykam się z Wasią z Chirsovej na herbacie. Pytam, co oprócz picia tutaj robią na święta.

– W Wigilię to dzieci chodzą i śpiewają. Na przełomie roku to głównie piją wino i rozdają kołaczki, kawalerowie chodzą z wódką do swoich chrzestnych, a dziewczyny z gałązkami, na których mają zawiazane chusteczki – podążają od wioski do wioski i życzą napotkanym ludziom urodzajnego nowego roku.

No jeśli nawet abstynent Wasia o piciu wspomniał, to nie wróżyło dobrze. Albo chłają, albo bawią się w folklor.

Waśka pyta, co robię jutro. Mówię, że ruszam do Naddniestrza. Patrzy na mnie jak na wariata. Mówi, że nigdy tam nie był. Tam się jedzie jak się musi. Na przykład mieszka tam rodzina, którą należy odwiedzić, ale nie ot tak.



Niemal równoległe do Prutu płynie Dniestr. Stanowi on północną granicę z Ukrainą i separatystycznym regionem naddniestrzańskim, który co prawda nie jest uznawany przez żaden kraj na świecie*, ale posiada własne wojsko, policję, system celny. Ciekawostką jest to, że mieszkańcy tego regionu podróżują po świecie z mołdawskimi paszportami, wydawanymi na przykład w Kiszyniowie. A tak normalnie to mają to miasto i ten kraj gdzieś.



* Naddniestrzańską Republikę Mołdawską uznają jedynie Abchazja i Osetia Południowa – same separatystyczne, zgodnie z prawem międzynarodowym wchodzące w skład Gruzji (przyj. red.).



KRÓTKA WIZYTA U SZERYFA

NADDNIESTRZE.

Para buchała z ust. Dochodziła ósma i dworzec autobusowy w Komracie, jak zawsze o tej porze, pękał w szwach. Zapach ryb z targu zachodził w nozdrza. Przypomniały mi się słowa Wasi z Chirsovej.

– Po co tam chcesz jechać, tam nic ciekawego nie ma!

Tak o Naddniestrzu mówili Wasia i Ilia z Chirsovej, choć nigdy tam nie byli. Mówili same złe rzeczy.

Usadowiłam się w marszrutce pełnej pasażerów. Gdy do odjazdu pozostało kilka minut, do busa wpadł kierowca i po kolei podchodził do siedzących i mówił, ile kto ma mu dać lei. Wszyscy bez szemrania wpychali mu do ręki wskazaną stawkę. Widocznie to stali pasażerowie. Znał ich, oni jego. Podszedł do mnie, otaksował spojrzeniem, powiedział: 50 lei. Tak, dokładnie tyle kosztował przejazd do Tyraspolu! Ci kierowcy chyba mają jakiś rentgen w oczach. Bez pytania wiedzą, kto jaki ma cel podróży.

Zainkasował i zapytał, czy mam paszport. Gdy się upewnił, że tak, siadł za kierownicą i ruszył. Baba obok zakreśliła przed sobą znak krzyża. Starsze kobiety pod każdą szerokością geograficzną przed podróżą odprawiają modły. Taki już ich urok.

14 grudnia, właściwie to już zima, a przez szyby migały zielone pola. Marszrutka podskakiwała na nędznej, wyboistej drodze. I każda kolejna dziura była równie dziurawa, a nawet bardziej.

Wszyscy, którzy byli w wojskowej Nibylandii, karmili mnie historiami o łapówkach, o bawieniu się ich paszportami, o kasowaniu zdjęć z aparatu i oczekiwaniu na gratyfikację pieniężną w celu uspokojenia (zaspokojenia) podejrzeń celników.

Przejście graniczne w Benderach. Wjeżdżam z grupą Mołdawian, ja – jedyny obcokrajowiec. No, nie licząc samych Mołdawian, którzy w Naddniestrzu też są z zagranicznego sortu.

Kierowca kręcił się obok mnie wyraźnie zdenerwowany. Zapewne wyglądałam jak ktoś, kto opóźnia odjazdy, powoduje problemy graniczne, kłopoty z dokumentami, cholera wie czego można się po takiej polskiej przybłędzie spodziewać.

Wypełniłam wszystkie przygraniczne karteczki, papierki. Do kogo jadę? Wpisuję dane i adres chłopaka, który mi go podał dzień wcześniej na portalu podróżniczym – tak w razie, gdyby mój telefon stracił tutaj zasięg. Wpisałam je, bo w zasadzie nie miałam wyboru i w nadziei, że nie będzie miał przez to żadnych problemów. Celnik poinformował, że skoro zostaję w Tyraspolu na noc, to obowiązkowo muszę zameldować się w Urzędzie Imigracyjnym – OWIE na Kotowskowo albo na komendzie milicji.

– Mam tam iść sama, czy z właścicielem mieszkania? – dopytuję celnika.

– Radzę z właścicielem – odpowiada.

– Ha, ha, zawsze są mili jak się wjeżdża – rzuca jakiś chłopina z koleżki, gdy chowam do kieszeni dokument potwierdzający wjazd do kraju, którego nie ma na żadnej mapie.

Kierowca bardzo się ucieszył, że nie było żadnych problemów, aż skierował na mnie lusterko, wyszczerzył zęby, w większości złote i uśmiechnął się.

Rosjanie mówią na nie Pridnestrowie, Mołdawianie mówią inaczej, Transnistria, czyli Zadniestrze. Inni, także Polacy: Naddniestrzańska Republika Mołdawska lub Mołdawska Republika Naddniestrza. Lub po prostu Naddniestrze. Quasi-państwo. Nostalgiczny skansen komunizmu – największe tego typu „muzeum” na otwartym powietrzu. Zbuntowana, lewobrzeżna część Mołdawii. Nibylandia, która ma własnego prezydenta, parlament, policję, konstytucję, godło, hymn, flagę, sądownictwo, walutę, system podatkowy. Kraj, którego nikt nie uznaje, a cała Mołdawia się z nim liczy. I Rosja też.

Od 2005 roku Polacy do 90 dni na terenie Mołdawii mogą przebywać bez wiz. Niby jest nakaz meldunku w przeciągu trzech dni od przyjazdu, ale tak naprawdę nikt tego nie sprawdza. Ale nie w Naddniestrzu. Tu jak chcesz być ponad 10 godzin, musisz się zameldować. Jak tego nie zrobisz albo opuścisz granicę w przekroczonym terminie (celnicy są bardzo skrupulatni, piszą dokładną datę



i godzinę wjazdu – w moim przypadku: 13.20 i ani minuty dłużej nie pozwalają zostać bezkarnie), dostajesz 750 dolarów sztrafu. Quasi-państwo rządzi się swoimi własnymi prawami. I ważne, by się ich trzymać. No chyba że chce się zaznać więcej przygody i upłynnić więcej gotówki.

Spór we wnętrzu Mołdawii wybuchł po ogłoszeniu przez Kiszyniów niepodległości. Władze Naddniestrza wystraszyły się, że cała Mołdawia zechce przyłączyć się do Rumunii. A jak najskuteczniej „udobruchać” strach? Zlikwidować jego przyczynę.

Trudno wieszać psy na Naddniestrzańskiej Republice Mołdawskiej, w końcu secesjonistyczne tendencje miała od dawna, a do tego mocne plecy, w postaci Rosji. Wszystko zaczęło się dawno, dawno temu, w sierpniu 1939 roku (właściwie to jeszcze w XIV wieku, ale darujmy sobie). Wtedy to, w wyniku paktu Ribbentrop-Mołotow wschodnia część Rumunii, czyli Naddniestrze, znalazło się w strefie wpływów sowieckich. Kto jak kto, ale Stalin to nie facet, któremu chciało się czekać na „skonsumowanie” umowy. Minęło raptem dziewięć miesięcy i już „przypomniał” Rumunom, by się pospieszyli z odstąpieniem „jego własności”. Rumunia, która nie mogła liczyć na pomoc sąsiadów, musiała oddać dwoje dotychczasowe ziemie.

Mołdawia i Naddniestrze znów znalazły się w jednej republice radzieckiej i to na pół wieku! Twór nieznośny, bo Mołdawia była rumuńskojęzyczna, a Naddniestrze rosyjskojęzyczne. A bez wspólnego języka, to sowiecka wieża Babel.

W sierpniu 1991 r. Mołdawia stała się niepodległa, a już w grudniu „powstaje” Naddniestrzańska Republika Mołdawska.

NRM była wówczas potęgą. Choć zamieszkiwało ją zaledwie 17 procent ludności Mołdawii to produkowała aż 90 procent elektryczności kraju i wytwarzała 40 procent PKB! Kiedy więc upomniała się o nią Mołdawia, NRM powiedziała gromkie: Nie!

Mołdawia nie dała za wygraną i przeprowadziła inwazję. Naddniestrzu z pomocą nadeszła rosyjska 14. armia gen. Aleksandra Lebiedzia, która zakończyła wówczas trwającą przez prawie dwa lata wojnę domową w Mołdawii. W wojnie tej po obu stronach zginęło kilkaset osób.

Teraz w Naddniestrzu najwięcej jest Mołdavian – około 32 procent, Rosjan – 30 procent, trzeci w kolejności to Ukraińcy – 29 procent. I trochę innych niedobitków.

Bendery, przedmieście Tyraspola, ospałe jak na Polskę. I małe. Jak na Mołdawię – 130 tysięcy mieszkańców – duże. Wszędzie atmosfera tymczasowości. Punkt graniczny, przechodzenie w tę i z powrotem, legitymowanie. Jako jedyne miasto republiki położone na prawym brzegu Dniestru jest trochę tu, trochę tam. Ładne, czyste uliczki. To wszystko.

W miarę zbliżania się do Tyraspola Naddniestrze zaczyna malować się w całej okazałości. Dorodne supermarkety i stacje benzynowe w kolorystyce niebiesko-czerwonej. To tak na amerykańsko. Wszystko to jest pod szyldem konsorcjum Sheriffa, które jest zarządzane przez syna prezydenta Naddniestrza, Igora Smirnova. Kontroluje ono m.in. sieć supermarketów i stacji benzynowych.

Na obrzeżach stolicy Naddniestrza, Tyraspola dumnie ścielą się też sportowe hektary Sheriffa: nowoczesny stadion piłkarski, pięć boisk treningowych, hala sportowa, kasyno, pięciogwiazdkowy hotel i Bóg wie co jeszcze.

Piękne, okazałe, dostojne, europejskie. Podobno kosztą budowy to 200 mln dolarów i to drugi pod względem nowoczesności kompleks futbolowy w Europie.

Tu, na ten stadion na mecze przyjeżdżają autokary z Kiszyniowa. Tutaj piłkę kopie mołdawski Zimbru Kiszyniów z naddniestarzańskim Sheriff Tiraspol. Tutaj

Biuro „Sprawiedliwej Rosji”
w Naddniestrzu



tylko sport jest ponad podziałami. Naddniestrze i Mołdawia wszystko mają odmiennie, ale liga piłkarska jest wspólna. Kopać piłkę można razem.

Symbolika radziecka bije po oczach. Marszrutka robi pierwsze kilometry po naddniestrzańskiej stronie. Już przy wjeździe widać znaki, bandery z sierpem i młotem, gwiazdami, jak za czasów Mołdawskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Tu jest i milicja i wódka w puszkach 0,33 litra.

Przechadzają się wojskowi. Mimo że wojna domowa zakończyła się już dawno, to nadal stacjonuje tu jeszcze około 1800 rosyjskich wojskowych. Ich miejsca postojowe to boksy zakryte zieloną, wojskową siatką maskującą.

Wspominana 14. armia rosyjska stała się *de facto* stroną konfliktu mołdawsko-naddniestrzańskiego. Mimo podpisania stosownego traktatu w Stambule w 1999 roku, Rosja dotąd nie wycofała swoich sił zbrojnych z terenów Naddniestrza, traktując je jako bazę dla swojego sprzętu wojskowego. Garnizony miały zostać zlikwidowane do 2003 roku, jednak w czerwcu 2006 roku rosyjski minister obrony Siergiej Iwanow zapowiedział, że rosyjska armia nie opuści republiki, dopóki w tym regionie „nie zapanuje spokój”. Armia została zredukowana, ale ciągle jest. A to jej bycie zapewnia istnienie niezależnej państwowości Naddniestrza*.

Obliczono, że gdy doda się wojskowych, celników, milicjantów i straż graniczną, otrzyma się wynik: 22 procent Naddniestrzan to mundurowi!

Tu wszystko kręci się wokół Dniestru. Sama nazwa republiki, wiadomo. Stolica to samo – nazwa Tyraspol dosłownie oznacza miasto nad Dniestrem. Greckie *tyras* oznaczało Dniestr, a sufiks *pol* – ‘miasto’.

I taki trochę stary, wyblakły jest ten Tyraspol. Takie zapyziałe miasteczko, jak jedno z wielu na wschodzie Polski – takim by mi się jawił zaraz po widoku naszej Warszawy. Problem w tym, że po 70 dniach życia w Komracie dostrzegłam w nim sowiecki, może i mikry, ale New York! Nie żaden wschodni grajdoł, ale skrawek Ameryki. Co chwila migają napisy „Sheriff”, amerykańska kolorystyka, światła. W konfrontacji z brzydota na południu kraju tutaj było niemal pięknie.

Wysiadłam w umówionym miejscu i wystukałam w telefonie numer do Andrieja. Miał być za pięć minut. I był. Szczupły, wysportowany blondyn z kolarzówką i w czarnych getrach. Jasne oczy, rzęsy, krótkie włosy, sprężyste ruchy.

* za: <http://pl.wikipedia.org/wiki/Naddniestrze>



Jego mieszkanie było niedaleko, wystarczyło przejść paroma bocznymi uliczkami i zaułkami, okrążyć kilka szarych, wysokich bloków, płot, bramę i duży śmietnik.

Mieszkanie było na wysokim piętrze. Andriej wziął rower pod pachę i sprytnie zaczął wbiegać na trzecie piętro.

– Żona czeka w domu. Ugotowała zupę. Nie pracuje. Jesteśmy świeżo po ślubie. Rozumiesz? – mówił Andriej.

– Już wiadomo, co to będzie? – zdyszana krzyknęłam na schodach.

– Jeszcze nie, jeszcze jest mały – odpowiedział.

Rzeczywiście brzuch żony Adrieja był niemal niewidoczny, zwłaszcza pod luźną bluzą, zasuwaną na zamek błyskawiczny. Żona z prostymi, postrzępionymi przez fryzjera artystę amatora włosami, jeszcze jaśniejszymi od włosów męża. Nieumalowana, w spodniach dresowych, które miały niewielką dziurę na udzie. Jasne włosy, jasne rzęsy, jasne brwi, jeszcze jaśniejsza twarz.

Na kuchenny stół z ceratą trafiły trzy talerze z zupą mięsną. Mały psiak, miniaturka sarenki co rusz dostawał prosto z ręki kawałki mięsa.

– Lubisz zwierzęta? – zapytał Andriej.

– Tak, zwłaszcza na talerzu – odpowiedziałam.

Pies, jakby zrozumiał, zeskoczył z kolan i skrył się gdzieś w czeluściach domu.

Andriej z żoną i turecką chałwą



– Często się chałwą. Bardzo dobra, najlepsza, turecka – powiedziała żona Andrieja, gdy ten oczyścił stół z pustych talerzy. Rozwinęła nieduży, mięsisty, kremowy kawałek z kolorowego opakowania. Podejrzewam, że znacznie droższy niż kilogram świeżej, tutejszej, mołdawskiej.

– Mołdawka jest pyszna – zagajam. – W Komracie na targu Budżak jest słonecznikowa, z orzechami, kakaowa, duże, świeże bloki.

– Turecka jest lepsza! – mówi z przekonaniem żona Andrieja.

Andriej zna doskonale rosyjski, niemiecki, angielski. Prawdziwym kultem otacza rosyjski. Uważa, że to najbogatszy język na świecie, że żaden inny nie ma tylu zamienników na jedno słowo. Drugi język, zaraz po rosyjskim, to niemiecki. Rozmowę przerywają kolejne telefony. Co chwilę konwersacja w innym języku. Wygląda to trochę nienaturalnie, tak jakby kazał wszystkim zagranicznym kolegom zadzwonić właśnie dziś. Żeby ktoś spoza tutejszych granic wiedział, że tu jest międzynarodowo.

– Goethe mówił, że tyle ile języków znasz, tyle masz dusz – odzywa się Andriej, po zakończeniu rozmów.

– Chcesz mieć ich cały rząd?

– Jak najwięcej – mówi twardo.

– A kim jesteś? – pytam

– Jestem Rosjaninem. Żaden inny język nie równa się z rosyjskim – wielka duma bije z jego słów.

Rosjanin, ale ten jego niemiecki chów widać w sprężystych ruchach, w czarnych obcisłych getrach, jasnej cerze i włosach.

Mieszkanie Andrieja i jego żony jest duże, chłodne, przestronne. Za kuchnią jest duży pokój, gdzie rozłożony jest sprzęt radiowy, bo Andriej nagrywa tu czasami jakieś rzeczy do pracy. W drugim jest sypialnia, a w trzecim sprzęt do ćwiczeń: sztanga, hantle, drążek do podciągania, przyrząd do rozciągania mięśni...

– Tyle ile czasu spędza się na pracy intelektualnej, trzeba poświęcić i kulturze fizycznej. Dlatego czekałaś na mnie, po tym jak zadzwoniłaś – akurat ćwiczyłem – tłumaczy, zaciskając nadgarstki i napinając silne przedramiona.

– Ten Roma to jest pewny? Zawsze możesz tutaj spać. Będzie ciekawie – ciągnął Andriej. – Bo gdyby ten Roma nawalił, to zadzwoń, z przyjemnością cię



przenocujemy. No i gdyby nie chcieli cię zameldować, to mam ojca w policji, coś zawsze się wykombinuje – powiedział wręczając mi swoją wizytówkę, która miałaby na wszelki wypadek otworzyć trochę zamkniętych drzwi.

(Roma był tak samo pewny jak i Andriej. Dzień przed przyjazdem do obu, a także do paru innych osób napisałam na portalu podróżniczym z pytaniem o oprowadzenie po Naddniestrzu).

Tutejsi mężczyźni, tak jak i ci w Gagauzji, są równie troskliwi, żeby nie powiedzieć, że traktują kobietę jak dziecko: zamawiają bilet, co chwila pytają się, czy wszystko w porządku, a jak odpowiadasz, że tak, to i tak ci nie wierzą. I tak wkoło, karuzela słów, gestów, obowiązkowej troski. Doskonale wiesz, gdzie masz jechać, gdzie wysiąść, ale wolą poprosić za ciebie, widocznie chcą czuć się potrzebni. Skoro chcą, nie ma sensu im w tym przeszkadzać. Nie ma co ingerować w zastany porządek rzeczy.

Gdy podjechała marszrutka, Andriej poinformował kierowcę, gdzie ma mnie wysadzić. Poczulałam na sobie wzrok pasażerów. Patrzyli na mnie, jak na pakunek do przewiezienia. Ja tymczasem wyciągnęłam zwitek rubli naddniestrzańskich (RN), które wymieniłam w kantorze przy spożywczaku. Nie za dużo, tak akurat na dobę, na żywność, koniak, drobne sprawunki. Poza tym w dużej mierze straciłam zdolność przeliczania walut. Jak wjeżdżałam do Mołdawii, najpierw zamieniłam polskie złotówki na euro, by te dopiero móc zamienić na leje. Teraz wymieniłam 280 ukraińskich hrywien, które miałam ze sobą jeszcze po ostatniej wyprawie na Krym, dostałam za nie 330 RN i 40 kopiejek.

Jak się mają leje do rubli naddniestrzańskich? Wydawały mi się nawet ładniejsze niż leje mołdawskie. Jedne i drugie są o jakieś 20 procent mniejsze niż polskie banknoty. Ruble są jednak dłuższe od lei, i węższe. Dość zgrabne maleństwa. Na 1, 5, 10, 20 i 25 rublach widnieje konterfekt Aleksandra Suworowa, rosyjskiego wodza, który założył Tyraspol. Na 50 rublach jest ukraiński poeta Taras Szewczenko, a na sturubłównie mołdawski gospodar Dymitr Cantemir. Na drugiej stronie banknoty mają piękne krajobrazy, na przykład: na zielonkawych 10 rublach – Kickanskij monastyr, a na śliwkowej pięćiorubłównie jest fabryka Kvinta.

Do produkcji naddniestrzańskiej waluty rękę przyłożyła w 2004 roku Mennica Polska. Wtedy jeszcze Polska Mennica Państwowa, wybijając około 8 milionów rubli naddniestrzańskich. Ten ruch spowodował „dyplomatyczne kłopoty”

między Polską, Ukrainą i Mołdawią. Polska została oskarżona o „sprzyjanie” Naddniestrzu, które to szczególnie dla Mołdawii jest tylko buntownikiem i solą w oku. Przedstawiciele mennicy tłumaczyli się potem, że to przedsięwzięcie czysto komercyjne i zamówiono u nich wyprodukowanie żetonów, a nie środków płatniczych. Wybili, bo takie było ich zadanie.

Śmieszne są te pieniądze. Funkcjonują tylko w Naddniestrzu, a jak gdziekolwiek chcesz się ruszyć za jego mikrą granicę, musisz je zamienić. Tyle zabawy tylko po to, by sobie udowodnić trochę niezależności, a przy tym utrudnić życie.

Podobnie jest z numerami telefonów. W Mołdawii operator zakłóca numery naddniestrzańskie, a w Naddniestrzu mołdawskie. Jak w piaskownicy, odgradzonej murem od wielkich bloków z rodzicami: niedobrymi, karzącymi Mołdawanami.

Wysiadłam w centrum. Miałam jeszcze godzinę do spotkania z dziewczyną o imieniu Natasza. Studentką. Umówiłam się z nią tak jak i z innymi przez internet. Porywisty wiatr wskazywał, że to ostatnie podrygi ciepła, o ile o takowym można jeszcze mówić, bo w zimowej kurtce, szczelnie zapiętej i nasadzonym na głowę kapturze było tak w sam raz.

Przedemną mrugały światła potężnego Domu Sowietów, zaraz obok wielka tablica upamiętniająca bohaterów NKWD i KGB.

– Czemu sika pan na bank? – już prawie powiedziałam głośno, tylko słowa zatrzymały się gdzieś w zakamarkach ciepłego szalika, gdy zobaczyłam młodego



mężczyznę, w centrum miasta oddającego moc na budynek. Pomyślałam, niech leje. Niech sobie leje Naddniestrzanin na bank nad Dniestrem.

Bezczelnie patrzyłam się, jak spodnie opadły mu do kostek, nogi pozostały lekko ugięte, uda napięły się, prawą ręką podparł się, a wychudłe biodra przytulił do wymuskaney ściany banku zdziercy. Gazprombanku. Strużki moczu łagodnie spadały na chodnik stykający się ze ścianą i spływały kilkoma strumykami, tworząc prawdziwe naddniestrzańskie Mazury. Zimna, grudniowa ściana z lubością przyjmowała ciepłą urynę, która na całej długości odwdzięczała się jej pióropuszcami gorącej pary. Chyba pan, który lał na bank, nie za bardzo go lubił. Z nieukrywaną ulgą wciągnął spodnie, zasunął rozporek, wytarł dłonie o pośladki, mało przenikliwym, zmęczonym wzrokiem rozejrzał się, czy nikt go nie widział i ruszył tanecznym krokiem przed siebie. Pan sikacz.

Uniosłam głowę w górę, błękitny szklany budynek piął się do samego nieba.

Tutaj banki są bardzo okazałe. Sowiecki gotyk zapierdala w górę z szybkością rakiety Jurija Gagarina, którego to uśmiechnięta podobizna wisi obok innych wielkich, honorowych, zasłużonych obywateli Tyraspola. Tak, jest tu i Bulwar Gagarina. Jest

i Wierchownyj Sowiet – siedziba rady najwyższej. Jest i betonowy parlament i Pałac Twórczości Dzieci i Młodzieży, Memoriał Sławy, pomnik żołnierzy poległych w Afganistanie, Muzeum Sztabu Brygady Kawaleryjskiej G.I. Kotowskiego i jakże zielony w porze wiosennej park Pobjeda. Jak się go przejdzie, można niemal się potknąć o marzenie pijaków, alkoholików, wielbicieli mocnych trunków. Tak, tak, przed oczyma rozpościera się subtelny widok kształtnej wytwórni alkoholi Kvint. Firma działa od 1897 roku i zaczynała od „Białego Ajstu” (Białego Bociana), pięcioletniej brandy. Teraz jest tam wszystko, czego wątroba długo nie zniesie.

Gazprombank



Ruszyłam w stronę uniwersytetu, bo byłam spóźniona dobre 10 minut na spotkanie ze studentką, której wcześniej na oczy nie widziałam. Miałam tylko jej numer, a mój mołdawski telefon w warunkach naddniestrzańskich raz łapał zasięg, raz nie. Jakby nie mógł się zdecydować, czy jest Mołdawianinem, Rosjaninem czy tylko gościem.

Nagle przed oczyma ukazała mi się czerwona czapeczka i szalik i czyjeś nerwowe ruchy. Ruszyłam w stronę komunistycznej barwy. Coraz wyraźniej rysowała się przede mną postać niewysokiej, drobnej, ciemnej blondyneczki. Rozglądała się za kimś, nerwowo podnosiła telefon do ucha i wkładała z powrotem do kieszeni. Kiedy do niej dochodziłam, odwróciła się w moim kierunku ze śmiejącymi się ogromnymi, orzechowymi oczami i czerwonym jak jej szalik nosem.

- Privet Natasza! – powiedziałam urzeczona wdziękiem dziewczyny.
- Roma będzie dopiero o 19.00 – odpowiedziała.
- Nieważne – powiedziałam i ruszyłyśmy na ogląd Tyraspola.

Tyraspol to miasto Suworowa. Jego pomniki są wszędzie, zwykle na koniu, w walce, odważny, wielki. Jest też przed uniwersytetem.

- Stoi tu, choć nie ma z nim nic wspólnego – komentuje Natasza.

W końcu żył w XVIII wieku, więc trudno, żeby stawał uniwersytety w XXI wieku, choćby nie wiem jak tego pragnął. A poza tym, ze względów niemal osobistych, pozytywnych wyczynów to ja mu nie dodaję, wręcz darzę osobistą urazą. Otóż dograł się tym, że w 1794 roku stanął na czele korpusu ukraińskiego, który miał za zadanie ostatecznie rozliczyć się z powstańcami kościuszkowskimi. W okresie od września do października zepchnął gen. Karola Józefa Sierakowskiego (!) pod Krupczanami i pobił pod Terespołem.

Dwa lata wcześniej przed tym jak potraktował Sierakowskiego zbudował twierdzę na rozkaz carycy Katarzyny II, a wokół niej powstał Tyraspol. Po twierdzy znaku nie ma, Tyraspol ma się coraz lepiej.

Nataszę tylko poinformowałam, że w Polsce, o ile ktoś o Suworowie słyszał, to właśnie to, że był wybitnym taktykiem wojennym. O reszcie już nie wspomniałam, bo to już tylko moje osobiste rozterki i nie warto nimi nadwierać tak ładnie zapowiadającej się przyjaźni polsko-naddniestrzańskiej.

Przemierzyłyśmy pół miasta, bym mogła zobaczyć jego wielkość. Tutejsze pomniki takie właśnie są. Waleczne, bohaterskie, władcy na koniach, którym poświęca



płaszczka łopoczą na wietrze, a końskie kopyta wzbijają się wysoko, tnąc powietrze. Twarz dowódcy krzyczy, nawołuje do walki, jego prawa ręka wyrzucona w górę daje znak do rozpoczęcia, koń rży. Nikt z takim Suworowem w szranki nie stanie. Nikt!

Im bliżej centrum, tym budynki bardziej pną się górę, strzeliste, długie, smukłe. „Gotyk sowiecki” – tak tutaj mówią na Wierchownyj Sowiet. Przed nim dumnie sterczy Włodzimierz Ilia. Może i nie ma konia i nie taki wojowniczy jak Suworow, ale tak jak i u reszty poły płaszczka targa wiatr, unosząc go nonszalancko na wietrze. Tak jakby on, Lenin był ponad wszystkimi. Wygląda jak Keanu Reeves przed walką. Sowiecki gotyk. Sowiecki matriks. Choć mówią też na niego „Batman”.

Szarówka, ale dobrze oświetlone miasto (czego oczywiście nie da się powiedzieć o mołdawskich miastach) karmiło niezapomnianymi doznaniem w postaci wszelkiej maści plakatów, billboardów, pomników Igora Smirnova. Ten z krzaczastymi, smolistymi brwiami i mleczną, ładnie przyszyżoną brodą, pręży się w każdym zaułku i na każdej prostej. Nie za duży, łysawy, z dobrodusznym uśmiechem. Wieczny prezydent Naddniestrza, który pełni kadencję już czwarty raz.

Następny w kolejności występowania na bohatersko jest Putin. Rosjanin, prawdziwy przyjaciel Naddniestrza.

Natasza chyba już była przystosowana do oprowadzania obcokrajowców. Pewnym krokiem ruszyła w stronę kolejnych zabytków. Pojawiają się następne, strzeliste, monumentalne, szklane siedziby banków. Spacer kończymy niedaleko jeziora Nadieźdy.

Siedzimy już w knajpie, gdy dochodzi Roma. Tak samo ładny jak Natasza, tak samo uśmiechnięty, tak samo nie za duży i wyluzowany. Knajpa nie przypomina tych gagauskich, od których wieje starością i machorką. Jest nowoczesna, ma miejsca dla niepalących, co jest tu niespotykane. Młodzież wcina pizzę, matki wsadzają dzieciaki do samochodzików. Wszelkich zabawek jest tu pod dostatkiem. Mężczyźni piją piwo. Sala wielka jak hala.

Natasza z Romą oglądają mój paszport.

Urząd Imigracyjny jest już zamknięty. Idziemy na komisariat milicji. Jest w centrum, przy ul. Róży Luksemburg. Przecina się z Karola Marksa, niedaleko mieszkania Romy. Idziemy we trójkę. Oni nie mają pojęcia o meldowaniu się: Natasza jest studentką, mieszka w akademiku, a Roma programistą, który jak się okazuje

wynajmuje mieszkanie i nie jest tam zameldowany. W grę wchodzi więc zameldowanie się w mieszkaniu niezameldowanego! Hm...

Jesteśmy na Róży Luksemburg. Komisariat zamknięty. Obchodzimy go dookoła, ale po stróżach prawa ani widu, ani słyhu. Drugiego wejścia nie ma. Jednak jest promyk nadziei. Z boku budynku, z małego, zakratowanego okienka dochodzi światło. Otwór jest na wysokości czoła, więc trzeba było zrobić dwa kroki w tył, żeby dostrzec, czy ktokolwiek jest w środku. I był, a raczej była, duża pani posterunkowa. Zapukałam w okienko. Duża pani posterunkowa, w ciepłym swetrze bez rękawów wciśniętym na mundur, z nienaganną kreską na oku i niesfornymi, farbowanymi na blond lokami wychyliła głowę przez mały otwór okienny. Wyglądała jak pracownica kiosku z gazetami.

Blondyna zmierzyła mnie wzrokiem, wzięła mój paszport i kartę wjazdową do Naddniestrza i zatrasnęła okno.

Roma zaczął kopać wysuszone okrawki liści, Natasza badała mur milicyjny. Staliśmy tak na zimnie, między jakimiś krzakami i żywopłotem. Nie było to położenie zbyt dogodne, ale wygląda na to, że w nocy wszystko odbywało się za



Uniwersytet w Tyraspolu

pośrednictwem tego małego okienka. Ciekawe, czy jak policjanci przyprowadzą zatrzymanego, to też w nie pukają i stoją tak z nieszczęśliwym.

Zaczęłam nucić jedyną piosenkę, jaka mi przysłała do głowy i wydawała mi się stosowna na tę chwilę. Była to Ałła Pugaczowa: *Tak że kak wsie szczastie siebia proszu...* Roma zaczął się krztusić ze śmiechu.

Nie minął kwadrans, pani posterunkowa uchyliła okienko, oddała paszport i wręczyła mi małą karteczkę, wielkości połowy naszej recepty na leki, na której było napisane, że Sirakowska Judyta od 14 do 15 grudnia jest zameldowana na ul. Karola Marksa 147/36, pod spodem podpis blondyny i stosowny stempel lokalnej policji na pół połówki „recepty”.

– Podoba mi się. Naprawdę fajne mam mieszkanie! – zażartowałam, ściskając w rękę dokument potwierdzający mój meldunek na Marksa i stojąc w progu kawalerki Romy.

Tak, byłam zameldowana w obcym mieszkaniu, bez wiedzy właściciela.

Mieszkanie Romy, mimo że jednopokojowe, dawało ogromną przestrzeń. Kiedy Natasza z Romą byli po drugiej stronie pomieszczenia, ledwie byliśmy w stanie się dojrzeć. Pokój miał co najmniej 40 metrów. Było dużo milej niż w ciasnych, małych, dusznych, gagauskich mieszkaniach. Milicyjne, wojskowe państwko nie dusiło.

– Jesteś trzecim obcokrajowcem w ciągu tygodnia – powiedziała Natasza. – Ale w sumie, co z ciebie za obcokrajowiec, jak ty mówisz po naszymu!

Nieżyły przerób. Ta informacja nieco mnie zdziwiła, biorąc pod uwagę nieturystyczność Mołdawii. Trafiłam na bardzo otwartych Naddniestrzan. A do tego dobrze gotujących i dobrych kompanów do wina.

Ledwie 7.00, a Roma biega od okna do okna i krzyczy: niemożliweee! Nieceemożliwe! Napraaaaawdę spadł!

Tu śnieg pada rzadko, parę dni w roku, a zwykle jest na tyle ciepło, że jak płatek doleci do chodnika, to się zdąży rozpuścić. Nie tym razem! Wyglądaliśmy z Romą przez okno. Z nieba spadały płaty wielkie jak pięciozłotówki. Parapet był cały w mlecznym puchu, domy, ulice, samochody, ludzie na czapkach mieli wieżyczki ze śniegu.

– Sprowadziłaś śnieg! – głośno stwierdził Roma.

Idę na uniwersytet. Nie ma co, kolorowa szkoła. Zaraz przy wejściu, na prawo, malowidła przedstawiające greckich myślicieli, wokół nich krążą figury geometryczne, krzywa wieża w Pizie, słońce, wielki sfinks, małe piramidy, Akropol... Na lewo bardziej nowocześnie: dwie główki w śnieżnobiałych koszulkach, na tle rozgwieżdżonego nieba i planet. To muszą być rosyjscy kosmonauci: Walentina Tiereszkowa i Jurij Gagarin. Oboje piękni. On stylizowany na Elvisa Presleya, ona na gwiazdę filmową.

Natasza już na mnie czeka. Idziemy na śniadanie do kawiarni „7piatnic” (7piatków). Natasza mówi, że otworzyli ją niedawno. To widać. Niby lansiarska, ale z dobrym gustem. Drewno na suficie, białe skórzane fotele, kelnerzy w czerni, spokój, delikatność. No może ta biała skóra to nie to, ale mimo wszystko nie drażni oczu. Wrażenie robi z zewnątrz: cała w ciemnym drewnie w kolorze kawy, wielka 7, mniejszy napis „piatnic”, ogromne okna, a nad nimi sepiowe przedruki gazet. Na bogato, ale ze smakiem.

Czas na koniak, czyli obowiązkową wizytę w Kvincie. Ekspedientka ze ściągniętym kucem i taką samą ściągniętą twarzą nie była w stanie niczego polecić. Zrobiła tylko zamaszysty ruch ręką i wskazała półki: „jest to, co widać!”. Problem w tym, że widać było dużo. Gdy zapytałam o wino, zrobiła się niemal smutna i powiedziała, że nie pije, ale klienci najczęściej kupują „to i to” rzuciła, wskazując na butelki. Wzięłam to, o czym się naczylałam: dwie duże butelki siurpryznego, 10-letniego koniaku, wyprodukowanego specjalnie dla Nikity Chruszczowa na XXII Zjazd KPZR, butelkę 20-letniego Solnechnego, w którego orzechowym kolorze można niemal utonąć, no i obowiązkowo „Biełyj Ajst”. Najmłodszy z kolegów, pięciolatek, którego najintensywniejsza woń to dębowa beczka, w której leżakował zanim trafił na półkę spiętej pani.

Zdyszane dobiegłyśmy z Nataszą na postój marszrutek. Niepotrzebnie. Kierowca bynajmniej nie planował odjeżdżać punktualnie o 12.00, tak jak było na rozkładzie. Środek tygodnia, tłumy nie waliły, walił śnieg. Kierowca poganiał ludzi, by wsiadali, ale sam się do tego nie kwapił. Nagle wyskoczył z busa, pobiegł na dworzec, wrócił, policzył nas, pobiegł z powrotem, wrócił, znowu na nas popatrzył i znowu gdzieś pobiegł. Potem wrócił i stanął sobie przy marszrutce, wyjął papierosa, zaciągnął się wydobywając na swoją twarz niezmiernie zadowolenie, na tyle duże, że gdy skończył palić jednego papierosa, przypalił następnego i dalej tępo gapił się na padający śnieg.



Przy czwartym papierosie doznał olśnienia, popatrzył na siedzących w marsrutce i stojących przy niej, i zaczął poganiać: „Wsiadać, wsiadać! Nie ma czasu! Wsiadać! No już...”. Para obok zakończyła całowanie, dziewczyna wcisnęła się do busa. Natasza zaczęła otrząpywać mnie ze śnieżnego puchu, wyjęła kilka garści zimnych kryształków z kaptura. Popatrzyłam na nogi, już nie widać było moich żółtych butów, całe były przykryte wilgotną pierzyną z płatków.

– Za mało! – powiedział kierowca, gdy wręczyłam mu 50 lei. Popatrzyłam zdziwiona, bo dzień wcześniej to było akurat tyle, ile trzeba na trasie Komrat – Tyraspol.

– Jak za mało?! Wczoraj zapłaciłam 50.

– Osiuda doroże (stąd drożej) – poinformował i dodał ucieszony: – A mówił kto pani, że tutaj łatwiej przyjechać niż stąd wyjechać? – zaśmiał się.

Przypomniałam sobie mężczyznę na przejściu granicznym.

– To ile? – zapytałam dość głupio. W końcu i tak nie daje nam biletów, cholera wie, po co biegając do tutejszych kas, skoro nie wie, kto gdzie wysiada i czy każdy ze stojących obok jego busa wsiądzie.



– 65 lei albo 45 rubli.

Dałam mu 60 lei i poinformowałam, że więcej nie dam, bo reszta to tutejsze ruble i chcę sobie je zatrzymać na pamiątkę. – Może być! – odpowiedział i poszedł zgarniać gotówkę od innych.

Kto dalej ile wytargował i na kim i ile zarobił kierowca, nie wiem. Taką zjizną. W końcu wszystko i tak odbywa się z ręki do ręki i głupi ten, kto daje bez szemrania.

Jeden lej to mniej więcej 0,7 RN. Jakby Naddniestrze chciało powiedzieć, że jest lepsze od Mołdawii, niezależne od niej. Nawet ich waluta ma się lepiej. Tutaj nawet niechęć jest mocniejsza od miłości. Naddniestrze kocha Rosję i choć tam rubel i tu, to rosyjski jest pięć razy tańszy od tutejszego, chyba tylko po to, by ten droższy stał wyżej od lei, wyżej od waluty kraju, od którego się odżegnuje. Tak, to prztyczek w nos Mołdawii, kopniak w tyłek krajowi, który tuli się do Rumunii.

Ledwie przejechaliśmy kilkaset metrów niesforny kierowca zatrzymał się i gdzieś pobiegł. Po kilku minutach wrócił z pakunkami, które zaczął wciskać pod siedzenie, za oparcie i gdzie tylko się dało. Ruszył ponownie. Zjechał z głównej i znaleźliśmy się pod czym? A pod fabryką i sklepem firmowym Kvinta. Wybiegł z pustymi rękoma i wrócił z kilkunastoma butelkami koniaku. Bez zbędnych pytań zaczął je wkładać pasażerom do toreb, na głos licząc: „ty masz dwie”, „ty trzy”, „o, oo, pan jeszcze nie ma?! O już pan ma” – swiergotał zadowolony z siebie, a i bardzo pobudzony, bo dobrze rozmieścić tyle flaszek to nie lada sztuka. Co się w cudzych torbach nie mieściło, upychał pod i w siedzenia, które okazywały się niebywale pojemne. Została mu ostatnia butelka, spojrzął na mnie, niemal z sympatią. Rozsunęłam plecak i pokazałam mu wachlarz koniaków i powiedziałam: „dziękuję, ale mam swoje. Limit wyczerpany”.

Ostatnią butelkę nonszalancko rzucił sobie pod nogi.

Już prawie witaliśmy się z Benderami, już prawie całowaliśmy klamki wrót przejścia granicznego, a ten znowu się zatrzymuje i rzuca do drzwi. – Panie kierowco! – już nie wytrzymałam.

– Co tam dziewczuszka?! – zdziwił się.

– Jak w ciągu 10 minut nie spotkamy się z celnikami, to pomoże mi pan w płaceniu 750 dolarów kary – zupełnie spokojnie zagałam, skupiając na sobie wzrok wszystkich.

Pobiegł jak oszalały, wrócił dosłownie po minucie z pięcioma ogromnymi, jeszcze parującymi bochnami chleba. Tych już ukrywać nie musiał. Rzucił na deskę rozdzielczą i pognał przed siebie. Ostatnie kilometry pędził, aż śnieg, podrzucany z drogi przez koła, rąbał o szyby. Ledwie wyhamował, wybiegł z marszrutki z dokumentami i już za chwilę wszedł celnik. Jeszcze młokos.

Staął nade mną, zwinął w rękę moje zameldowanie, popatrzył na zegarek, na mnie, na paszport, na pieczątkę. Potem znowu na zegarek, na mikrą karteczkę, która mówiła, że mieszkałam w jego kraju, znowu na mnie... Obdarzyłam go słonecznym uśmiechem. Wziął mój paszport i poszedł dalej, rzucając mi na pół władcze, na pół dajmy na to przyjacielskie spojrzenie.

Konfiskata majątku nastąpiła siedzenie za mną. Celnik wyciągnął za fraki jakiegoś dwudziestoparolatka. Przez szybę przyglądaliśmy się jak ten wyjmując z portfela pieniądze i wręcza je służbiście. Ile i za co, nikt z nas nie wiedział.

Potem chłopak wrócił. Kierowca zagadał go: „ile straciłeś?”, ale ten nie miał ochoty na pogawędkę. Siadł za mną i wkurzony patrzył w okno.

Celnik znowu wpadł do busa. Położył mi na kolanach paszport i wyszedł.

– Ile czasu zostało? – podpytali mnie pasażerowie.

– Dwie minuty – odpowiedziałam, zdając sobie sprawę, że przy odrobinie złej woli, mogłam zostać zaciągnięta na posterunek i pożegnać się z powrotem do Polski.

– Choroszaaja dziewczuszka!! – zawołał kierowca i radośnie pogwizdując, ruszył.

Jak się potem okazało, ruszał tak jeszcze nie raz, nie dwa.

Pierwszy postój nastąpił kilkanaście kilometrów za Benderami. Na przystanku sterczał jakiś pijaczyna, który wcisnął kierowcy w rękę zwitek z banknotami, a w zamian przytulił do swej piersi buteleczkę wódeczki. Po drodze takich przystanków przed domami, na krzyżówkach ulic, przy polnych drogach było tyle, ile i butelek powciskanych w zakamarki marszrutki.

Kierowca był fenomenalny, dokładnie pamiętał, gdzie komu i ile włożył alkoholu. Zatrzymywał się, pewnym krokiem podążał do czyjejs torby, wyjmował i sprzedawał. Samoobsługa. Nikt nie reagował.



Na kolejnym przystanku też wyniósł koniak, ale zamiast banknotów wtaszczył... stolik. Wcisnął go między swoje siedzenie i pierwsze pasażerskie, przywiązał sznurkiem i ruszył. Nikt nic nie mówił.

A potem się zakopaliśmy.

Dziewczyna z Congazu, ta która namiętnie całowała się przed odjazdem, tak jak i ja nie kwapiła się do odgarniania śniegu. Wprawdzie w nieszczelnej marszrutce było prawie tak zimno jak na dworze, ale przynajmniej nie padało na głowę.

Obok nas przejechał duży ciągnik, który ciągnął za sobą małą ciężarówkę. Połowa marszrutki nawoływała kierowcę, by ten zatrzymał traktor i poprosił o wyciągnięcie, ale ten nie reagował. Ciągle gdzieś wydzwaniał. Potem ruszył na drugą stronę ulicy i z kopca kreta zaczął nosić ziemię i sypać ją pod koła. Nosił ją w rękach. Jedna z pasażerek, kobieta o pocziwej twarzy, wybiegła i zaczęła razem z nim nosić ziemię. Cała reszta w busie miała ją i kierowcę gdzieś. Bo ten dusigrosz nie chciał zatrzymać traktora, żeby za niego nie zapłacić, a dzwonił nie po pomoc, ale do kolejnych amatorów wódki z informacją, że się opóźni dostawa.

Zaspy sięgały kolan, ciągle wiało, mróz był coraz większy, a oni w garści ściskali ziemię i ciskali ją pod koła. Ktoś się zlitował i dał im reklamówkę.

Potem traktor minął nas ponownie, ciągnąc tym razem auto, a kierowca i jego „pomocnica” nadal nosili ziemię, którą wydobywali spod śniegu.

Kobieta obok zaczęła panikować, że nie dojedzie do domu, że jest z Cahulu i właśnie odjeżdża w tamtym kierunku ostatni autobus z Komratu. Ma wprawdzie jakąś krewną w Komracie, ale się z nią nie porozumie, bo nie ma telefonu. Dałam jej swoją komórkę, ta wyciągnęła notes z numerami, ale tak trzęsły się jej ręce, że sama odnalazłam nazwisko w kalendarzu, wykręciłam numer i przytuliłam telefon do jej policzka.

Po godzinie ekipa „kopiec kreta” naznosiła już tyle ziemi, że pozostało już tylko popchać marszrutkę. Silnik warczał, koła grzęzły, pchaliśmy. W końcu ruszyliśmy. Chyba tylko po to, by kwadrans później kierowca znowu się zatrzymał i pobiegł do kolejnego klienta z kolejną flaszką.

Do Komratu już zaledwie 40 kilometrów. W Cimișlii dojeżdżamy do skrzyżowania, zawierucha straszna. Przed busem przebiegają ludzie, z koszami, torbami, wózkami, bo to pora, kiedy zamykane są targowiska i wszyscy uciekają z manatkami do domów. Cali ośnieżeni, otuleni w anoraki, szale, kozuchy. Nagle nasz przedsiębiorczy kierowca hamuje z krzykiem: „O Gooospodii!!!” Przed marszrutką stopniowo



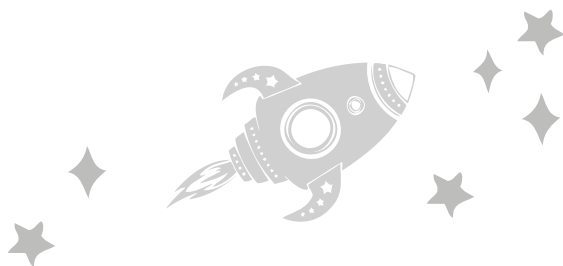
ukazuje się najpierw twarz mężczyzny, potem i cały tułów. Wlepia on mętne oczy w przednią szybę busa, patrzy na nas, my na niego. Bawi się przez chwilę wycieraczką, drapie po głowie, odwraca i rusza powolnym, niedbałym krokiem. Szczupły z wydatnym pijackim brzuchem, na jego dawno niestrzyżonych i niemytych szpakowatych włosach leży śnieg, który ten miękkim ruchem strzepuje sobie z głowy i ramion. W drugim ręku ściska wysłużoną reklamówkę z marketu. Zarzuca prawą nogę na lewo, dzięki czemu udaje mu się płynnie skrócić w boczną ulicę. Na sobie ma tylko białe, ledwie trzymające się na wychudzonym tyłku slipy.

– Zaskoczyła go zima! – zabłysnęła pani obok, sąsiadka pomocnicy „kopca kreta”. Reszta patrzyła z otwartymi ustami. Dziewczyna z Congazu chichotała.

Z Tyraspola drożej. I dłużej. Zamiast 2,5 godziny, do Komratu dojeżdżamy w pięć godzin. Pięć w nieogrzewanej marszrutce, po której hulał wiatr i rozgościł się mróz! Stopy w mokrych butach były sztywne jak grudki lodu i bolały jakby je ktoś połamał.

Wjechaliśmy do stolicy Gagauzji. Gdy otworzyłam drzwi busa, wpadłam po kolana w zaspę. Było już ciemno. Nadal niemiłosiernie wiało. Brodząc tak po omacku, doszłam do domu na Sportivnej. Od zimnego potu zawilgotniała podkoszulka, oczy od gorączki świeciły jak latarenki. W mieszkaniu było zaledwie kilka stopni. Odkręciłam ogrzewanie do oporu, rury zaczęły drżeć, charczeć, podskakiwać. Robiło się coraz cieplej.

Wymoczone zamarznięte nogi nabrały różowego koloru. Otuliłam się ciepłym kocem i kołdrą i przytuliłam policzek do ciepłego, parującego kubka z naddnie-strzańskim koniakiem.





EGZAMIN



I zaspałam. A raczej ruski budzik nawalił, bo nie zadzwonił. Obudziłam się dokładnie o tej godzinie, o której miały wyjeżdżać samochody z uczniami do Kiszyńiowa.

Wyskoczyłam z łóżka, wciągnęłam jeansy, buty i kurtkę na nagi tułów, bo już na ubieranie górnej części ciała nie było czasu i pobiegałam. Na dzień dobry zanurkowałam w półmetrowej zaspie. Potem były już tylko większe. Niezrażona, brodziłam w śniegu aż do domu Wolewiczów. Cała zgrzana, ledwie łapałam oddech. Jak dobiegłam, akurat cała sfora wychodziła z domu.

Liczę, sprawdzam, brakuje Ludy Łomacz. – Gdzie pani Łomacz?!

– Urodziła wczoraj – mówi Świeta.

Kogo mogłam to kopnęłam w tyłek, tłumacząc, że w Polsce robi się to na szczęście. Luda otaksowała mnie wzrokiem, patrząc jak na wariata. Jej nie kopnęłam. Ona nie zdawała. Jako społeczniczka, zawsze z wszystkimi wszędzie jeździ. Zresztą nawet nie wyobrażam sobie zrobić tego Ludzie.

– Jeszcze jest tu z nami taka pani, co chce by ją podwieźć do Kiszyńiowa – mówi Luda.

– To ją bierzcie – krzyczę.

Tak naprawdę ta kobieta była moim usprawiedliwieniem na zaspanie. A dzięki temu ona miała miejsce.

Dobrze dla niej i dla mnie, bo jeszcze zestresowani uczniowie wypytywaliby o odpowiedzi na egzaminacyjne pytania i mogłaby wyniknąć jakaś niepotrzebna panika.

Dwie godziny później, jak już wiedziałam, że są na miejscu, zdają dokumenty, być może już ktoś pierwszy wchodzi, może ktoś czegoś zapomniał, źle wypełnił,

zaczęłam nerwowo chodzić po domu, zbierać jakieś niewidzialne śmiecie z dywanu, poprawiać makatki, przekładać książki. Z każdą minutą byłam bardziej rozdrażniona. Nie sądziłam, że bycie nauczycielką w chwili egzaminu podopiecznych to krwawa jatka we wnętrzu własnego żołądka. Na dworze był niemożliwy mróz, za bardzo nie miałam okazji wyzycia się i zrzucenia z siebie stresu wynikającego z martwienia się o swoją gromadę.

Mijały kolejne godziny i cisza. No ja pierniczę, żeby mnie tak stresować!

W końcu nie wytrzymałam, ubrałam się i ruszyłam przed siebie. Poszłam do sklepu z winami. Pani Wiera nalała mi kubek trunku i zapytała: – Ciężki dzień?

– Można tak powiedzieć – rzuciłam i wyszłam, bo czułam, że nie jestem w stanie dreptać w miejscu, zwłaszcza przy kranie z winem.

W drodze powrotnej zaopatrzyłam się w „Komsomołkę” i jakiś mołdawski „świerszczyk”. Rozłożyłam gazety na stole i zabrałam się do czytania, a właściwie to bardziej do oglądania. Nagle usłyszałam walenie do drzwi: – Judyto!!! Judytooo!!! – dochodził głos Pana Sławka. Niemal przyłapaną na zbroczeniach, szybko przykryłam brzydkie gazety tutejszym polonijnym pismem „Jutrzenka” i rzuciłam się, by otworzyć mu drzwi:

– Judyto, wrócili!!! – orzekł pan Sławek.

– I??? – zapytałam.

– I jak pójdziesz ze mną, to się dowiesz – powiedział jak zwykle tajemniczy Pan Sławek, bez litości trzymając mnie kolejne minuty w niewiedzy. Krwiopijca bez serca!

Wpadłam do Wolewiczów z pytającym wzrokiem. Luda akurat przebierała się. Stała w rajstopach i podwiniętej halce. To się nazywa egzaminacyjny strój – pomyślałam. – Gdzie są wszyscy???! – zapytałam.

– Paszli doma – spokojnie odpowiedziała Luda.

– Jak to paszli? Poszli, znaczy się – poprawiłam się. No pięknie, ja tu popadam w szaleństwo z niepokoju, troski, od czekania, a oni najzwyczajniej w świecie rozeszli się do domów.

– Stąd zawsze drożej – powiedziała Luda dając mi bilet do Warszawy, o którego kupienie poprosiłam ją kilka dni wcześniej.

No proszę, sądziłam, że dałam Ludzie nadwyżkowe fundusze, a jeszcze musiałam kilka euro dołożyć. Tak, tak, tu średnio wszystkie „wjazdy” są droższe o jakieś 20 procent niż wjazdy, jakby Mołdawia chciała powiedzieć: „dziękujemy za wizytę i nie zapraszamy ponownie”.

– Luuda, Luda co z egzaminami?? – dopytywałam.

– No kak? Wszyscy sdali – rzuciła Luda. – Pani Swietlanę spraszili, ile lat ona uczyła się polskiego jazyka, a ona że trzy miesiące, ale było zdziwienie!!

– Oooo – wzruszyłam się.

– A co z Ludą Łomacz? – zapytałam.

– No ona w szpitalu, urodziła syna – odpowiedziała Luda. – Miała termin na nasze Boże Narodzenie, ale pospieszyła się o 10 dni.

Jak się potem okazało, miała żal do tych, co pojechali na egzamin do Kiszyniowa, że jej nie powiadomili, bo była w tamtejszym szpitalu, a oni wszyscy sądzili, że w komrackiej bolnicy.

Cały ostatni tydzień padał śnieg, wielkie płaty, do tego wiał porywisty, okrutnie lodowaty wiatr. Żeby wyjść na dwór i przeżyć, musiałam wkładać rajstopy, spodnie, wełniane skarpety do kolan, dwa swetry pod kurtkę, czapkę i szalik. Ledwie mogłam się poruszać. Jak kukła, ale przynajmniej opatulona.

Trochę mierzilo mnie i martwiło zarazem, że to już ostatnie dni, że jeszcze nie zobaczyłam tylu rzeczy, a teraz przy takiej pogodzie odechciało mi się wycieczek. Wiedziałam, że i tak mało gdzie zastanę żywą duszę. Ale tak bywa, gdy się jest frajerem i odkłada się wyprawy na później.

Ze śniegu cieszyły się dzieci, które brodziły w zaspach, lepiły bałwany, tarzały się w puchu jakby w ogóle nie odczuwały kilkunastostopniowego mrozu. Tyle śniegu to Komrat chyba nie zaznał. Pan Sławek mówił, że to przeze mnie.





IMPREZA W MUZEUM



Pójście na imprezę dzień przed odjazdem nie jest najlepszym pomysłem. No, ale akurat przypadało 40-lecie Muzeum Gagauzji. No jak otkazaż?!

Był tłum ludzi, przygrywali „Gagauskie korobiejniki”, po sali krążyły stare zdjęcia, były przemowy, łyż wzruszenia, gagauska telewizja, gagauscy artyści, no i zastawiony stół.

Najdziwniejsze w tym wszystkim, że o nikim z nich wcześniej nic nie wiedziałam, a czułam się jakbym piła z ludźmi, których znam od kołyski. Poeta Andriej Kopca i jego druh okazali się starszankami umiejącymi się bardzo dobrze bawić. Wybierali mi co lepsze zakąski i podawali, mówiąc: „Smakuj”!

– Jak się pije to trzeba dużo jeść, by długo wytrzymać! – rzucił Kopca.

– A to może należy mniej pić?! – dopytałam.

Popatrzyli na mnie ze zdziwieniem.

Był ferwor, Kopca opiekował się mną prowadząc za rękę od stołu do stołu i polewając z kolejnego baniaka. Przy tym wszystkim ostro perorowaliśmy o polsko-gagauskich stosunkach, o sytuacji gagauskich artystów, i śpiewaliśmy stare kawałki, a raczej śpiewał Kopca z kompanem, a ja dołączałam przy refrenach.

Potem stwierdził, że należy mi się trochę zabawy – tak jakbym jej nie miała cały czas i przedstawił mi dwóch rosnących młodzianów. Jeden z nich, Lenia ucałował mnie w rękę, a potem wziął za nią, a drugi dygnął przede mną jak dzierlatka na wydaniu i ruszył przodem. Coraz szybciej i szybciej, i nagle już żadne z nas chyba nie wiedziało dlaczego biegnie. A biegliśmy schodkami, kolejnymi komnatami muzeum. Jak antylopy na sawannie, jak spłoszone gagauskie dziki. Lenia cały

czas trzymał mnie za rękę. Zapytałam: „Po co?” Odpowiedział z przekonaniem: – Bo ja się Tobą opiekuję!

Jego kompan w podskokach zaczął wywijać kankana, a za chwilę żonglować jabłkami. Potem włożył kask, wziął chyba ze zbiorów muzeum stary karabinek i zapytał: – A ty dziewczuszka skąd?

– Z Warszawy!

– A to trzeba cię kochać albo zabić!

– Fiu, fiu – zamamrotałam i powoli zaczęłam się cofać, rozpoczynając wbrew swoim miękkim od picia nogom, dziki bieg. A wraz ze mną Lenia, bo zamiast zwolnić uścisk chwycił moją rękę jeszcze mocniej. Kompan Leni ganiał nas po muzeum, a my udawaliśmy, że trwa wielka polsko-gauska wojna i musimy się chronić przed groźnym najeźdźcą! Biegaliśmy z Lenią po całym Muzeum Gagauzji, to chowając się za wypchanym dzikiem, to za obrazami ze Stefanem cel Mare. O tak! Cała przestrzeń muzeum była nasza! Nagle zatrzymałam się...

– Chyba pan Stefan zmarszczył brwi – stwierdziłam zagryzając jabłko i patrząc na podobiznę wielkiego przodka wiszącą na ścianie.

– Myślisz? – zapytał Lenia.

Nagle zza futryny wychylił się najeźdźca z karabinkiem i nas... powystrzelał.

Zmęczeni biegami wróciliśmy na salę do poety Kopcy. Ten od razu nam polał, a Kola włożył mi na palec pierścionek i powiedział, że już nigdzie nie wyjadę,



tu moje miejsce, tu mam miłość. Co znowu z tą miłością? Ci namiętni Gagauzi! Omiotłam wystraszonym wzrokiem salę i zapytałam zaczerwieniona, czy to żart? Zaczęli mnie tulić, całować po czole, policzkach, jakbym była lalką. Misza wręczył mi słoiki z konfiturami (kiedyś obiecał, że dla mnie zrobi i rzeczywiście słowa dotrzymał – w końcu Gagauzi są słowni). Jego kolega z zespołu dał mi płytę i ze łzami w oczach ucałował. Nie wiedziałam, co się dzieje, to obściskiwanie, głaskanie nabrało jakiegoś wielkiego kalibru... Stałam jak wystraszone dziecko.

– Tu wszyscy płaczą. Dlaczego? – wyjąkałam.

– Chodź, idziemy na spacer – powiedział Lenia.

Włożył mi płaszcz i ruszyliśmy na mróz. Od picia nie było wiadomo, jaka jest temperatura, a te biegi przełajowe między gagauskimi eksponatami strasznie mnie rozgrzały. Lenia wziął mnie za rękę, a jego druh mój plecak. I gdzie mnie zabrali? Do knajpy!

– Ja nie chcę pić! Ja chcę tylko herbaty... – wymamrotałam.

Nie chcieć pić w Gagauzji, to jak u mnie w domu wyjść bez śniadania do pracy – czyli rzecz niemal niemożliwa.

I owszem, dostałam herbatę. Z prądem.

Nagle zaczął dzwonić mój telefon. Odebrałam ostatkiem sił. To była Luda.

– Gdzie ty Judyta?!

– Niedalekooo – odpowiedziałam.

– A co ty robisz? Bo my byli u ciebie doma, a ciebie nie było. Szukaliśmy ciebie, a teraz czekamy na ciebie cały wieczór... – mówiła Luda.

– A to ja zaraz do was pójde – rzekłam tak naprawdę za bardzo nie wiedząc, gdzie jestem.

Spojrzałam na komórkę, dochodziła północ.

Choć od tej knajpy do domu Wolewiczów było zaledwie z 300 metrów, a od wypicia wina upłynęły dwie godziny, to tempo picia wszystkim dało się w kość. Nawet wprawionym Gagauzom. Droga w ciemnościach i zaspach wydawała się niemal wyprawą na Antarktydę. Z Lenią i jego kolegą grzęźliśmy w śniegu,



przewracaliśmy się, podnosiliśmy i szliśmy dalej. A potem jak gdyby nigdy nic kazałam im zaczekać, bo za pięć minut wracam. W sumie nawet nie wiedziałabym, jak wytłumaczyć w jakiś zrozumiały sposób Ludzie i Panu Sławkowi, że w środku nocy przyprowadzam do ich domu dwóch mężczyzn i pamiętam imię tylko jednego z nich, a drugi jest w niemieckim kasku.

– A czemu Wy ransze nie skazali, że czekacie? – zapytałam łapiąc się na tym, że co drugie słowo mówię po rosyjsku albo niby to po polsku, ale z rosyjskimi końcówkami.

– To miała być niespodzianka! – powiedziała Luda.

– A ja sądziłam, że mnie olaliście...

– No Judito! Jak mogłaś tak pomyśleć?! – zdziwiła się Luda i opowiedziała, że przyzwyczajeni, że codziennie wieczorem przychodzę na internet, wszyscy uczniowie zebrali się w ich domu i czekali na mnie...

– Pani Swieta upiekła..., pani... ugotowała, Wasia przyniósł wino od mamy, a... – Luda zaczęła wylizywać...

– Hm... – zamruczałam zadowolona.

Nagle telefon do Pana Sławka, ten zdziwiony porą odbiera i wręcza mi słuchawkę: – Do ciebie Judyto!

– Do mnie???

 – biorę komórkę z pytającym wzorkiem.

To dzwonią chłopaki z muzeum, zapomniałam, że zostawiłam ich na mrozie, z moim plecakiem, rzeczami i telefonem! Powiedziałam, że za chwilę wrócę, a nadal mnie nie było.

Pan Sławek popatrzył na mnie w skupieniu... Tak, wydało się, co się w tym muzeum działo!

– Ale jak to, skąd on tak do was dzwoni, Panie Sławku? Skąd zna numer? – pytam.

Okazało się, że Lenia też pracuje w Urzędzie Gagauzji, w dziale leśnym, na co w sumie wskazywał jego strój moro. Pan Sławek zdziwił się, że tego nie wiem, ale nie miałam sił tłumaczyć, że byliśmy z Lenią zbyt zajęci chronieniem się przed zloczynią z karabinkiem i nie było okazji dopytać o tak ważkie kwestie, kto zacz. Ważne, że nie wróg.

Widniało.





POWRÓT



Obudziłam się z niewiarygodnym kacem. Czułam, jak zamiast krwi pulsuje mi w żyłach alkohol. Mało tego, ja nie wiedziałam, gdzie jestem! Przez myśl przebiegały mi obrazy: szkoła, Luda, Świeta, muzeum, picie, zastawione stoły, Kola grający na akordeonie, obrączka na palcu... Szybko zdjęłam ją w pijackim strachu, że jak jeszcze trochę na nim pobędzie, to przez to zasiedzenie stanę się czyjąś żoną!

Podczas pakowania, w małym plecaku znalazłam jabłka. Był nimi wypełniony po brzegi. Jezu, myślę sobie, skąd te jabłka, skąd, od kogo, nie kupowałam, co ja wczoraj robiłam???

Zaczęłam oglądać zdjęcia w aparacie w poszukiwaniu odpowiedzi. Odetchnęłam. Na zdjęciach był pan w kasku i trzymał w ręku jabłka, potem klatka po klatce, podnosi je, idzie do mojego plecaka, wkłada. Ale skąd te jabłka? I skąd wiedział, że to mój plecak?? I kto robił zdjęcia???

Stop pytaniom!

Było też pełno zdjęć z panem Kopcą. Tak sobie teraz pomyślałam, że tak łatwe było picie z najsytniejszym tam literatem, poetą... a przecież to jakby pójść na imprezę i chlać z Miłoszem. Czesławem Miłoszem.

W Gagauzji wszystko jest możliwe.

Trzęsącymi się rękami zaczęłam upychać rzeczy do wielkiego plecaka. Przygotowałam klucze do klasy, pieniądze za gaz, prąd, czynsz i postawiłam na nich butelkę wina w kształcie zająca. Dostałam ją od Wasi z Chirsovej. Była taka ładna, ale tak bardzo ciężka, z grubego szkła, że mogła służyć jako hantel. Musiałam ją zostawić...

Nagle rozległo się pukanie. Bezsilna i wymęczona, ciągle w szlafroku, próbowałam zlokalizować, skąd dochodzi. Ha! Niespodzianka... odgłosy pukania dobiegały od drzwi!

Otworzyłam zamasyście. W drzwiach stała pani Swietłana, w wysokich butach na obcasie, futrze i z bombonierką w rękach.

– Pani Judito, ja chcę pani podziękować, pani Judito, ja z pani pomocą dokonałam tego, czego nie zdołałam zrobić z moją matką. Nauczyłam się języka polskiego – pani Swietłana stała ze szklanymi oczami...

– Ale ja, ja to tylko tak trochę tu byłam, nawet nie chcąc... – próbowałam się bronić przed niezasłużeniem przyznanymi mi zasługami.

– Oj pani Judito, pomogła pani...

Potem kolejne pukanie i Oleg, i Dima, i...

Na koniec wpadł z winem Wasia Kylczik. Ruszyłam z nim przez zasy do sklepu Orange doładować kartę, żeby choć z pociągu powysyłać im pożegnalne SMS-y, bo wiedziałam, że nie zdążę tego zrobić tu teraz i nie mam na to siły.

Wróciliśmy po plecak. Pod drzwiami stał już Pan Sławek: – Judyto jest 14.00!

– No jest – odpowiedziałam spokojnie.

– Nie ma czasu! – zarzucił plecak i ruszył na Fiedki.

A ja z Wasią i resztą tobołów za nim.

Byłam tak zmęczona, że i oni rozmywali mi się, i droga.

Luda krzątała się w kuchni. Powiedziała, że za pół godziny będzie obiad. Pan Sławek mało nie zszedł, ciągle tylko powtarzał, że nie ma czasu. Nie wiedziałam, o co mu chodzi z tym „nie ma czasu” i „nie ma czasu”! Postawiłam Ludzie w kuchni konfitury. Chciałam je zatrzymać, w końcu były prezentem, ale fizycznie nie było możliwe, bym to wszystko uniosła, a nawet zmieściła w plecaku.

Pan Sławek postawił przede mną sałatkę. Coraz bardziej kręciło mi się w głowie.

– Może ci zmierzyć temperaturę? – zapytała Luda dziwnie na mnie patrząc.

Włożyłam pod pachę termometr i zaczęłam ciumkać sałatkę, bo chyba tego podgryzania z zasypianiem na siedząco inaczej nie dałoby się nazwać.

Wyjęłam termometr, wskazał... 39,4! Szybko potrząsnęłam nim, zrzucając temperaturę do 38. Byłam u kresu sił, ale nie chciałam budzić popłochu.

Ludę nawet to 38 przeraziło, ale zanim zareagowała, Pan Sławek spojrzął na zegarek, że dochodzi 15.00 i musimy iść, bo odjedzie nam ostatnia marszrutka.

– Jak to ostatnia? Przecież jest jeszcze o 16.00 i chyba później. Do Kiszyniowa jeżdżą cały czas – mówię.

– Nie dziś! Jest taki mróz, że wszystko zamarza, kursy są odwoływane! – odpowiedział dobrze poinformowany Pan Sławek.

Zostawiłam napoczętą sałatkę i ruszyliśmy na dworzec. Pośpiech (a i moja kondycja po winie w muzeum) spowodował, że nie zdążyłyśmy się z Ludą rozkleić przy pożegnaniu, bo właściwie prawie go nie było. Pan Sławek powiedział, że trzeba biec. Zarzucił mój plecak i ruszyliśmy między zaspami. Nogi to zapadały, to rozjeżdżały się na boki.

– To nie Warszawa! – rzucił Pan Sławek, widząc jak walczę z oslizglą drogą.

Nie zważając na jego złośliwości, w duchu powtarzałam sobie, że nigdy więcej nie będę piła z gagauskimi artystami, nigdy więcej nie będę piła z gagauskimi urzędnikami, nigdy więcej nie będę piła z polskimi celnikami... W ogóle najchętniej położyłabym się w puszystym śniegu i poszła spać. Mój organizm, mój duch były w innym świecie. W świecie gorączki i morza alkoholu.

Wjeżdżałam do Gagauzji ledwie trzymając się na nogach, to samo było i w drodze powrotnej. Gagauski bumerang ochlejtwa. Są chwile, kiedy człowiek myśli, że umrze z przepicia, że to już ostatni dzwonek przed końcem. Patrzy na swoje ręce, nie wyglądają jak jego ręce, patrzy na swoją twarz, jakaś błada, w zakamarkach ziemista; wystraszony chciałby się rozplakać jak dziecko, przyrzekając, że już nigdy tego nie powtórzy. Chce się schować w kącie, przycupnąć, żeby mu pozwolono, o nic nie pytano. Tak! Żadnych pytań! Nie jest w stanie na nic odpowiedzieć, wszystkie trzewia bolą. I co? I nadal żyje. Idzie, siada, wsiada, coś mówi, nawet nie bełkocze, składa zdania, jest rozumiany, choć sam siebie nie rozumie.

Tak, w tym wypadku kac pomógł ani sekundy nie tęsknić, nie myśleć, że coś się staje, że będę się z wszystkimi tu żegnać, że 80 dni z tymi ludźmi minęło nietrzeźwo, a prawdziwie. Nadchodzi totalne skupienie się na swoim organizmie, by ten jeszcze żył, pomógł spakować się i ruszać w drogę, tam, gdzie miejsce jego właściciela.

Na dworcu okazało się, że zdążyłam się załapać na ostatnie miejsce w ostatniej marszrutce, która tego dnia odjeżdżała do Kiszyniowa!

Gdzieś z tyłu udało się Panu Sławkowi wepchnąć mój plecak, a potem upchał mnie na ostatnie siedzące miejsce. Wyglądało to surrealistycznie, tłumy na dworcu, każdy gdzieś chciał dojechać, a kolejne kursy były odwoływane.

Pociąg do Warszawy wprawdzie miałam następnego dnia w południe, ale wstawanie o świcie i ludzenie się, że jakaś marszrutka dojedzie na czas, byłoby głupotą. Bilet do Warszawy niechybnie by przepadł.

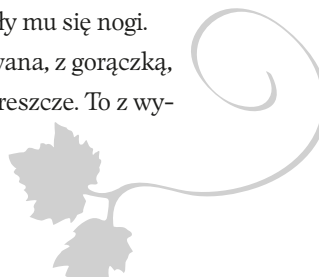
Nawet nie pamiętam, w jaki sposób pożegnałam się z Panem Sławkiem. Jakoś szybko, po męsku. I bardzo dobrze, bez zbędnych wzruszeń. Usiadłam, a na kolanach tuliłam prezent od uczniów: karafkę na wino z brązowej porcelany i kielichy. O zgrozo, jakie to było ciężkie, ale trzymałam w uścisku, by się nie zbiło. Wszak pijak jak otrzeźwieje, pije ponownie. Pijak jest głupi. Pijak musi dzierżyć pijackie trofeum.

Było mi to zimno, to czułam się jak wrzucona we wrzątek, oczy miałam jak za szkłem, para buchała mi z pociętych mrozem warg. Czułam się lekko i ciężko jednocześnie, że już koniec, że jadę, że nikt nic ode mnie nie zechce, że już nie będzie żadnego języka polskiego w szkole, żadnego gagauskiego folkloru. Było mi gorąco, ale nie zdjęłam rękawiczek, bus nie był ogrzewany. Czułam, że mimo gorączki zaraz mi zgrabieją i puszcze te wszystkie naczynia, które chcę dowieźć.

Stara marszrutka jechała bardzo leniwie. Do Kiszyniowa dotarła przed 19.00. Było już ciemno, trzaskający mróz nieprzyzwoicie ciął w twarz. Wieczór. Dochodziło do -20°C . Nie wiem, jak ludzie wytrzymują -30 , -40 . Dla mnie to zimno. To wielkie zimno było niemal graniczne, niemal równoznaczne z zejściem z tego świata. Jak na ironię – ten wszędobylski chłód, ten lodowaty wiatr cuciuły i trzymały przy życiu.

Zwykle nie przepadam za korzystaniem z pomocy, teraz nie miałam żadnych oporów. Sama nie dojdę i będę prosić, ile mi się żywnie podoba. Bo padnę jak mucha. Tu nawet nie chodziło o popijacki stan, ale nikt nie jest w stanie nieść tobołów ciężkich jak on sam, gdy ledwie sunie nogami, a powierzchnia jest śliska jak wilgotne płytki w łazience. Poprosiłam jakichś mężczyzn o poniesienie plecaka na postój. Ruszyli ochno, by pomóc, a gdy jednemu udało się zarzucić plecak, ugięły mu się nogi.

Trzęsłam się z zimna jak osika. Byłam po prostu chora, skacowana, z gorączką, z niepokojem, z zimnem, na obcym terenie. I co chwilę miałam dreszcze. To z wysokiej temperatury w środku i niskiej na zewnątrz.



Szukanie taksówki, kiedy nie ma się gdzie zostawić rzeczy, a unieść nie ma siły, było tragedią. Z zimna czułam ból. Piekielny, fizyczny ból. Nie wiem, czy bardziej od mrozu, czy od ciężaru miałam uczucie, jakby łamał się mój kręgosłup, kręgosłup po kręgu.

Niedaleko stała tylko jedna taksówka. Kierowca biegał wokół niej, pukał, stuknął w koła, drapał szyby, mocował się z drzwiami. Spytałam, czy jest wolny? Był. Chwyciłam za klamkę przednich drzwi. Przymarzły. Kierowca podbiegł, zaczął wygarniać śnieg ze szczelin, potem zaparł się nogami i zaczął ciągnąć. Ani drgnęły.

– Od tyłu trzeba dziś wsiadać – odrzekł pouczająco.

– No jak dziś trzeba... – zamamrotałam.

Usiadłam i zaniemówiłam. W środku nie było przedniego siedzenia, obok kierowcy. Właściwie niepotrzebne drzwi do czegoś, czego nie ma.

– A plecak do bagażnika? – zapytałam.

Chwycił mój *riukzak* z zawrotną szybkością, sądząc zapewne, że skoro dotarła go tutaj filigranowa blondynka, to musi być lekki i już pół sekundy później jego prawa noga wyrwała ku niebu, a plecak ruszył zaraz za nią. Wyłożyli się razem w miękkiej zaspie... W ułamku sekundy, niczym chyża sarenka bohaterski taksówkarz zerwał się ze śniegu udając, że nic się nie stało. A ja dżentelmeńsko udałam, że nic nie widziałam.

A kto powiedział, że wózek służy tylko do wóżenia niemowląt?!



– A teraz proszę wysiąść! – powiedział, pukając w szybę.

– Słucham?!

– Musi pani wyjść, żebym ja mógł siąść na swoje siedzenie. Wszystko przymarzło i tylko tędy można – powiedział. Wygramoliłam się z tylnego siedzenia, by on przez nie wsiadł na przednie po drugiej stronie. Jak się już usadowił, ponownie zajęłam prawie zagrzone miejsce.

Maszyna nawet długo nie rzęziła zanim ruszyliśmy.

– To gdzie mamy jechać?

Powtórzyłam adres i zapytałam: – Mówił pan, że wie, gdzie to jest?

– Tak, tak, wiem, ja wszystko wiem.

– A jak wszystko, to jestem spokojna! – odpowiedziałam małym kłamstwem z niepokojem, no bo jak facet mówi, że wie wszystko, znaczy ni diabła, nie wie jak jechać.

Nie, no nie było złe, pierwsze kilometry po głównej poszły całkiem niezłe. Ostatni okazał się feralny. To wjechaliśmy w zaspę, to nie w tę ulicę, to nie ten kościół mieliśmy minąć.

– Wszystko pod kontrolą, dziewczuszka! Wszystko pod kontrolą! Wszystko wiem... – powtarzał kierowca.

– Ale ja nic nie mówię – odpowiedziałam, ale po kolejnych pięciu zapewnieniach, że wszystko gra, poprosiłam, by się zatrzymał i pytałam napotkanych ludzi o drogę. W końcu znalazł się ktoś, kto wiedział. Kierowca do ostatniej chwili nie chciał się przyznać, że nie wie. Ba, w ogóle nie przyznał się.

Gdy podjeżdżaliśmy pod blok Silvii, ta już stała na środku ulicy i machała. Gdy zobaczyła, w jaki sposób próbuję wygramolić się z samochodu, jej i tak duże oczy robiły się coraz większe...

– Skąd ty wzięłaś tego taksówkarza! Skąd ty wzięłaś tego taksówkarza! On nie miał siedzenia! O gospodi, miał wyrwane siedzenie! On nie miał całej szyby! – Silvia powtarzała jak mantrę zdania, jakby chciała liczbą powtórzeń uwierzyć w to, co widziała.

Może i nie powinnam w stolicy Mołdawii brać takiego taksówkarza, może... ale za bardzo nie miałam wyboru, tylko do niego byłam w stanie dojść o własnych siłach. Może to nie był jedyny przy takich warunkach pogodowych. Może.



Wieczorem z Silvią poszliśmy do centrum, w wielkiej galerii handlowej spotkałyśmy się z Tolikiem i jego kolegą. Chłopcy oglądali drogie buty, potem w kafejce doszły mnie rewelacje, że właśnie grają „Avatara” i kolega Tolika bardzo chce na niego iść. Ceny jak w warszawskich Multikinach. W końcu Kiszyniów to stolica europejska.

Gdy wyszliśmy na zewnątrz, rozejrzałam się dookoła i nagle olśniło mnie, że wystarczy trochę pomieszkać na zadupiu, takim jak Gagauzja, by potem wrócić i odkryć, że Kiszyniów najpierw szary i dupny, obwieszony świątecznymi lampkami, ośnieżony, z kinami, światłami turystycznych kompleksów wygląda niemal jak Las Vegas. Jaskrawy, duży, widowiskowy, niemal monumentalny. Kiszyniów przed i po.

– W Kiszyniowie jak zobaczy się kogoś krępego, niewysokiego i z ciemnymi włosami i oczami, mówimy na niego Gagauz albo pół-Gagauz – powiedziała Silvia, gdy minął nas osobnik o wskazanych cechach.

Gorączka dławiła mnie coraz bardziej. Wróciliśmy do domu Silvii. Jej mama nafaszerowała mnie jakimiś mołdawskimi medykamentami. Całą noc dogorywałam. Mróz nie zelżał. Rano było -25°C . Na dworzec odprowadziła mnie Silvia z ojcem – on wziął mój duży plecak, ona mniejszy, ja taszczyłam podarki od uczniów. Ledwie szłam, potykając się o własne nogi.

W drodze powrotnej nie miałam takiego komfortu jak podczas podróży do Mołdawii. W przedziale była już para. Małżeństwo w średnim wieku. Byli bogaci, nabzdyczeni i drętwi. Ona przez całą podróż nie zdjęła futrzanej czapy elegantki ani nieprzyzwoicie niewygodnych, wysokich, świecących butów na obcasach, on nie rozluźnił zapiętej pod samą szyję koszuli ze sztywnym kołnierzykiem, choć musiała go bardzo uwierać. Jedyny temat do rozmowy to ich kochana córeczka jedynaczka. Tak, nie córka, ale „córeczka”: „nasza córeczka”, „nasze dzieciątko”, „nasz rebionok”. Posłali ją do Warszawy do prywatnej szkoły, wynajęli mieszkanie, a teraz jadą na święta z prowiantem zobaczyć swoje maleństwo, któremu wreszcie ugotują coś porządnego. Rozwodzili się nad tym, jak przyszłościowy studiujecie kierunek (coś z finansami), i że po nim będzie pracowała w najlepszej firmie, że już bogaty wuj wybrał dla niej, ale nie, nie! Od razu zaznaczyli, że nie chodzi o rodzinne koneksje, bo ona jest po prostu najzdolniejsza i dlatego inwestują w nią.

Coś tam czasem na tych studiach nie wyjdzie, ale to nie jej wina, tylko w Polsce są jakieś dziwne wymogi.

Potem była akcja pokazywania swojego dziecka na zdjęciach ekranu najnowszego modelu telefonu z oczekiwaniem, że rozmówca rzuci się do komplementów: „ale śliczna”, choć prawie nic nie widać albo w ogóle nie jest to prawda – widocznie chodzi o poprawienie sobie i tak dobrego samopoczucia. Nagle wchodzi się w wąski pokój miłych kłamstw pod przymusem.

Gdy skończyli komplementować swojego rebionka – może nawet i przyzwolitego, tylko przytłoczonego lawiną komplementów z przymusu, wyjęli prowiant dzieląc między sobą salomonowo. Gdy wyjęłam czekoladki i poczęstowałam ich, najpierw odmówili. Ale odmówili, bo było im głupio, że sami na to nie wpadli chwilę wcześniej. Położyłam je na stoliku i powiedziałam, żeby się nie krępowali, a sama zabrałam się za czytanie gazety z obawy, że znowu zostanę wciągnięta w wir kolejnych, niewygodnych, przynajmniej dla mnie rozmów o niczym.

Popatrzyłam na nich i zrobiło mi się ich żal, ich sknerstwa i zaściankowości. Jedni z niewielu bogatych, których spotkałam, a nie chciałabym mieć z nimi nic wspólnego. Biedni, gdy się u nich pojawiaasz, oddadzą wszystko, co mają, to, co jedzą, opowieści, jakie mają, dobre serce na dzień dobry, a bogaci boją się dać choć skrawek tego, co mają. Chcą mieć tylko więcej i więcej, nie dając nic w zamian, dusząc się w gorszej nieuzasadnionej pychy. Ci żyli pozorami, nawet na chwilę nie pozwalając sobie na użycie luźnego słowa, by zejść z głupio podniosłego tonu dorobkiewiczów bez klasy. Udawali, że nie potrafią zapytać wagonowej o gorącą wodę na herbatę. Tak jakby pierwszy raz musieli jechać pociągiem z pospólstwem. Dużo niepotrzebnych słów: „ach”, „azaliż”, „a czy ty kochanie zechciałbyś... mógłbyś”, „a czy tak wypada”, „och Mihaile uważaj proszę!”. Byli małżeństwem ze sporym stażem, a odnosili się do siebie jak dwie plastikowe kukły.

No tak, z powrotem drożej, ale i tłoczniej i gorzej towarzysko. Wysłałam do łazienkowej kanciapy przebrać się w piżamę i umyć zęby, zawinęłam w koc i pomyślałam, „oby do Przemysła”.

Dziwne, że tak na koniec podróży wyskoczyła bogata końcówka Mołdawii. Jednak w żadnym razie nie przyćmiła mi tego, co widziałam. Prawda była taka, że po trzech miesiącach w Mołdawii doceniłam swój kraj. Wracałam do mej ukochanej Polski (a tak, tak, w tym momencie wydawała mi się krainą mlekiem

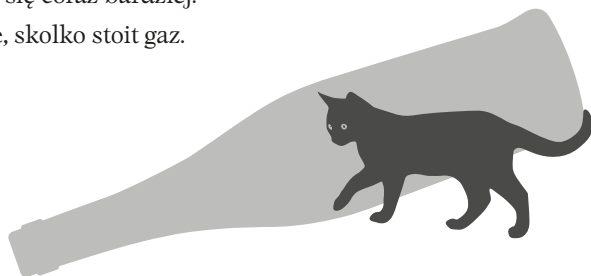


i miodem płynącą, ociekającą zdobyczami techniki, kulturalnością i oświetlonymi chodnikami!) z przekonaniem, że coś ze mną nie tak. Nie jestem optymistką, nie jestem fanką własnego kraju, a wracałam jakby na skrzydłach. Przecież nie znoszą okołoświątecznego gwaru, ozdób, świecidełek, muzyki, Mikołajów, śnieżynek, bombek, gonitwy za prezentami... A tu nagle wizja kolorowego świata wydała się niepokojąco atrakcyjna.

Dlaczego? Bo wracałam ze stepowej Gagauzji, gdzie ludzi zsyłano za karę. Ciesząc się, że sowietyzm nie zgnoił naszego kraju, że nikt latami nie wpięrział nam do głowy chorych, kołchozowych mantr, nie zostawił w nas myślenia, że czy się stoi, czy się leży, kilka stówek się należy. Nie zostawił (przynajmniej we wszystkich) postawy roszczeniowej, godzenia się na biedę, na bycie ogonem, na brud, na nędzę, która śpi na każdym podwórku i w każdej sowieckiej duszy. Mołdawianie to „homo sovieticus”. To stan, który wrasta w człowieka jak ciernie. Nie wiesz, co to wolność, nie wiesz, co to odpowiedzialność, nie wiesz, co to samodzielne myślenie, ale wiesz, co to unizoność, co to zgoda na dawanie w łapę, na „załatwianie”, na podporządkowanie się... Homo sovieticus to niewolnik własnego przeoranego zgniłą ideologią umysłu.

Już spakowana, gotowa do wyjścia patrzę na podwarszawskie widoki. Tuż przed Bożym Narodzeniem, nie pomyślałabym, że kolorowa, nafaszzerowana przedświąteczną pompą i fajerwerkami Warszawa może tak cieszyć. Stoję przy oknie i piję herbatę. Podchodzi pan wagonowy (bo w tę stronę męscy prowadnicy) i zagaja:

- Studentka wraca na święta?
- Już nie studentka.
- Nie?! To do męża wraca?
- Nie posiada.
- No jak to tak?! A dzieci ma?
- Nie ma.
- No jak to tak?! – dziwi się coraz bardziej.
- Nie! Nie ma nic, ale wie, skolko stoit gaz.





KONIEC. NAPISY KOŃCOWE



WYDARZENIA PAŃSTWOWE, NIECHRONOLOGICZNIE

Wybory po mołdawsku, parę ważniejszych dat

- 2009 r. – Mołdawia: wybory odwołane, poprzednie nie były ważne. Po prezydenta Mołdawii Mihai Ghimpu rozwiązał parlament i ogłosił przedterminowe wybory 28 listopada. Były to trzecie od kwietnia 2009 roku wybory parlamentarne.
- 6 grudnia 2011 r. – wybory prezydenckie w Mołdawii. Uznano je za nieważne. Następne wybory ustalono na 15 stycznia.
- 11 stycznia 2012 r. – jest pierwszy kandydat na prezydenta Mołdawii – Leonid Tałmacz!
- 12 stycznia 2012 r. – odwołano wybory 15 stycznia. Kiedy następne – zdecyduje parlament.

Przez dwa i pół roku nagłówki w mołdawskich i zagranicznych gazetach brzmiały: „Kolejna próba wyłonienia prezydenta Mołdawii”, „Prezydenta Mołdawii prawie wybrano”... Mołdawska telenowela pt. „Wybieramy prezydenta” skończyła się 16 marca 2012 roku, po... 917 dniach! W tajnym głosowaniu 62 posłów poparło (minimalna wymagana liczba to 61) kandydata Sojuszu na Rzecz Integracji Europejskiej (AIE). Prezydentem został Nicolae Timofti. (Zanim go wybrano było trzech pełniących obowiązki prezydenta, w tym Vlad Filat... dwa dni). Timofti zna język mołdawski.

Lato 2011 – Edukacyjny bunt Gagauzów

Mihail Formuzal nadal jest baszkanem Gagauzji, choć już wielokrotnie zachęcano go do odejścia. Mimo fajerwerków wokół jego osoby nie boi się kontrowersyjnych posunięć.

W Gagauzji z nauką mołdawskiego jest trochę na bakier, poziom nauczania jest niski, a nauka prowadzona jest zwykle po... rosyjsku. Aby naprawdę nauczyć się języka państwowego, są potrzebne kursy doszkalające. Efekt jest taki, że znaczna część Gagauzów nie zna mołdawskiego, a skazani na egzaminy z niego uczniowie kiepsko sobie z nim radzą. W 2011 roku egzaminów z języka mołdawskiego nie zdało ponad 6 procent gagauskich licealistów i studentów. Co zrobił baszkan Gagauzji, Mihail Formuzal? Skierował projekt do Ministerstwa Edukacji Mołdawii. Jego zdaniem i zdaniem władz Autonomii zdawanie egzaminu z języka państwowego to... przejaw dyskryminacji Gagauzów!

Formuzal wystąpił też z projektem wydawania własnych dyplomów (bez oceny z mołdawskiego) przez Uniwersytet w Komracie i gagauskie licea. Tamtejsze władze twierdzą, że mołdawski do niczego nie jest potrzebny ich młodzieży, bo na studia i do pracy i tak wyjeżdżają do Rosji, na Ukrainę lub do Naddniestrza. Zaś władze Mołdawii żądają, by Gagauzi znali mołdawski, ale nie robią nic, by im w tym pomóc.

Grudzień 2011

Naddniestrze po perturbacjach też zmieniło prezydenta. I tutaj również były sensacje – popierany od lat przez Rosję Igor Smirnow, który sprawował władzę przez 20 lat – od początku powstania Naddniestrza, nie zakwalifikował się do drugiej tury wyborów! Wygrał opozycjonista Jewgienij Szewczuk, lider ruchu „Odrodzenie”.

22 sierpnia 2012

Kiszyniów odwiedziła Angela Merkel. Jako że to pierwsza wizyta niemieckiego szefa rządu w byłej republice ZSRR od czasu uzyskania przez nią





niepodległości, to były to przygotowania na skalę pamiętnej wizyty Leonida Breżniewa w 1974 roku. Tysiące Mołdawian sprzątało tereny wokół lotniska i miasta, wywieziono 152 ciężarówki śmieci, wycięto 300 drzew i rozwinęto na lotnisku trawę w rollkach.

I stała się tragedia. Tuż przed wizytą z kiszyniowskiego lotniska zniknęła... trawa. Jeszcze tego samego dnia pojawiły się pogłoski, że trawę ukradli Naddniestrzanie, na odbywające się 2 września w Tyraspolu obchody Dnia Niepodległości Naddniestrzańskiej Republiki Mołdawskiej.

Lipiec 2013

Gagauzi coraz żywiej domagają się niezależności – grożą referendum w sprawie secesji z Mołdawią. Na jego poparcie zebrano około 6 tysięcy podpisów.



LUDZIE

- Wszyscy zdali na Kartę Polaka.
- Andriej Suhow studiuje zarządzanie na SGH w Warszawie.
- Wasilij tańczy, pracuje i studiuje w Lublinie. Ożenił się z Polką, Kasią. Mają polsko-mołdawskiego Jaśka.
- Pani Luda znajduje coraz więcej Polaków w Gagauzji.
- Pan Sławek jest szczęśliwy z Ludą.

BADANIA

27 sierpnia 2011 r., obchody 20. rocznicy uzyskania niepodległości przez Mołdawię. „Komsomolskaja Prawda” zrobiła dla swoich czytelników ankietę pt. „Największe mołdawskie osiągnięcie ostatniego dwudziestolecia”^{*}.

Napłynęły setki opinii.

Anatolij Rożko, kierownik sekcji gospodarki i statystyki finansowej: „Trudno wybrać coś konkretnego. To nie jest zjawisko jednowektorowe, raczej mozaika, i wszystko zależy od tego, jak na nie spojrzeć. Państwo mołdawskie zaistniało, działają instytucje polityczne, rozwija się gospodarka. Ważne jest przy tym, że mamy stabilny system monetarny, który pozwala trzymać w ryzach inflację i inne negatywne zjawiska. Jest demokracja, mamy prawo wyjeżdżać do innych krajów, choć nie jest to zawsze możliwe ze względu na brak środków. Spada u nas poziom biedy, już zmniejszył się o 1,2 razy. Dwadzieścia lat dla człowieka to sporo, ale dla kraju to krótki okres historyczny. Mam nadzieję, że nasze dzieci będą żyły lepiej niż my”.

Ludmiła Pikus, bizneswoman: „Bodaj jedynym wydarzeniem, przy którym można postawić plus, było zakończenie konfliktu w Naddniestrzu. Dzięki Bogu, wysiłkiem wielu stron udało się wtedy zatrzymać rozlew krwi”.

Aleksandr Szyszkin, showman, aktor, reżyser: „To, że w ogóle wszyscy jeszcze żyjemy!”.

^{*} za: Kamil Całus, Piotr Oleksy, *Nowa partia i moratorium na debaty publiczne*; www.new.org.pl/529_post.html







SPIS TREŚCI

| | |
|---|-----|
| Pociąg do wina | 7 |
| Pan Romanow i miasto przeklęte | 18 |
| Mileştii Mici – fontanny z winem | 26 |
| Dziewuszka Cin Cin – marszrutki | 34 |
| <i>Limba noastră</i> | 39 |
| Krajobraz po bitwie, czyli droga do Gagauzji | 43 |
| Pan Sławek | 47 |
| Luda | 50 |
| Kwartira na Sportivnej | 53 |
| Śmietana w literatce | 55 |
| Trzeba chronić | 60 |
| Green Hills | 63 |
| Luda, Pan Sławek i Polacy w Gagauzji | 66 |
| Budżak | 69 |
| Telewizja, czyli <i>Babcia bije w bęben</i> | 74 |
| Bieda | 77 |
| Krasota spasiet mir, czyli wybory Miss Gagauzji | 80 |
| Uniwersał-2 | 85 |
| Gagauz-halkı | 88 |
| Beşalma | 99 |
| Czerwony październik | 103 |

| | |
|---|-----|
| Witamy w szkole – lekcja nr 1 | 112 |
| Kurortnyj romans | 117 |
| Chirsova | 124 |
| Kielonek za wszystkich świętych | 130 |
| Nerki, aborcje i Jan Paweł II | 133 |
| Grypa | 139 |
| Prezydent i kury | 142 |
| Były najlepsze, czy nie były? | 146 |
| Kiedyś wrócisz tu | 148 |
| Morderstwo w Congazie | 155 |
| Cahul, Cantemir | 160 |
| Sprzątanie Gagauzji, czyli pieskie życie | 166 |
| Urodziny Pana Sławka | 169 |
| Mołdawska Warszawka | 172 |
| Do Giurgiulești przez Vulcănești, czyli jasnovidząca Maria | 180 |
| Mięsna mafia | 189 |
| Mój adres – Sowieckij Sojuz | 195 |
| Przepytywanka | 199 |
| Naddniestrze. Krótka wizyta u szeryfa | 203 |
| Egzamin | 223 |
| Impreza w muzeum | 226 |
| Powrót | 230 |
| Koniec. Napisy końcowe | 239 |





PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>